wolnelektury.pl

Władysław Stanisław Reymont

Fermenty, tom pierwszy

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Fermenty

TOM PIERWSZY

I

— Depesza od doktora; przyjedzie towarowym o pierwszej; pan naczelnik go wcześniej widocznie zamówił?

— Co to pana obchodzi! — mruknął zawiadowca drogi, odbierając depeszę.

Telegrafista cofnął się, zmieszany nieco, do telegrafu, usiadł przy aparacie, zatopił długie, chude, nerwowe palce w jasnych jak len włosach i zapatrzył się przez okno w zamglony, jesienny dzień. Cisza się rozlała i zdawała się zatapiać całą stację w nudzie, zimnie i wilgoci. Deszcz płókał szyby z jednostajnym, usypiającym brzękiem i jakby związywał niebo i ziemię miljardami szarych skośnych włókien, a zegar, umieszczony w wysokiej szafce i mający cyferblat nazewnątrz stacji, cykał z okropną monotonją.

Telegrafista nie mógł usiedzieć na miejscu, wstał i chodził na palcach, spoglądając z pewną obawą na drzwi otwarte do pokoju zawiadowcy, to na peron przemiękły, szklący się wodą, to, z czołem na szybie drzwi wspartem, słuchał dźwięków fortepianu, płynących niby słaby szmer z piętra stacji — ale odchodził zaraz, bo te równe, jednostajne rytmy, wybijane ciągle wkółko, denerwowały go jeszcze bardziej. Usiadł znowu przy aparacie i zaczął pisać list.

„Mamusiu! Tak się nudzę, droga mamo, że aż mi się w tej chwili płakać zachciało. Jest tak mokro, tak zimno, tak brzydko, że mię ogarnia rozpacz. Mamo, czy ja długo będę musiał siedzieć w tym Bukowcu? Bo, przy tem wszystkiem, czuję się bardzo niezdrowym. Wczoraj zaczęło mi strzykać pod lewą łopatką, roztarłem kamforą i przeszło — ale dzisiaj język nieco obłożony i nic a nic nie mam apetytu, chociaż ta kaczka, którą mi mama przysłała, a szczególnie nadzienie było pyszne. Koszyczek odsyłam i sześć par mankietów brudnych, i kamaszki do podzelowania. Może mi mamusia kupi i przyśle rękawiczki lapis, z czarnem wyszyciem. Wie mamusia, dzisiaj rano tak się zgryzłem, że bałem się, aby mi to nie zaszkodziło, bo ta Andrzejowa zbiła te zielone żabki, co to wuj przywiózł mi z Wiednia, pamięta mama? A były takie śliczne i ogromnie się wszystkim podobały. Mamusiu! a flanelowy kaftanik, to jużby warto mieć, bo lada dzień mogą być przymrozki — myślę, że nie potrzeba kupować nowego, bo tamten...”

Ukrył list pod papiery, aparat zaczął przywoływać gwałtownie, a później wybijał znaki na wąskim pasku papieru, który się odwijał z krążka. Telegrafista czytał uważnie, gdy od peronu wszedł dozorca drogowy, Świerkoski, brunet, wysoki, chudy, z rzadkim zarostem i niespokojnemi czarnemi oczyma, nieco pochylony, w krótkim, jasnym kożuszku, w długich butach i kapuzie nieprzemakalnej na głowie.

— Amis! no pójdź piesku! Amis! no złotko, chodź do pana, chodź! — wołał pieszczotliwie na psa, który stanął przed drzwiami, bojąc się wejść, usiadł na stopniach, niespokojnie patrzył na pana i kręcił ogonem.

— Zamykaj pan drzwi, bo zimno!

— Amis, psie jeden! — krzyknął Świerkoski; pies zaskowyczał żałośnie, przypłaszczył się i wolno zaczął czołgać się do jego nóg. Świerkoski schwycił go za grzbiet i wrzucił do telegrafu. Pies tylko zapiszczał i z niesłychanym pośpiechem wcisnął się pod ceratową kanapkę, na której usiadł Świerkoski zły i pochmurny, jak odbicie tego październikowego dnia. Świerkoski złamał się we dwoje, zupełnie jak scyzoryk się zamknął, bo położył twarz na pięściach, wspartych na kolanach, i siedział czas jakiś w milczeniu, oczy mu niespokojnie biegały po podłodze, zarzuconej mundsztukami papierosów, kilka razy uderzył o bronzową skrzynkę, na której bielił się napis: „Środki opatrunkowe. Stacja Bukowiec”, i znowu goniły, to jakieś ostatnie muchy, leniwie wlokące się po podłodze, to za butami telegrafisty, które co chwila zmieniają pozycję, to patrzyły w zwichrzoną górę papierowej wstążki, która wciąż spływała z krążka na ziemię, wreszcie cmoknął cicho na psa. Amis wysuwał popielaty łeb trwożnie, ale, jakby zbierając całą odwagę, skoczył na kanapkę i zaczął go lizać po twarzy.

— Precz! tam!... — syknął Świerkoski, wskazując drzwi. Pies poszedł wolno, usiadł przy drzwiach i żałośnie, prawie błagalnie, patrzył się piwnemi oczyma. Świerkoski nie-

znacznie wyjął z zanadrza kawał skręconego rzemienia, spoglądał pieszczotliwie na psa, uśmiechał się łagodnie i szeptał:

— Amis! chodź synku, chodź! — Pies przybiegł w radosnych susach. Schwycił go za kark i zaczął bić rzemieniem. — Będziesz złotko słuchać pana, co? Synek będzie słuchał, co? Amis będzie posłuszny, co? — Pies szarpał się i skomlał rozpaczliwie, po jego skórze, pokrytej krótkim, popielatym włosem, lśniącym jak jedwab, przebiegały dreszcze, niby fale, wyginał się, lizał buty pana, prosił się oczyma, ale Świerkoski wpadł w pasję i bił go coraz zacieklej. — A będziesz cicho synku, co? a zmilkniesz przyjacielu, co?

— Co pan robisz? Przysięgam Bogu, że chwili spokoju niema — zawołał zawiadowca, wybiegając ze swego pokoju. Popatrzył groźnie i cofnął się, zatrzaskując ze złością drzwi za sobą.

— Idjota! — mruknął Świerkoski, puścił psa, schował rzemień i rozprostował się. Pies lizał sobie skórę i spoglądał chwilami wylęknionym wzrokiem z kąta, w którym leżał. Świerkoski zapalił papierosa, skubał rzadką brodę, uśmiechał się przyjacielsko i z jakąś dziką miłością do psa i spoglądał w okno, na plant, gdzie kilkunastu robotników, z głowami pozawijanemi w worki, z których porobili sobie kapuzy, podbijało pokłady.

Długie milczenie przerwał telegrafista, bo aparat zamilkł:

— Co? porządny deszcz?

— A porządny.

— Błoto duże?

— A duże.

— Okropny październik?..

— Okropny październik — odpowiedział jak echo Świerkoski.

— A co to będzie w zimie?

— Zima.

— Ja teraz już wytrzymać nie mogę, nudy takie, że chyba się wścieknę.

— Tylko pan później nie pogryź mojego Amisa — szepnął drwiąco Świerkoski.

Pies na dźwięk swojego nazwiska zaskomlał cicho i położył się u nóg pana.

— Psia służba. Ani gdzie wyjść, ani ludzi, ani rozrywek.

— Przecież pan bywasz u tego... Grzesikiewicza — powiedział z przyciskiem.

— Tak, ale... młody Grzesikiewicz, pan Andrzej, chociaż nie z mojej sfery, ale wyjątkowo porządny człowiek, to znowu rzadko go można zastać w domu, a wpaść w ręce jego ojca, prostego chłopa — dziękuję. Prowadzi zaraz do karczmy, częstuje wódką i kiełbasą, sprasza całą wieś, funduje wszystkim, a jak się upije, zaraz całuje — otrząsnął się nerwowo i splunął z obrzydzenia. — Myślałem ostatnią razą, że zemdleję, tylko, że noszę z sobą zawsze eter, więc się orzeźwiłem i uciekłem spiesznie.

— Pan jesteś bardzo delikatny — powiedział cicho i błysnął urągliwie oczyma Świerkoski.

— To jest naturalne nie wychowywałem się przecież w chałupie, ani nad rynsztokiem.

— Wiemy tu wszyscy o tem, a jakże, że w salonach, w atłasach, w złoconych kołyskach, przy mamie, przy wujaszku, z niańką, z boną, z doktorem, Felusiem, jak mój Amis — drwił z dziką złością Świerkoski i patrzył na niego nienawistnie.

— O tak, tak — odpowiedział z pewną dumą telegrafista — ale nie wiem doprawdy, co w tem jest śmiesznego, że pan kpisz, bo przecież, że pan się tak nie chowałeś, to cóż ja temu winien, zresztą taka nierówność jest konieczna, bo...

— Tak, konieczna — przerwał mu śpiesznie — bo później się wszystko wyrównywa, bo później taki atłasowy Stasio, jak pan, panie Babiński, musi służyć, musi robić, po nocach nie sypiać, oczki wytężać i pobierać taką malutką pensyjkę, i zasmucać mamę, że się nudzi, i że mu się buciki podarły! hi! hi! hi! — zakończył śmiechem przykrym, jękliwym, ostrym jak zgrzyt stali po szkle.

Stasio się zarumienił jak dziewczyna, oczy mu się zaszkliły łzami jakiejś żałości, blado-różowe, wypukłe usta drżały nerwowo, ale nie odpowiedział, rozpiął tylko kołnierz munduru, powąchał eter, który nosił przy sobie i zagadnął łagodnie.

— Może pan masz jakie książki do czytania?

— Nie! nie mam pieniędzy na głupstwa — rzekł szorstko.

Stasio popatrzył na niego z dobrotliwem politowaniem i znowu zmienił przedmiot rozmowy.

— Przyszedł dzisiaj w nocy bagaż dla pana z Warszawy.

— Przyszedł — zawołał radośnie Świerkoski, podnosząc się. — Nie uważałeś pan, czy aby w rogożach?

— Tak, doskonale zapakowany. Kupiłeś pan co?

— I... nie... nie... skądbym wziął pieniędzy, dostałem od familji; — mówił śpiesznie, rzucając niespokojnie oczyma — jakiś stary grat, którego przewóz kosztuje mnie tyle, że jestem zły, iż go wziąłem.

Aparat zaczął stukać, Stasio znowu czytał z pasków, potem wstał, wyszedł na peron, uderzył w dzwonek stacyjny i cofnął się natychmiast.

— Sygnały od Kielc, pociąg wyszedł — rzucił robotnikowi, który się zjawił na dzwonek.

— Chodź pan na wódkę! — szepnął miękko jakoś Świerkoski.

— Po pociągu to i owszem, chociaż, coprawda, wódka mi szkodzi.

— Co tam, mama przyśle lekarstwo! — Zaśmiał się i poklepał go przyjacielsko po żołądku, bo, pomimo ustawicznych drwin, żyli w zgodzie ze Stasiem.

— Słyszysz pan! zawiadowca rozmawia z sobą.

Zaczęli słuchać. Z pokoju Orłowskiego dochodziły wyraźne głosy sprzeczki, czasem jakiś dosadny frazes, klątwa; to znowu przyciszony, pokorny i błagający głos.

— Idjota! musiał się pomylić i sam sobie wymyśla i usprawiedliwia się przed sobą. Jeżeli jego nie zamkną u Bonifratrów, to ja, Świerkoski, będę miał miljony. Pan go nie znasz jeszcze dobrze, ale my... — Nie skończył mówić, bo Orłowski wszedł do nich ze swego pokoju; był ogromnie wzburzony, wielkie, czarne oczy, o krwawym odblasku, pałały mu wzruszeniem, twarz o rysach regularnych, jeszcze bardzo piękna, jakby wycięta z dawnych portretów senatorów weneckich, malowanych przez Tintoretta, otoczona gęstemi, szpakowatemi włosami i zakończona wspaniałą, spływającą do pół piersi brodą, dumna i zacięta, z brwiami prawie zrośniętemi, była aż sina z jakiejś irytacji. Przeszedł obok nich bez słowa i wyszedł na korytarz.

Szedł wolno na piętro kamiennemi schodami, zaciskał ręce, mruczał niewyraźnie, to znowu pobłażająco i wyniośle uśmiechał się.

Wszedł do kuchni, obrzucił badawczo wszystkie sprzęty, zajrzał do ognia pod blachę i przytłumionym głosem zapytał starej służącej, obierającej kartofle pod oknem:

— Panna Janina śpi?

— Nie wiem, ale to chybcikiem obaczę.

— Nie trzeba — powiedział śpiesznie i wszedł do sąsiedniego pokoju, który służył za jadalnię, i przez zapuszczone kotary zajrzał do sypialni córki. W ciemnościach, zaledwie słabo rozrzedzonych pasmami brudnego dnia, przeciekającemi przez zapuszczone story, po chwili patrzenia dostrzegł łóżko i blade, niepewne zarysy Janki leżącej. Musiała usłyszeć szelest jego kroków, bo się poruszyła na pościeli. Poczuł jej wzrok na sobie i natychmiast się cofnął zmieszany. Postał jeszcze chwilę, podniósł koniec brody do ust, przyciął ją zębami i powrócił do kancelarji. Zastał tam Karasia, maszynistę rezerwowego, który mieszkał w Bukowcu, bo tu była rezerwowa maszyna, gotowa w każdej chwili wyruszyć z pomocą, gdyby było tego potrzeba, skinął mu głową i wszedł do swojego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

— Świerk! wiesz! — zaczął Karaś, siadając na skrzynce ze środkami opatrunkowemi — jesteś codzień podobniejszy do swojego psa, nawet już płowiejesz. Panie Babiński, pan jesteś grubo uczony, skończyłeś podobno całe trzy klasy; czy Darwin wywodzi ludzi od małp, czy od psów?

— W każdym razie nie od Karasiów.

— Nie jestem godzien takiego zaszczytu, nie jestem godzien! — śmiał się Karaś, zacierał ręce i zaczął drobnemi kroczkami chodzić. Jego drobna, chuda i niska postać, śpiczasta bródka, cienki i długi nos, małe i kłujące oczki, wypukłe bardzo czoło, rzadkie, rudawe włosy, wystające kości policzkowe, sine z odmarznięcia uszy, jego cienkie nogi — wszystko to się trzęsło, skakało i poruszało ustawicznie, zdawało się, że wszystkie jego

członki, obciągnięte w gruby kożuch, pokryty wyksatyną błyszczącą, zasmarowane oliwą i smarowidłami, skaczą ustawicznie i grożą rozsypaniem.

— Nie masz pan jakiej nowej książki? — spytał go Staś.

— Mam, wczoraj dostałem, ale jeszcze czytam. Bon! pożyczę panu, kapitalna historja i z takim pieprzykiem, jak to my lubimy, panie Stanisławie. — Zaśmiał się, zatarł ręce, zaczął błyskać oczyma, wyszczerzył zęby i znowu biegał po pokoju.

— Uważasz pan, jest tam schadzka miłosna, cudissimo pisana, aż się krew gotuje przy czytaniu; musisz się pan rzeźwić eterem, albo lepiej pan zrób, przyłóż sobie przed zaczęciem książki synapizmy z chrzanu.

— Dziękuję, takich książek nie czytam — odpowiedział Staś, rumieniąc się.

— Bon! dziewczątko anielskie, gołąbku niewinny, bardzo słusznie robisz, napij się lepiej mleczka, wysmaruj kamforą, połóż do łóżka i czytaj z Tańskich Hofmanową, to dobrze robi, i na sen, i na trawienie. Żarty na stronę — dodał poważniej. — Zaleska musi mieć książki jakie, przecież to kobieta i piękna, i wykształcona, jak zapewnia jej mąż.

— Ślicznie gra na fortepianie — wtrącił Staś i znowu się zarumienił.

— Nie rumień się pan tak dziewiczo, afekty umieściłeś pan godnie; to mi się podoba.

— Jak na marnego Karasia, jest to za duża ryba, wielki szczupak zgryzłby cię.

— Nie bój się, Świerkoski! nie bój się! nie takie wieloryby ogryzałem, i było bon.

Zaczął zacierać ręce i śmiał się tak cicho, głęboko i wstrętnie, że Staś odwrócił się od niego; nie mógł patrzeć na jego oczki, przysłonięte białawą mgłą, i na rzadkie, żółte i ostre zęby, które wyszczerzał w tym śmiechu. Trząsł się cały i rzucał na wszystkie strony.

— Wiecie — zaczął znowu, uspokoiwszy się — byłem wczoraj w Kielcach, miałem przygodę taką, że... cudissimo, opowiem wam, bon?

— Nie ciekawiśmy, schowaj dla swojej Karasicy, będzie wdzięczna — przerwał mu Świerkoski.

— Pociąg dochodzi! — zawołał robotnik, uchylając drzwi z peronu.

Orłowski w czerwonej czapce wyszedł, naciągnął niepokalanie białe rękawiczki i poszedł na peron.

Karaś stanął na stopniach przed dworcem. Świerkoski znowu się złożył w dwoje, a Babiński stukał w aparat, notował, dawał sygnały elektryczne.

Pociąg z głuchym szumem i sapaniem wtoczył się na szyny i stanął; masa żelastwa szczęknęła ciężko, pusty peron ożywił się nieco, bo kilku smarowników i brekowych zeszło ze swoich odkrytych kozłów na wagonach i rozprostowywało na ziemi pogięte ciała.

Orłowski, chmurny, pod parasolem, spacerował wzdłuż pociągu; chwilami, kiedy przechodził pod oknami, z których nieskończonym potokiem płynęły gamy chromatyczne, ściągał nerwowo brwi, zaciskał silniej, parasol, przyśpieszał kroku i spoglądał na ostatnie, narożne okna nad kancelarją stacyjną, przysłonione szczelnie. Wzdychał, zawracał i chodził dotąd, aż pociąg znowu zaczął sapać, dyszeć, trzeszczeć, szczękać, gwizdać — i powlókł się dalej, pozostawiając za sobą obłoki rudego, duszącego dymu, który darł się na strzępy o półnagie drzewa ogródka stacyjnego i rozwłóczył rudawym pasem po równo obciętej ścianie lasu, stojącego tuż nad plantem.

Orłowski powrócił do kancelarji i, skoro się tylko zamknął, Świerkoski się podniósł.

— Chodźcie na wódkę.

— Ja zaraz przyjdę do was; spytam się tylko, gdzie jest osobowy? — powiedział Staś, stukając aparatem.

Karaś ze Świerkoskim poszli do bufetu. Paru przemokłych żydów drzemało na ławkach, oczekując na osobowy pociąg, a za bufetem, wciśnięty pomiędzy szafę i piec, przysłoniony gazetą, chrapał głośno bufetowy. W drugim rogu wielkiej, brudnej sali kilku dróżników i robotników grało zatłuszczonemi kartami.

Przeszli do drugiej sali pustej zupełnie.

— Twoje zdrowie, Świerk, i twojego konia, i twojego psa, i twoich szwindlów, bon!

— Zaczekaj, zaraz przyjdzie Babiński, to wypijemy razem.

— Bon, ale powiedz-no, podobno się żenisz, czy tam coś takiego z p. Zofją?

Świerkoski się skrzywił, poskubał bródkę, pobiegał oczyma po sali, wsunął ręce w rękawy i mówił:

— I... co ja dałbym jeść żonie? żwir i podkłady chyba?

— No i mech, jak swojemu koniowi.

— Śmiej się... przecież jesteś żonaty i wiesz, co kosztuje żona, chociaż twoja to jeszcze anioł.

— Bon, kwadratowy anioł, powiedz.

— A te wszystkie panny, co to jest? gdzie znajdziesz zdrową? gdzie jest mądra, ładna, gospodarna i oszczędna? Jak się znajdzie jaka podobna, to nie ma grosza; jak znowu go ma, to nos do góry i myśli, że królowa, a jakie wymagania!

— O tak, chcą jadać, muszą chodzić w bucikach, mieć suknię, potrzebują czasami jakiej przyjemności, chcą żyć po ludzku; szelmy te panny, czego im się zachciewa!... a przytem nie lubią, aby je bić, jak psa albo chłopów... — zaśmiał się Karaś.

— Gadanie, żebym miał na to, to i ja żyłbym po ludzku, a jeśli oszczędzam, jeśli chcę znaleźć także żonę oszczędną, to tylko dlatego, żeby później żyć po ludzku. O, ja jeszcze będę inaczej żył, będę... Wiesz, znam tutaj tylko jedną pannę, z którąbym się choćby jutro ożenił, chociaż wielka pani...

— Czy też Grzesikiewicz ożeni się z zawiadowcy córką?

Świerkoski rzucił szybkie spojrzenie na niego, zgiął się, ręce głębiej wsunął w rękawy i nie odpowiedział, bo to przypomnienie Grzesikiewicza przejęło go złością i niechęcią.

Przybiegł Stasio, i zaczęli pić wódkę.

— Muszę się śpieszyć, bo trzeba korespondencje ekspedjować na osobowy.

— Bon, ale jest jeszcze jedno źródło książek, panna Orłowska.

— A, ta, co się truła; nie znam jej zupełnie i widziałem tylko wtedy, kiedy ją przenoszono z wagonu do mieszkania.

— To pan nie znasz całej historji? bon, opowiem.

— Bardzo mało, wiem tylko, że się pogniewała z ojcem, wyjechała do teatru, później się truła, sam nawet o tem czytałem w pismach. Byłem już w Bukowcu, jak zawiadowca jeździł po nią do Warszawy. Co to za panna?

— Warjatka, jak i jej ojciec — szepnął Świerkoski.

— Ale piękna i wykształcona, bardzo piękna, majestatyczna kobieta, kształty cudowne, wzrok wspaniały, oczy ogromne i ogniste, cudissimo, że tylko całować.

Zaczął się trząść i śmiać cicho i zacierał ręce.

— Wartoby tak jeszcze coś tego chlapnąć. Panie bufet, sześć mocnych.

— Czemuż odrazu sześć?

— Będzie bon, panie Stasiu, na zapas.

— Słuchajcie no — zabrał głos Świerkoski, podnosząc głowę z kolan. — Chcę wam coś zaproponować, niezły interes, na którym możemy dobrze zarobić.

— Bon, Świerk, mów.

— Jest do kupienia poręba, niewielka, za tysiąc pięćset rubli, blisko kolei, oglądałem ją niedawno. Śmiało można zarobić na niej tysiąc rubli, mam nawet już zbyt na drzewo do Radomia. Weźmy ją do spółki, interes złoty.

— I... to już weź sam, nie mam pieniędzy, a zresztą orżnąłeś mnie zimą na węglach, daj spokój, ja wiem, nie tłumacz się, bo ci powiem, czem jesteś...

— O, powiedz, ja się nie pogniewam, z pewnością się nie pogniewam...

— Bon! otóż wyszedłeś ze mną, jak świnia, tak... bufet! sześć mocnych! — krzyknął.

— Tylko tyle, to niewiele — i Świerkoski zaczął się śmiać, ściągał na lewą stronę usta, skubał brodę, latał oczyma po twarzach i dalej ciągnął: — tak, to niewiele, bo mogłem się urządzić lepiej, a nie zrobiłem tego, to handel, mój kochany.

— Łajdactwo, powiedz! handel ładny, przez trzy miesiące straciłem trzysta rubli, które przeszły do twojej kieszeni, któreś mi wyciągnął.

— Kupmy porębę, to będziesz się mógł odbić, jeśli potrafisz...

— Gdzież ta poręba? przystępuję do spółki! — zawołał po chwili namysłu Karaś.

— W Karczmiskach u Grzesikiewicza — szepnął śpiesznie Świerkoski, oczy mu zamigotały radością, pogładził psa.

— Hi! hi! tydzień temu Szczygielski kupił i już tnie... hi!.. hi!.. — śmiał się Karaś, porwał się z krzesła, zaczął biegać po sali, trzęsąc się cały, zadowolenie malowało się w jego oczkach. — Bufet! sześć mocnych! — rzucił we drzwi. — Powiem ci, Świerk, że chcesz robić interesa, a głupi jesteś, bo się prędko zmiarkują, robisz łajdactwa, ale małe, marne, głupie, które pachną kratką... — Wypił wszystkie sześć kieliszków jeden po drugim, zatarł ręce, poklepał drwiąco Świerkoskiego po plecach i wyszedł razem ze Stasiem.

— Zobaczymy... zobaczymy... — szepnął Świerkoski. — Łajdactwa, co za łajdactwa? chcę zarobić, chcę mieć pieniądze, więc niech się głupi strzegą. Amiś! chodź synku! Podły ten Szczygielski, taka pyszna poręba. — Kopnął psa z gniewu, bo straszny żal nim zatargał, że stracił ten na pewno przewidywany zarobek.

Odebrał z magazynu swój bagaż i naładował na plecy robotnikowi, za którym szedł krok w krok. Staś z okna kancelarji widział, że co chwila Świerkoski obmacuje rogoże i głaszcze. Widział go długo, jak szedł tym swoim krętym, wilczym chodem, rzucając dookoła nieufne spojrzenia.

— Chodź pan, podyktuję panu raport — zawołał Orłowski.

Staś przyszedł do pokoju zawiadowcy i czekał, bo Orłowski chodził wzdłuż pokoju, spoglądał w dwa okna peronu, to przez okienko kasowe, wychodzące na korytarz, wychylał głowę i nasłuchiwał.

— Siądź pan przy moim stoliku.

— Przecież...

— Nie przecież, bo tamtem, to stół ekspedytora.

Orłowski był zawiadowcą stacji i załatwiał czynności ekspedytora.

— Wszystko jedno chyba, skoro pan pełni obie służby.

— Przysięgam Bogu, że mnie pan irytujesz. Nie wszystko jedno, bo wiedz pan, że napiszemy raport na ekspedytora stacji Bukowiec — mówił zupełnie poważnie. Babiński ze zdumieniem spoglądał na niego.

— Panie, sam na siebie raport, co w dyrekcji powiedzą?

— To są głupcy. Porządek, przedewszystkiem porządek i systematyczność, słyszysz pan? Gdybyś się pan trzymał tych zasad, nie zwracałbyś uwagi swojej zwierzchności.

Staś opuścił głowę i wyrzucał sobie, że go zadrasnął: tyle razy postanawiał o nic nie pytać, ślepo tylko wykonywać rozkazy, i znowu nie wytrzymał.

— Pisz pan!

„Jako-że pełniący obowiązki ekspedytora st. Bukowiec swojem nietaktownem, a można powiedzieć i brutalnem postępowaniem przy sprzedaży biletów spowodował to, że pasażerowie zanieśli skargę do księgi zażaleń, którą przy niniejszem załączam, upraszam Wysoką Dyrekcję o ukaranie według uznania, a to w celu uniknięcia na przyszłość podobnych zajść. Jako jedyne usprawiedliwienie ekspedytora, tenże objaśnia, że zajścia owe miały miejsce podczas niebezpiecznej choroby jego córki, która go jakoby miała zdenerwować. Sądzę jednak, że tego rodzaju usprawiedliwienia pod uwagę brać nie można, bo nikogo, ani Dyrekcji, ani pasażerów, nie obchodzą domowe sprawy urzędników, które nie powinny mieć żadnego wpływu na ich czynności służbowe".

— Ależ panie... — protestował Staś.

— Cicho pan bądź! Przysięgam Bogu, bez uwag, panie Babiński. Zapomniałeś pan, że się milczy wtedy, kiedy zwierzchność mówi — zawołał Orłowski.

Babiński zamilkł, przygryzając usta, znowu był zły na siebie.

— Dochodzi! — krzyknął posługacz przez drzwi.

II

Staś pobiegł do aparatu, a Orłowski na peron. Przypatrując się dosyć licznej dzisiaj publiczności, witał się z jakiemiś paniami, za któremi w przyzwoitem oddaleniu chodził uliberjowany lokaj, ale, spostrzegłszy doktora, zwrócił się do niego i przywitał w milczeniu; raportem skinął, dzwonek zadźwięczał, rozległa się gwizdawka prowadzącego, a później maszynisty, i pociąg ruszył dalej.

— Czekałem na ciebie niecierpliwie, przysięgam Bogu, dobrze, żeś przyjechał. Jance jest lepiej, ale zobaczysz i to powiesz mi, bo ja przypuszczam tylko, że lepiej, a nie wiem. Pójdziesz zaraz do niej?

Doktór skinął głową potakująco, bo na ustach miał respirator, który mu bladą, długą i chudą twarz przecinał na dwoje czarną wstęgą; olbrzymie, głębokie kalosze ledwie ciągnął z nogami, uginał się pod futrem, na które miał narzucony płaszcz gumowy, i pod grubym kraciastym pledem, przykrywającym mu ramiona. Szedł wolno po schodach, odpoczywał i odpinał co stopień jeden guzik u płaszcza i jeden u futra. Nie rozebrał się w przedpokoju, tylko wszedł do saloniku i zaczął oglądać i próbować okien, drzwi i lufcików, czy są dobrze pozamykane.

Orłowski już z przed kotary, zasłaniającej drzwi pokoju, w którym leżała Janka, zawrócił i poszedł do służącej.

— Niech Janowa powie pannie Janinie, że doktór przyjechał. Czy przyjąć może?.. Zaczekaj chwilę, służąca ci zaraz powie — zwrócił się do doktora, który z pomocą Rocha, stacyjnego popychadła, rozbierał się z niezliczonych okrywek. — Pójdę na chwilę do kancelarji. Przyślij po mnie, jak skończysz.

Okręcił się kilka razy po pokoju, popatrzył na doktora, szybko podniósł koniec brody do ust, strzepnął ją, wzruszył ramionami i wyszedł.

— Panie Babiński, napiszemy raport. Niech teraz sam od siebie broni się ekspedytor.

Zaczął dyktować Stasiowi, ale co chwila przerywał, stawał na środku pokoju, przygryzał brodę i wsłuchiwał się chciwie w słabe, zaledwie dosłyszalne, odgłosy kroków na górze, bo pokój chorej był tuż nad kancelarją. Słyszał, a raczej czuł, że doktór usiadł przy łóżku, bo jakieś słabe drgnienie przebiegło sufit; zmąciły mu to wyczuwanie dźwięki fortepianu, które się rozlegały bardzo głośno.

— Cicho tam! — krzyknął z gniewem, tupiąc nogą.

Staś uśmiechał się — przecież grająca przez sufity usłyszeć nie mogła; ale pochylił głowę nad papierem, bo Orłowski znowu zaczął dyktować i, nie skończywszy, pobiegł do mieszkania, słuchał chwilę pode drzwiami i szedł znowu na peron, spacerował po nim, nieznacznie spoglądając na okna.

Doktór skończył rozbieranie się, przyczesał siwawe włosy i zapukał do chorej.

— Proszę! — ozwał się dźwięczny, silny głos.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz, gdy wchodził do pokoju. Podniósł story do połowy, opatrzył znowu, czy okna i lufciki domknięte, i dopiero usiadł przy łóżku.

— Jakże się pani czuje? — pytał cicho, odjąwszy respirator.

— Dobrze, chciałabym wstać — odpowiedziała, zadrżawszy, gdy dotknął chłodną dłonią jej ręki. — Tak koniecznie chciałam widzieć doktora, że miałam już pisać dzisiaj — mówiła jakimś dziwnym, prawie altowym głosem, który się jej chwilami przerywał i chrypiał niemile; wtedy przestawała mówić, oddychała głęboko, i głos powracał, ale w wielkich, czarnych oczach migotał ból wysiłku. Uniosła się nieco, skręciła w grecki węzeł całą masę przepysznych rudawoblond włosów, rozsypanych niby snop dojrzałej pszenicznej słomy po pościeli, i mówiła: — Czuję się zupełnie zdrową. W gardle tylko i w piersiach doznaję jeszcze chwilami piekącego bólu, no i głosu mi często brakuje, ale czuję, że się to coraz rzadziej zjawia. Tak, jestem zdrowa, ale się nudzę straszliwie. Doktór zostanie na obiedzie? Mam prośbę do pana... — szepnęła ciszej, i fala krwi przyciemniła na mgnienie jej kredowo-bladą twarz.

— Zostanę, zaraz pani służę. — Wstał i poszedł do kuchni; oczy Janki biegły dotąd za nim, aż zniknął za drzwiami, i gdy po chwili wrócił, zawisły mu badawczo na twarzy.

— Kazałem dawać obiad wcześniej, żeby zdążyć na pociąg — usprawiedliwiał się, siadając. — Jeszcze raz zbadam panią dokładnie, ale jednocześnie mogę słuchać...

Janka spojrzała na niego z wdzięcznością, bo nie miałaby odwagi powiedzieć mu swojej prośby, gdyby czuła jego przenikliwy wzrok na sobie.

Doktór opukiwał ją, oglądał, pytał o niektóre szczegóły, takie, że Janka odwracała mimowolnie twarz do ściany, przycinała usta i odpowiadała cicho, że ledwie dosłyszał. Konsultacja trwała długo, bo badał chorą sumiennie.

— Czy ojciec wie wszystko?... wszystko?... — powtórzyła cicho.

— Zdaje mi się, że nie. — Wyprostował się, żeby odetchnąć i obrzucił ją spojrzeniem, pod którem oczy jej pociemniały i pochyliła głowę niżej.

— Czy powinien wiedzieć? — pytała wolno, z trudem hamując wzruszenie. — Pana się radzę, jako naszego najdawniejszego i najlepszego przyjaciela, który mnie zna od dziecka, a zrobię tak, jak mi pan poradzi. — Milczała dosyć długo, kąty ust zaczęły drgać

w jakiemś bolesnem ściągnięciu. — Nie chciałabym kłamać, co bądźby później nastąpiło, powiedziałabym, ale... boję się... On mnie nienawidził i nie miał racji, ale gdyby, gdyby wiedział teraz o wszystkiem, to... — zacisnęła kurczowo palce, głosu jej brakło, przycisnęła ręką pierś, bo ten zwykły, piekący ból rozgorzał w niej niby zarzewie i palił straszliwie: dyszała ciężko, ale po chwili cichym a szorstkim z powstrzymanego wzruszenia głosem, ciągnęła dalej: — mnie ojca żal, bardzo mi żal.

— To dobrze; on panią kocha, po warjacku może, ale ogromnie.

Olśniła ją nagle myśl jakaś gnębiąca.

— Czy ojciec zupełnie jest zdrów? — zapytała prędko i wpiła się oczyma w doktora.

— Nie... i dlatego trzeba go oszczędzać, nie wzburzać, bo...

— Co? powiedz pan otwarcie; jestem dosyć silna na usłyszenie zupełnej prawdy, a nietylko pragnę jej, ale potrzebuję ją usłyszeć koniecznie. Tyle przypuszczam, tyle symptomatów dziwnych, prawie przerażających widzę, że boję się o niego.

— Tak, dobrze nie jest, bo jego despotyzm, zaciekłość i ta pewna dwoistość, na którą rozłamuje go powoli ta dwoista służba, jaką pełni... Mówili mi w wydziale o jego raportach...

— Czem się to wszystko może skończyć? — zapytała przerażona, bo doktór umilkł i odwrócił od niej twarz.

— Nie wiem, wiem tylko, że nie trzeba nic mówić, nic — powiedział krótko.

— A jeśli będzie chciał wiedzieć? — zapytała twardo, jakby już chciała rzucić całą prawdę w oczy.

— I wtedy powinna pani nie mówić nic. Prawda jest czasami zbrodnią, bo tak samo zabija. A jeśli ojciec nie obchodzi panią nic, to trzeba powiedzieć, zabije go to odrazu i będzie pani miała później spokój i rozwiązane ręce. — Mówił prędko i gniewnie, nałożył zaraz respirator na usta i rzucił się na krzesełko.

Janka patrzyła długo na niego, po jej pięknej, wychudzonej i zmizerowanej twarzy przewijały się najrozmaitsze uczucia: to ból, to gorycz przypominań, to niepokój i trwoga, to głęboka, ciężka apatja powlekała jej twarz, a oczy zaczynały świecić posępnie pod ciemnemi brwiami jakimś ogniem rezygnacji.

— Co pan myśli o mnie? — zapytała wreszcie. Zapragnęła usłyszeć ciepłe słowo pociechy i przebaczenia, i współczucia; była gotową otworzyć serce, dać ujście dręczącym ją uczuciom, bólom i skargom; pragnęła teraz, w tej chwili, rzucić się na piersi czyje i na nich wypłakać wszystkie nędze całego życia, cały nagromadzony żal. Czuła się tak słabą w tej chwili, bezbronną, a skrzywdzoną, że płacz byłby sprawił jej radość i ulgę; ale doktór długo milczał, pociągał się za nos, przygładzał włosy, patrzył w okno, wreszcie odjął respirator, ścisnął jej dłoń i powiedział:

— Że jesteś nieszczęśliwa, że mi cię, pani, tak żal, jak córki własnej.

— O!... doktorze... o! doktorze... — Nie mogła nic więcej powiedzieć, oczy zaszły jej łzami, przycisnęła jego rękę do ust i opadła na poduszki bezwładnie, tylko łzy, jak jasne, drogie, wyhodowane przez cierpienia perły, posypały się z oczu — i taki nagły a wielki rozlew żalu poczuła w sobie, że nie widziała wychodzącego doktora, że nie słyszała nic i nic nie pamiętała. Leżała bez ruchu i prawie bez przytomności; w każdym swoim atomie czuła łzy i niewypowiedziany ból, co przepalał ją całą.

Ocknęła się wtedy dopiero, gdy służąca na małym stoliczku, przy łóżku, postawiła obiad.

— Niech Janowa zabierze zpowrotem, nie chce mi się jeść.

— Adyć ode wczoraj ani krzynki panienka nie zjadła jeszcze. A kto to słyszał tak się morzyć głodem. Adyć i ja, panienko, niezdrowa, o nie!... w dołku mnie cosik tak ściska, że jaże mnie mroczy. — Spuściła story, odniosła obiad i znowu zaczęła narzekać bolejącym głosem. — I na to bolenie żadnego leku niema, a możeby się to lekarstwo zdało, co panienka używa?

— Niech się Janowa wódki napije, to zaraz przejdzie choroba.

— Wódki!... a prawda, panienko. Wódki! a widzieliście moi ludzie! wódki! a to się przed dobrodziejem odrzekłam, bo to i moja pani córka tego chciała, ale że panienka rzekła, że pomoże na ściskanie, to juści być prawdą musi.

— Niechże Janowa idzie sobie — zawołała zniecierpliwiona.

— Idę! idę... tak samo nieraz mówi moja pani córka. Idę! idę... wódki! aby ino *kusztyczek* niewielki i na lekarstwo, to grzech być nie musi. — Wyszła, i zaraz rozległ się skrzyp otwieranego kredensu i szczęk szkła.

Janka nasłuchiwała słabo brzmiących odgłosów rozmowy w saloniku, prowadzonej przez ojca.

Doktór zjadł obiad, nie czekając na Orłowskiego, który przyszedł pod koniec dopiero i rozpytywał o Jankę.

— Zupełnie dobrze, może wstać, zresztą wszystko, co potrzeba robić i używać, tutaj napisałem, masz kartkę.

Orłowski chciwie przebiegał oczyma przepisy.

— Dobrze jest, ale nie krzycz na nią, nie warjuj, bo recydywa dla niej, to śmierć — mówił doktór, a widząc, że twarz Orłowskiego czerwienieje, że zaraz wybuchnie gwałtownym tonem sprzeczki, założył respirator na usta i usiadł przy stole.

— Ja ją zabijam, to przeze mnie chora? krzyczę na nią, co?

— Daj spokój, bo w wielkiej części winieneś wszystkiemu — napisał doktór na kartce ołówkiem.

— Więc i ty mówisz, że ja winienem, że ja! — zakrzyczał Orłowski i, zmiąwszy kartkę, rzucił ją na ziemię, rozdeptał, kopnął i stanął na środku pokoju z rozłożonemi rękoma, jakby chciał głośno zaprzeczać, ale usiadł gwałtownie przy oknie, zaczął bębnić po szybach, otworzył lufcik i krzyknął do robotnika, stojącego na peronie.

— Sygnał od Strzemieszyc, nie słyszałeś, bałwanie, że osobowy wyszedł! — zamknął z trzaskiem lufcik, powrócił na dawne miejsce, zapalił papierosa i natychmiast ze złością go rzucił w piec i zaczął chodzić; po twarzy przelatywały mu jakieś płomienie, targał brodę, poruszał ramionami, zataczał oczyma niespokojnie, ale omijał twarz doktora.

— Nieprawda! Co tylko robiłem, jak postępowałem z nią, wszystko miało na celu jedynie jej dobro. Nieprawda, a tak! — wołał podniesionym głosem, uderzając w stół pięścią.

— Dla jej dobra wypędziłeś ją z domu? — napisał doktór.

— Wypędziłem?... tak, prawda... — jęknął Orłowski, rzuciwszy okiem na kartkę, i jakby go te słowa uderzyły i olśniły, cofnął się, spojrzał mętnie i usiadł cichy i zgnębiony.

— Prawda! — dodał ciszej nieco, i tak żywo przypomniał sobie tę scenę nieszczęsną, która tutaj, w tym samym saloniku, rozegrała się parę miesięcy temu, że przygasłem spojrzeniem powiódł dokoła i pochylił głowę, nie mogąc znieść surowego spojrzenia doktora.

— Ty jej nie znasz! — mówił znowu, wstając i chodząc wolno, i przystając mgnieniowo przy drzwiach. — Opowiem ci krótko. Na wiosnę oświadczył się jej Grzesikiewicz, znasz go, człowiek zupełnie porządny i bogaty.

— I cham zupełny, chociaż zewnętrznie ogładzony wykształceniem — napisał doktór.

— Mniejsza. Nie chciała iść za niego, tak się uparła, że nie pomogły prośby moje, powiedziała, że nie, i postawiła na swojem.

— Miała rację, bo go nie kochała.

— Miłość, co to takiego? głupstwo! — machnął pogardliwie ręką — nie dlatego: tylko chciała mi zrobić na złość, chciała postawić na swojem, i postawiła.

— A tyś także chciał postawić na swojem i zmusić! — pisał szybko doktór i podsunął mu kartkę.

— Tylko jej nie zmusisz! Być może, uniosłem się, no, może w rozdrażnieniu sprawiłem jej przykrość, ale czy powinna była zaraz, natychmiast uciekać z domu, powinna była, pomimo wszystkiego, co zaszło pomiędzy nami, porzucać mnie, ojca, dom? I poco? aby wstąpić do teatru!.. słyszysz, córka porządnego domu, moja córka, do teatru, do teatru! — powtórzył z przyciskiem.

— Wypędziłeś ją, musiała coś zrobić z sobą.

Orłowski aż skoczył, przeczytawszy te słowa.

Oczy mu latały w orbitach, broda i usta trzęsły się od gwałtownego wzruszenia. Zaczął przygryzać brodę i biegać po pokoju wkółko, jak zwierzę w klatce, potem usiadł zpowrotem na fotelu, aż sprężyny zatrzeszczały. Zapanowało chwilowe milczenie; przez okna przedzierał się brzęk przekładanych na stacji szyn, w szyby pluskał deszcz z dawną monotonją, a głuche, jednostajne dźwięki fortepianu sączyły się przez ścianę i rozpylały

w powietrzu. Doktór spokojnie siedział i śledził muchy, marne, ostatnie, jesienne muchy, łażące leniwie po białym obrusie.

— Wypędziłem... ale ona poszła, ani się obejrzała, poszła i ani mi słowa jednego nie powiedziała na pożegnanie, poszła do teatru, na komedjantkę, pomiędzy bandę łobuzów i ladacznic, rzuciła mnie, ojca, dla nich... A niegodziwa, niegodziwa, niegodziwa! — syczał i targał sobie mundur na piersiach i dygotał cały. — Wypędziłem... a ona przez cały czas nie napisała do mnie nawet słowa jednego! Cztery miesiące! Dobrze, że jesteś kawalerem, dobrze, że nie masz dzieci, nie znasz więc tych cierpień, jakie sprawiają one ojcom... Cztery miesiące sam, w trwodze ciągłej o nią, otoczony upokorzeniami, a!.. a!.. — Gniew zatkał mu gardło, że słowa przemówić nie mógł.

— Trzeba było jechać po nią, przebaczyć i zabrać do siebie — napisał doktór.

— Ja miałem jechać, prosić, upokarzać się przed nią, ja?! — krzyczał, uderzając raz po raz zaciśniętą pięścią w piersi, aż dudniło. — Ja? nigdy, niechby mnie raczej djabli wzięli!

— Ciebie nie wzięli, ale ją przez to wzięli!

Orłowski przeczytał, milczał długo, ukrywszy twarz w dłoniach.

— Ja czekałem, że przecież odezwie się w niej córka i powróci — mówił przejętym łzami głosem; — czekałem choćby listu, myślałem, że napisze o pieniądze, bo ona tam nędzę cierpiała, byłbym rzucił wszystko, i na pierwsze jej słowa pojechał i przebaczył, bo przecież to dziecko jedyne moje, a ja nie mam nikogo prócz niej, i jestem stary, bardzo stary, a starość samotna jest gorzką, o jak gorzką, tego ci powiedzieć nawet nie mogę; zresztą, pocóżbym żył, gdybym nie mógł żyć dla niej? Dwa tygodnie temu dostaję z Warszawy telegram, patrz, noszę go przy sobie: „Panna Orłowska chora. Szpital Dzieciątka Jezus. Prosi o przyjazd. Głogowski". Pojechałem. Zastałem ją nieprzytomną. Otruła się, wiesz o tem, boś ją później ratował i uratował, ale dlaczego to zrobiła, nie wiem do dzisiaj.

Doktór spojrzał na niego z pod czoła.

— Odzyskałem ją i traciłem. Byłbym sobie palnął w łeb, gdybyś jej nie uratował. Na złość mi to zrobiła, tak, na złość, żeby mnie zabić, a łajdaczka, łajdaczka!.. — krzyczał prawie i gryzł ręce, szarpał mundur i rzucał się jakby w paroksyzmie obłędu. Uspokoił się po chwili, pozapinał mundur na wszystkie guziki i naciągał machinalnie białe rękawiczki.

— Musisz wiedzieć, dlaczego się truła, przez kogo — mówił spokojnie, ale głos mu drżał i oczy świeciły ponuro. — Powiedz otwarcie, wszystko... tak, wszystko przebaczę jej, ale jeśli tam jest winien człowiek jaki, zabiję, tak mi dopomóż Boże i wszyscy święcił — wymawiał wolno przez błyskające zęby.

— Nie, nic nie wiem — powiedział śpiesznie doktór, zdjąwszy respirator — wiem tylko, że się bała powrócić do ciebie. Co chcesz, to twoja córka i tak samo gotowa jest raczej złamać się, niźli zgiąć. Pogódźcie się, to wam obojgu na dobre wyjdzie. Ona cię kocha, ale jeśli chcesz to usłyszeć sam z jej ust, musisz i ty ją kochać. Poco wy się męczycie, poco?

— Poco? prawda! tyle lat, tyle cierpień...

— Pociąg dochodzi! — zawołał posługacz, wsadzając we drzwi głowę.

— Poco! — powtórzył Orłowski cicho, ucałował doktora i wybiegł śpiesznie.

Doktór poszedł do Janki, ale, że nie spostrzegła go natychmiast, cofnął się i zaraz odjechał. A Janka zapadła w stan dziwnego odrętwienia, w którym się czuje, słyszy, widzi nawet, tylko się nie wie.

Pod czaszką czuła jakąś wielką próżnię, w której rozbrzmiewały echami odgłosy życia zewnętrznego, niezrozumiałe i niepojęte. Patrzyła w głąb nieokreśloną i kilkakrotnie odruchowo powtórzyła słowa doktora:

— Prawda czasami jest zbrodnią, bo zabija tak samo.

I wolno zaczynała później snuć konsekwencje takiego wyznania aż do końca, i cofnęła się, blednąc, opuściła się bezwładnie w sobie, i ostry, przejmujący ból gryzł ją w serce. Nie można — myślała — musi się kryć z przeszłością, musi strzec słów własnych, pilnować się, ukrywać, grać rolę wstrętną obłudnicy. — Ona musi ukrywać coś przed ludźmi, wstydzić się! ona! co niedawno byłaby wyzywała do walki świat cały, ona, co tak dumnie i pogardliwie traktowała błąd wszelki i słabość wszelką, która prawie nie rozumiała, że ona może zrobić coś takiego, z czemby musiała się kryć, bo wszystko robiła świadomie, jak człowiek, który wie, co robi — i teraz, teraz! kryć się musi, udawać, grać komedję — i musi tak robić, a nie inaczej. — Oczy jej pociemniały łzami złości bezsilnej, buntem

przeciwko temu jarzmu narzuconemu; jej gwałtowna natura zrywała się w energicznym proteście przeciwko obłudzie, jaką odtąd żyć musiała.

— Toby ojca zabiło... Tak, tak... — powtarzała ciężko, coraz wolniej, i głęboka litość, pełna bolesnego współczucia, budziła się w jej sercu, ale równocześnie dziwiło ją to uczucie, dziwiło ją, że we własnem sercu znajduje coś, jakby miłość do tego, którego, jak się jej zdawało, nienawidziła, do ojca, który ją tyranizował i męczył lata całe, który ją wygnał z domu. O, jeszcze dzisiaj, teraz, poczuła ból tamtej, przeszłej chwili; odnowiła się rana, którą kiedyś wpłynęło całe morze nienawiści. Zapatrzona w mrok pokoju, powtarzała: Precz! precz!.. i czuła, że ją taki sam kurcz trwogi i bólu ściska, jak wtedy, kiedy ją temi słowami wyganiał na zawsze z domu. — Jestem w tym samym pokoju, pomimo wszystkiego — myślała, rozglądając się i jakby budząc z przykrego uczucia. — Mam go oszczędzać poto, ażeby mnie znowu wypędził, gdy mu się w czem sprzeciwię... Nie miała w sobie odpowiedzi innej, tylko powtarzała ją, krzepiąc się wpół świadomie do odebrania przyszłego ciosu.

— To pójdę, pójdę w świat! — powtarzała bezmyślnie i, przez jakieś skojarzenie dziwne, zaczęła się w niej budzić przeszłość niedawna, wiązała bezwiednie dzisiaj z dniem onegdajszym, bo wczoraj tkwiło w niej szarą, niewyraźną plamą. Zadrżała, bo się jej wydało, że leży w tym samym hotelu, w którym się otruła, że to teraz, mgnienie temu, wypiła truciznę i czeka śmierci, że się przeważa całą duszą wtył i leci z jakimś niemym, okropnym krzykiem trwogi w głąb, w noc, w nicość — przymknęła oczy, wir myśli rozprzężonej zakłębił się w jej mózgu, czuła, że się stacza i nie ma ani sił, ani woli do zatrzymania się na pochyłej drodze, że ta pamięć bólów przeszłych, wszystkich, jakie kiedy bądź przecierpiała, przesyca męką niewysłowioną; zaciskała zęby, mocowała się z sobą, żeby nie krzyczeć i żeby nie oszaleć, żeby to słabe tętno świadomości, jakie czuła jeszcze, nie przerwało się. Otworzyła oczy po długiej chwili tak ciężko i tak zdziwiona, jak hipnotycy, i ostre światło myśli i zupełnej przytomności orzeźwiło ją natychmiast.

— Jestem w Bukowcu, u ojca! tak samo jak dawniej, jak przed czterema miesiącami, i jak dawniej, życie ma być bez celu, z dnia na dzień? Nie powiedziała: nie, ale głębokim, prawie nieświadomym ruchem myśli przeczyła i czuła, że jużby tak samo żyć nie mogła, że jej życie ma teraz nowy etap, że pierwszy skończył się w dniu wyjścia z domu i wstąpienia do teatru. Całą przeszłość dwudziesto-dwuletnią, czasy dzieciństwa, czasy szkolne, kilka lat ostatnich, przepędzonych razem z ojcem, te marzenia, wyczekiwania przyszłości innej i niepodobnej, szalone żądze duszy, szamocącej się w szarym bycie córki zawiadowcy, walki indywidualności, szarpiącej się w jarzmie wegetacji prowincjonalnej — walki z ojcem, wstrętne, marne, a okropne przez swoją tragiczną ciągłość — wszystko to staczało się w przeszłość, w noc, w której zaledwie kontury doniosłych niegdyś zdarzeń widziała teraz. To ostatnie czteromiesięczne życie w teatrze zaczęła rozsnuwać we wspomnieniu. Patrzyła zimno w tę przeszłość niedawną, przypominała sobie teatr i ludzi, w najdrobniejszych szczegółach, i jego nędza z farsami tragicznemi, i twarz jakaś piękna i cyniczna zaczęła się wyłaniać coraz natarczywiej z pamięci i przysłaniać wszystko. Wzdrygała się, jakby pod dotknięciem płazu zimnego i oślizgłego — i w gwałtownem uczuciu złości, nienawiści szalonej, zacisnęła kurczowo dłonie, oczy strzeliły płomieniami, uniosła się, jakby chcąc wstać, iść i mścić się za krzywdy swoje... ale roześmiała się sucho.

— Głupia! głupia! głupia!.. — szepnęła z nienawiścią do samej siebie, przypominając tego kochanka, marną kreaturę, nędznika, do którego czuła większą pogardę niż żal.

— Jak ja mogłam! jak ja mogłam! — myślała z palącym wstydem i uprzytomniała go sobie w całej jego nikczemności i głupocie tak dokładnie, że gryzła poduszkę, aby przytłumić gniew na samą siebie, że chciało się jej krzyczeć, aby ulżyć sobie, żeby wyrzucić ten ogrom nienawiści i wstrętu, jaki się w niej zebrał.

Zadzwoniła na Janową. Nie mogła wyleżeć dłużej. Poczuła się zdrową, zapragnęła pod wpływem tych przejść wewnętrznych ruchu gwałtownego, powietrza, ludzi i przestrzeni. Dusza jej rozbłysła oślepiającym ją samą płomieniem energji, który podrywał, przepalał i unosił.

— Zimno dzisiaj? — zapytała Janowej, pomagającej jej ubierać się.

— A zimno, adyć kiej pies tak gryzie. Panienko! a panienka wie, że dzisiaj był pan z Krosnowy? Szłam, a on mię pyta: Janowa! Grzecznie się ukłoniłam i słucham. A on wąsiki se podkręca i rzeknie: A panna Janina już wstała? — powiadam, a juści że nie,

a on chlasnął bacikiem konia i powiada: A niech się Janowa kłania panience ode mnie. Grzeczny pan...

— To Janowa zna pana Grzesikiewicza?

— Za pozwoleniem panienki, ale my z jego matką... panienka się gniewać nie będzie, co?

— Nie nudcież, mówcie prędzej.

— A tośmy z jego matką, za pańszczyzny, razem chodziły do roboty do dworu.

— Janowa z jego matką? — zapytała dotknięta nieprzyjemnie.

— A juści. Ony są teraz wielkie państwo, pan Bóg im poszczęścił i zostały szlachta, a ja sługuję, jak sługiwałam. A niechta, moja panienko! a niechta Pan Jezus da wszyćkiemu narodowi dobra po zęby, to i biedny się pożywi prędzej. A Grzesikiewicze dobrzy ludzie; że tam stary lubi się kiejś niekiejś napić krzynkę, toć nie grzech, bo majątek robi, a ona taka dobra kobieta, że szukać lepszy, a pewnikiem się nie znajdzie. Przecież ja, no cóż, ja... prosta kobieta jestem, na wyrobku, a jak tam pójdę, to mnie ugości, kiej równą, a przecież ony ziemi mają z tysiąc włók, a taka szlachta wielka! Druga toby nie chciała i patrzeć na mnie, a ta i gada ze mną to o swoim Jędrusiu, to o Józi! Ja i powiadam o swoi pani córce, to znowu ugotować każe wódki z tłustością i częstuje... dobra kobieta.

— Janowa ma córkę?

— Mam panienko! Oho! moja pani córka jest teraz pani! Wzieny ją te warsiawskie państwo, co to do Zwolenia przyjeżdżają co lato, do siebie. Dzieci nie mają, i jak zobaczyły moją Anusię, tak się im spodobała, że nie mogłam się oprzeć i dać ją dałam, bo jakże... miałam dziecku los zagrodzić?.. Teraz je we klasach i na takich wielgich, jak dobrodziej, księgach se czyta, a uczona taka, że po zagranicznemu już gada. — Mówiła z dumą naiwną.

— Często ją widuje Janowa?

Janowa nie odpowiedziała zaraz, otarła nos i oczy zapaską, pokręciła się bez celu po pokoju i dopiero, rozczesując włosy Jance, mówiła:

— Nie można często, bo zimą je we Warszawie, a latem, jak są w Zwoleniu, to Anusia mówi, że się państwo gniewają, jak przychodzić często, i że się przeszkadza w uczeniu. Ciężko mi nieraz, bo chciałoby się człowiekowi pogłaskać ją, przytulić, popłakać z uciechy, ale kiej nie można, bo to i dla niej nie honor, i sama nie śmiem, bo gdzie mnie się dotykać brudnemi ręcami takiej pannicy w szlachetnym ubiorze, co wygląda jak jaka grafinia. Ale moja Anusia dobra, łoni dała mi całego rubla i chustkę, i materji na całe obleczenie. Spłakałam się i aż zaniesłam dobrodziejowi na msze, i krzyżem leżałam na jej intencję, za tę dobroć. — Mówiła cicho, i łzy głębokiej radości szkliły się w jej wyblakłych oczach.

Janka przyglądała się jej uważnie, bo nie tyle zajęło ją opowiadanie o córce, ile to, że razem z matką niedoszłego jej męża chodziła do roboty.

Kazała później poodsłaniać zupełnie okna i wyjrzała na świat.

Zmrok mętny, zielonawy, rozpościerał się nad lasami, deszcz ustał, ale wiatr się zrywał i trząsł drzewami, i prześwistywał po drutach telegraficznych z jękiem żałosnym; zielone światła na stacyjnych wekslach migotały w szarości, niby kwiaty promieniejące.

Janka, wpatrzona w żółcące się nad lasami, nagie szczyty wzgórz, przypomniała sobie te dawne wycieczki w lasy, o takiej porze, i zapragnęła iść zaraz, ale, przeszedłszy przez pokój, osłabła, nogi gięły się pod nią, i czuła się tak wyczerpaną, że poszła do jadalni i usiadła. Janowa zapaliła światło i przyniosła jej cały stos gazet, ale nie mogła czytać, odsunęła płachty zadrukowanego papieru, wpatrzyła się w lampę i długo siedziała bez ruchu, słowa i myśli. Wyczuwała tylko przyjemność, że jest, że żyje, że zaraz, jak tylko zechce, może wstać i iść.

Orłowski, po zdaniu służby pomocnikowi, przyszedł, przebrał się w jakiś stary bez guzików mundur i siadł z drugiej strony stołu, nawprost córki. Janowa szykowała do herbaty.

— Niech się Janowa zapyta, może panienka zje befsztyk, doktór zalecił! — rzucił cicho z za gazety, prześlizgując się tylko spojrzeniem po twarzy Janki, która na to pytanie podniosła oczy na niego.

— Dobrze, niech Janowa usmaży — odpowiedziała Janowej, która powtórzyła dosłownie.

Orłowski błysnął zadowoleniem, położył pismo i sam zaczął z kredensu wystawiać na stół konjak, owoce, kieliszek, ciastka, konfitury, wina. Nie mówili z sobą, chwilami tylko łapali się oczyma i odwracali zmieszane twarze, lub powlekali je udaną obojętnością.

— Janowa!... nalewać herbatę — zawołał, zobaczywszy, że Janka się podniosła i idzie do samowaru.

Usiadła zpowrotem, ale uśmiech jakiś przemknął po jej ustach.

— Niech Janowa poprosi panienki, żeby się przed befsztykiem napiła konjaku, tak doktór zalecił.

Janowa już teraz nie mogła wykrztusić tego polecenia, tylko wytrzeszczyła oczy i patrzała kolejno na nich ze zdumieniem.

— Jeszcze jeden kieliszek niech Janowa wyjmie z kredensu — powiedziała.

— Nie trzeba! — zawołał prędko. — Wypiję z tego samego, niech Janowa powie.

Janka nalała i podsunęła do niego. Zmarszczył się gniewnie, aby pokryć wzruszenie, zaczął chwytać brodę zębami, ale wypił wkońcu i, odsuwając kieliszek, rzekł:

— Niech Janowa podziękuje panience.

Janka, żeby zakryć twarz drgającą już śmiechem, podniosła szklankę i przyglądała się herbacie pod światło.

— Mętna, co? — zapytał się jej prosto, zerwał się i wyciągnął rękę po szklankę, ale usiadł natychmiast i przygryzł brodę. — Niech Janowa naleje świeżej herbaty! — powiedział surowo i zaczął gwałtownie mieszać swoją.

Milczenie zapanowało. Janka wolno jadła, a czując wzrok ojca na swojej głowie, podnosiła chwilami na niego oczy; wtedy on zatapiał swoje w szklance, albo nerwowym ruchem chwytał gazetę i zasłaniał się nią, jak tarczą, aby znowu po chwili, gdy jadła w dalszym ciągu, śledzić każde jej poruszenie głowy i ust i całować ją oczyma.

— Niech Janowa naleje panience wina. Stare wino doktór zalecił — odezwał się, gdy Janka przestała jeść befsztyk.

Po kolacji Janka nie wiedziała, co zrobić z sobą, czuła się znużoną i ociężałą, a nie śmiała iść do swojego pokoju, żeby ojcu nie sprawić przykrości; wzięła jakieś pismo i czytała, ale męczyło ją schylanie się i ugniatał w plecy drewniany tył krzesła — spostrzegł to Orłowski i przyniósł swój głęboki, wybity skórą fotel.

— Niech Janowa poprosi panienki, żeby usiadła w fotelu, będzie wygodniej.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, zakrył się śpiesznie gazetą, marszcząc brwi.

Za oknami wył wiatr, aż filiżanki drżały, a księżyc ukazywał się i znikał za szybko przebiegającemi chmurami. Cisza w pokoju panowała zupełna. Lampa płonęła jasno i rzucała smugi światła na ich głowy pochylone nieco; czasem zagrała trąbka dróżnicza na linji, lub pociąg z hukiem i szumem przebiegał przez stację, i tak ciężko, że dom cały drżał i szklanki szczękały w kredensie; wtedy Orłowski podnosił się, patrzył przez okno na czerwone światła, zakończające pociąg, i po jego zniknięciu siadał znowu do czytania.

Janka odłożyła gazetę, bo było jej niewygodnie czytać, położyła się prawie w fotelu i patrzyła na Janową, siedzącą w kuchni, zaraz przy drzwiach otwartych do jadalni, z pończochą w ręku. Stary Roch, posługacz stacyjny, klęczał przed kominem i kawałem sukna szorował rondle. Ten spokój, jakiś senny i ciepły, zaczął na nią oddziaływać kojąco. Czuła się dobrze w tem kole dobrobytu i życzliwości — i bezwiednie porównywała to z ostatniemi tygodniami w teatrze, pełnemi głodu, nędzy najstraszliwszej i cierpień. Przetarła ręką czoło, jakby chcąc odegnać przykre mary. Spostrzegł ten ruch Orłowski.

— Jeżeli panienkę głowa boli, to są proszki, niech się Janowa spyta!

— Nie, dziękuję, nic mi nie jest, czuję się zupełnie zdrową.

Rozrzewniła ją ta troskliwość i zdumiewała zarazem, bo po raz pierwszy jej doświadczała.

Orłowski zaczął czytać gazetę półgłosem z początku, a upewniwszy się, że ona słucha, czytał dalej już pełnym głosem, wybierając umyślnie najciekawsze rzeczy.

Była zdumiona i wdzięczna głęboko. Czuł to, bo się przysłonił gazetą, i w akcentach głosu drgało rozradowanie, modulował go, spieszczał, z usilnością wygładzał jego szorstkie brzmienia, żeby tylko jej nie razić, żeby tylko zechciała słuchać czytania jak najdłużej, bo sprawiało mu to nieznaną dotychczas radość.

Wieczór się ciągnął długo, a Janka, rozmarzona winem, ukołysana tą atmosferą pokoju, ciepła, łagodnych brzmień ojcowskiego głosu, usnęła. Spostrzegł to i natychmiast

pocichu wyniósł się do swojego pokoju, zostawiając drzwi otwarte, żeby móc patrzeć na nią choćby zdaleka. Nie czytał, chociaż gazetę podnosił co chwila do oczu, bo litery mu się zmieszały i nie rozumiał, widział tylko ją. Wstrzymywał prawie oddech, bał się poruszyć na krześle, nie zapalał papierosa, żeby trzask zapałki, lub dym nie zbudziły śpiącej. Siedział i patrzył na nią z głęboką czułością, i miał szaloną chęć iść i ująć w dłonie tę drogą głowę, i całować; o, teraz czuł w całej potędze, jak mu jest bardzo drogą, jak ją kocha. Serce mu biło wielką, ojcowską miłością. Już nie pamiętał nic z przeszłości. Czuł, że ją i dawniej musiał kochać, chociaż zdawało mu się, że nienawidził. Z jakimś uśmiechem głębokim myślał, że teraz jego życie będzie jednem pasmem szczęścia, i zaczynała się w mózgu formułować idea wyniesienia się z kolei, zamieszkania gdzieś w mieście z nią razem, i już się widział tam, już w myśli prowadził Jankę, wspartą na jego ramieniu, dumną i piękną, pomiędzy roje ludzi — i podnosił głowę coraz wyżej, i miał ochotę wołać: Patrzcie, to moja córka, moja! Z drogi wszyscy, z drogi! — rozmarzał się w szczęściu coraz głębiej.

W okna uderzał wiatr, i głęboki szum lasów płynął smutną pieśnią, czasem pociąg z hukiem przebiegał, a wszystko drgało i przyciszało się, senniało znowu. Z sąsiedniego mieszkania Zaleskich zaczęły przenikać ciche, przytłumione murami i odległością, dźwięki fortepianu i lały się nieskończoną, monotonną strugą gam, to buchały wrzawą zgiełkliwą rapsodji, albo śpiewały księżycowe hymny rozmarzeń, dreszczów nocy wiosennej, łkań, lub nuciły rzewną, prostą, a głęboką, jak wieczność, piosnkę miłości.

Orłowski słuchał tej muzyki w coraz większem zniecierpliwieniu i już się zerwał, aby iść i prosić o zaprzestanie, kiedy zobaczył, że Janka się przebudziła i szukała go oczyma. Podszedł prędko, ale podniosła się, nie zauważywszy go, i poszła do swojego pokoju.

— Janowa! niech Janowa powie dobranoc panience ode mnie — powiedział cicho do służącej i poszedł spać.

III

Janka źle spała tej pierwszej nocy po skończonej prawie chorobie.

Budziła się często i często jej się zdawało, że jest jeszcze w szpitalu. Widziała tę długą, białą, pełną łóżek salę, w której niedawno leżała. Spoglądała na poprzeczną ścianę sali, tam, gdzie obraz Matki Boskiej, słodko i z miłością patrzący na chorych, poprzez żółtawe blaski oliwnej lampki. Pamiętała to spojrzenie, miała je w mózgu. Nieraz w te nieskończone, długie i okropne noce szpitalne, kiedy się budziła, biegła oczyma do tego obrazu, wisiała duszą u boskiego uśmiechu Królowej, piła słodycz i dobroć jej spojrzenia i długie, nieme, niewypowiadane modlitwy i skargi słała do niej.

Podnosiła głowę teraz i zdawało się jej, że słyszy jęki chorych, chrapliwe rzężenia konających, że słyszy płaczliwe, żebrzące zmiłowania słowa modlitw, szeptanych spalonemi gorączką ustami. Przymykała oczy i leżała cicho, bez ruchu, w trwodze niepojętej; przyciszało się w niej życie i zawieszało na mgnienie, aby tę śmierć, którą czuła snującą się w szarych cieniach, którą prawie widziała, jak przemyka się pomiędzy łóżkami i kościstemi palcami dotyka chorych, i świeci czarnemi, pustemi oczodołami, omylić, aby się jej wydrzeć podstępem choćby; albo zrywała się gwałtownie, siadała na łóżku, bo krzyk wielki, wstrząsający, rozdzierał boleśnie ciszę. Śmierć! — powtarzała zbladłemi ustami. — Śmierć! — i serce przestawało jej bić w dręczącym bólu strachu, rozpaczy i oczekiwania.

Mary zmęczonego mózgu wysuwały szpony przypomnień i darły jej duszę strzępami uczuć gorzkich i bolesnych, przeszłemi nędzami, a tak okropnie, że nieomal krzyczała ratunku.

Bukowiec, Bukowiec... powtarzała z uporem i tak długo, aż ten dźwięk zamienił się w obraz i w świadomość i wypędzał z pamięci wszystko, i zapełnił ją całą. Nie pamiętała znowu tych czterech miesięcy teatru; rozmyślała o nim jak dawniej, zanim go poznała, i jak dawniej zaczęła roić przyszłość, zapalać się, entuzjazmować, przerzucać od pewności zwycięstwa do zupełnej apatji i zniechęcenia, i jak dawniej gwałtowna jej dusza zrywała się do walki, do zdobywania szczęśliwości nieznanej, drżała namiętnem i niesformułowanem pragnieniem życia wolnego, wyłamania się z wszelkiej zależności; i jak dawniej nienawidziła ojca, przymusu wszelkiego i wierzyła, że posiądzie to wszystko nieznane a wielkie, czego pożądała, i jak dawniej szarpała się w męce i rozbijała o pręty klatki, w której los ją umieścił. Wreszcie wyczerpana usnęła i już nieprzerwanie spała do rana.

Obudziła się dziwnie rzeźwa i zdrowa. Wstała natychmiast i poszła do okna. Poranek był przepiękny, jeden z tych, jakie bywają czasami w październiku, pomiędzy dwiema serjami deszczów. Pożółkłe trawniki pokrywał szron, mieniący się w słońcu, które świeciło jasno i rozlewało potoki ciepła i wesela na czerwone liście buków, na rdzawe korony grusz, stojących w ogródku, na blado-złote, jakby z najczystszego, nietopionego jeszcze wosku topole; na zielono-perłową ruń zbóż młodych, ciągnących się długim pasem, równolegle z szynami kolei; — odbijało się w kałużach wody, jakby w taflach z seledynu, rozzłacało powietrze i te długie mury lasów stojących bez ruchu, zatopionych w jakiejś usypiającej ciszy. Drzewa zdawały się wolno oddychać i podnosić ostatnie pędy i nieopadłe jeszcze liście ku słońcu, i piły światło i ciepło. Wróble z krzykiem radosnym trzepotały się pod magazynem i jakby oszalałe ciepłem biły się zajadle, i całemi bandami obsiadały dachy, wieszały się na drzewach i znowu spadały ze świergotem na ziemię.

— Bardzo ciepło dzisiaj? — zapytała Rocha, który z mokrą ścierką w ręku suwał się na kolanach po pokoju i wycierał podłogę.

— Ciepło! e... panienko, ciepło je galante, ale i zamróz je też galanty.

Roześmiała się z tej odpowiedzi i zapragnęła ruchu, powietrza, poczuła w sobie dawną Jankę, silną i niezmożoną. Zaczęła się krzątać po pokoju i zapytała go znowu:

— Pan na służbie?

— Na służbie! e... jużci że na służbie, bo pan Zaleski pojechał dodnia na swej maszynie i nie wrócił, pan naczelnik go zastępuje.

— Na rezerwie pojechał?

— Na rezerwie! e... nie panienko, na taki maszynie, co to się siada na ni okrakiem i ino się kalikuje nogami, a ona się kręci sama; pan Zaleski cięgiem jeździ na niej!

— Bicykl.

— Biceg! e... juści, bo mi onegdaj na odwieczerzy pedział: Rochu, przyprowadź biceg z magazynu. Przyprowadziłem juche delikatnie kiej kunia, a on se skoczył na bicega tego i pojechał, a to kółeczko ino się lśniło.

Aż przymrużył oczy, tak sobie żywo przypomniał to lśnienie, i szorował dalej.

Janka zaczęła oglądać całe mieszkanie. Słaniała się nieco, nogi drżały pod nią, z uczuciem dzieciństwa uczyła się prawie chodzić i myślała, oglądając, że przez te cztery miesiące nic się tutaj nie zmieniło, tylko więcej niż zwykle kurzu leżało na meblach i fortepian był przykryty dywanem. Usiadła przy nim i otworzyła, ale nie śmiała uderzyć w klawisze, które się w tem ostrem świetle słonecznego dnia wydawały niby wyszczerzone zęby jakiejś czaszki trupiej. Pewien lęk niewytłumaczony powstrzymywał ją, czuła, że, uderzywszy, obudzi jakąś przeszłość, która ją znowu otoczy tumanami przypomnień bolesnych, bo sam widok już przypominał jej, że w tym samym saloniku oświadczał się jej Grzesikiewicz, i z tego samego saloniku ojciec ją wygnał z domu. Zimno ją przejęło, poszła do swojego pokoju, nie mając nawet odwagi zamknąć fortepianu. Usiadła w oknie i przyglądała się stacji.

Karaś, na maszynie rezerwowej, podciągał ładowne wagony pod rampę, i co chwila rozlegał się głuchy huk buforów, uderzających o siebie przy dojeżdżaniu. Świerkoski szedł z psem linją i stał chwilę przy robotnikach, rozkopujących plant i huczących oskardami przy podbijaniu podkładów. Jacyś Żydzi snuli się po rampie, na której leżały stosy worków ze zbożem, dziesiątki furmanek chłopskich zabierały węgiel z wagonów, słychać było zgrzyt żelaznych szufli o węglarki, skrzyp wozów i poganianie koni. Orłowski chodził po peronie w czerwonej czapce i w białych rękawiczkach, co chwila spoglądając na nią.

Życie toczyło się dokoła po codziennej równi cicho i automatycznie prawie, a ona tak odwykła od niego, iż z pewnem zdziwieniem i przykrością patrzyła; zobaczyła, że ci ludzie poruszają się jakoś sennie, że się tutaj nie śpieszy nikomu, że tutaj nikt nie potrąca i nie prześciga drugich w pośpiechu; że gwar ustawiczny wysiłków, zgiełk, szamotanie się, ostra i wyczerpująca walka współzawodnicza nie istnieje tutaj, że muszą czuć mało i myśleć jeszcze mniej, tyle tylko, ile potrzeba było do roślinnego prawie życia, do zaspokojenia najpierwotniejszych potrzeb; że wszyscy mają w sobie coś z tej ziemi, odartej już z barw lata, smutnej i jakby zamierającej, szarej a silnej, z tych lasów wielkich; czuła w ludziach tę samą twardość, co w dębach, których potężne, rosochate korony, pokryte zrudziałemi liśćmi, miała przed sobą, po drugiej stronie stacji; ten sam smutek

rezygnacyjny i nieświadomy, jaki był w wielkich brzozach, co świeciły białemi pniami z pośród ciemnych świerków; i tak samo ci ludzie zaczynali mowę i milkli nagle, jak las, który się rozkołysał, rozszemrał, rozchwiał niewiadomo dlaczego i milknął, i opuszczał się w zadumę, także niewiadomo dlaczego.

Chodziła po pokoju i myślała o takiem cichem życiu, oddanem pracy i obowiązkom, o życiu tylko ciał i mięśni, uwięzionych w jarzmie potrzeb codziennych. Wzdrygała się. Nie, onaby nie mogła tak żyć i tak powoli, bez protestu i świadomości, staczać się do śmierci, tak rozmieniać się na nędzne prace codzienne, małe myśli, kręcenie się w kółku, niezmiernie gładko wyszlifowanem, ale niezmiernie ciasnem.

— Wyzdrowieć tylko zupełnie! wyzdrowieć jak najprędzej! — myślała, ale jeszcze nie miała odwagi nic postanowić, co z sobą zrobi później, po wyzdrowieniu. Czuła tylko, że przecież tutaj nie pozostanie. Przy obiedzie była mniej ożywiona.

— Czy dróżki w lesie bardzo rozmokłe? — spytała Janowej.

— Nie, panienko, byłam rano na rydzach, to sucho całkiem.

— Są rydze? — i pociągnęła nozdrzami, bo poczuła ich zapach.

Janowa przyniosła ich cały koszyk i pokazywała. Orłowski kręcił się niespokojnie po pokoju, chciał coś mówić, ale dopiero wychodząc po obiedzie rzekł do Janowej:

— Janowa powie panience, żeby się ubrała ciepło, jeżeli chce iść do lasu, ja przyślę pana Babińskiego, to z nim pójdzie, bo sama może się jeszcze zmęczyć.

Poszedł znowu na dół do kancelarji i bardzo serdecznie prosił Stasia o towarzyszenie córce na spacer, lecz w duszy był wściekły, bo sam miał ogromną chęć iść i prowadzić ją pod rękę, ale za nic w świecie nie byłby w stanie tego zaproponować. Żeby stłumić gniew, wyszedł na podjazd, który Roch zamiatał, i zaczął krzyczeć na niego:

— Niedołęga, przysięgam Bogu. Trzyma miotłę jak pióro! Słyszysz, co mówię! wszystkie liście zostają za tobą; jak zamiatasz, co?

— Zostają! e... nie, panie naczelniku! e... zamiecie się, zamiecie doczysta, będzie alagancko kiej w izbie — usprawiedliwiał się spokojnie i dalej zamiatał.

Orłowski miał już odejść, gdy go doszedł tętent konia; ktoś jechał lasem. Przysłonił ręką oczy, bo słońce raziło go, i, poznawszy jeźdźca, który wychylał się z lasu na bułanku z białą grzywą i ogonem, uśmiechał się radośnie.

— Roch! potrzymaj panu dziedzicowi konia! — krzyknął, gdy jeździec zeskakiwał na podjeździe.

— Dzień dobry! — skrzyżowały się powitania i ścisnęły się silnie dłonie.

— Panie Andrzeju, pozwólcie do mnie, na chwilę. Nie proszę na górę, bo... — zaciął się, przygryzł brodę i machnął ręką.

— Jakże zdrowie panny Janiny? — zapytał Grzesikiewicz, kiedy się już znaleźli w kancelarji.

— Dobrze, tak dobrze, że dzisiaj ma zamiar iść trochę się przejść.

— O! — szepnął Andrzej, i jego blado-niebieskie oczy pociemniały jakąś myślą, zaczął skubać niewielkie, jasne wąsy.

— Więc jest zupełnie zdrowa, co? — zapytał po chwili.

— Zupełnie. Doktór był wczoraj i mówił, że zupełnie. A bo niedosyć miałem trzy tygodnie ustawicznej trwogi, wiszenia pomiędzy życiem a śmiercią.

Mówił szorstko i w nagłym przypływie uczuć chwytał coraz szybciej zębami brodę.

— Ja dawniej wiszę — szepnął cicho Andrzej, z jakimś ledwie odczutym akcentem bólu, i twarz mu pobladła, ale oczy natychmiast rozbłysły dawną energją wytrwania i uporu.

— Cóż tam u was słychać? kartofle kopiecie?

— Kończymy kopać; za tydzień chcę już zacząć odsyłać do gorzelni.

— Rodzice zdrowi? ojca jakoś dawno nie widziałem.

— Mama zdrowa, a ojciec także zdrów, o zdrów! — roześmiał się sucho i trochę cierpko. — Nie zabieram panu czasu. Może pan zechce zanieść pannie Janinie pozdrowienie ode mnie, dobrze? — zakończył ciszej.

Orłowski spojrzał bystro na niego, uścisnął mu ręce i powiedział:

— Dobrze, dobrze. A mamie ucałowanie rączek ode mnie.

Wyszli pod stację, i Grzesikiewicz odjechał galopem. Orłowski długo patrzył za nim, na jego rozrosłą, pochyloną nad karkiem konia postać.

— Szkoda, taki chłop jak dąb — myślał. — Szkoda! Żeby Janka chciała tylko... Może się to wszystko jeszcze dobrze ułoży... może teraz się zgodzi. Szkoda! — powrócił do kancelarji i zamyślił się głęboko.

Wszedł za nim Świerkoski, usiadł na kanapce, złamał się we dwoje, jak zwykle, i gonił oczyma po pokoju.

— Przyszedłem prosić pana o radę — zaczął, wsuwając ręce w rękawy.

— A owszem, owszem, jeśli będę mógł tylko.

Świerkoski zaczął mu obszernie opowiadać o interesie, jaki miał zamiar przeprowadzić, o dostawie trzystu sążni kamienia brukowego. Chciał się podjąć tej dostawy, bo obliczał, że można na tem zarobić w przeciągu dwóch lat około trzech tysięcy rubli. Rozsnuwał swoje plany i projekty, zapalał się do tego zarobku, aż mu oczy świeciły chciwością i usta drżały nerwowo. Przedstawił to przedsiębiorstwo w najpiękniejszem świetle.

— Co ja mogę innego radzić, bierz pan! — powiedział Orłowski.

— Potrzeba kilku tysięcy rubli, żeby puścić w ruch interes, a ja tyle nie mam. Otóż przychodzi mi na myśl, właściwie przyszedłem, z nią: zaproponować panu spółkę w tem przedsiębiorstwie. Trzydzieści procentów od kapitału włożonego jest pewne.

— Przysięgam Bogu, a naco mi to! — Prawda, mam kilkanaście tysięcy rubli w papierach procentowych i na hipotekach, ale niełakomy jestem na wielkie procenty, wystarczają mi dotychczasowe.

— Cztery, pięć, no sześć procent najwyżej, ależ to śmieszne! szczególniej teraz, gdy można mieć trzydzieści. Gdybym ja miał taki kapitał, to ręczę, że w krótkim czasie podwoiłbym go i potroił. Puściłbym go w ruch, umieścił w interesach, niech się powiększa, niech robi dziesiątki tysięcy, setki, miljony. Niech płynie szerokiem korytem, niech po drodze zbierze, co się da zebrać, niech potężnieje.

— Albo niech zginie bez śladu, bo i to się trafia — przerwał mu Orłowski.

Nie odpowiedział natychmiast Świerkoski, bo go olśniły własne słowa i projekty, a odmowa Orłowskiego przejęła go zimnem i żalem ogromnym, że te marzenia się nie urzeczywistnią.

Spojrzał na Orłowskiego ze źle pokrytym gniewem i nienawiścią.

— Widział się pan z tym chamem? — szepnął twardo.

— Z jakim chamem?

— No, z tym Grzesikiem — objaśnił drwiąco.

Orłowski rzucił się gwałtownie.

— Widziałem się z panem Grzesikiewiczem.

— Skądże on Grzesikiewicz! Grzesik, karczmarski syn, wszyscy wiedzą o tem.

— Dobrze, ale poco i dlaczego pan mi to mówi? — zapytał gwałtownie Orłowski.

— Myślałem, że pan nie wie, chciałem ostrzec po przyjacielsku.

— Dziękuję, przysięgam Bogu, dziękuję, ale zupełnie dobrze się obywam bez takich wiadomości — mówił, biegając po pokoju, zirytowany.

— To się tak mówi: obejdę się, a jest inaczej zupełnie. Proszę pana, ludzie są podli i maskują się, aby wyprowadzić w pole takich, jak pan, a Grzesikowi potrzebne jest ukrywanie swego pochodzenia przed państwem. Ho! ho! gra on teraz rolę szlachcica, pana wielkiego. Tfy! chamczuk psiakrew — szeptał nienawistnie i spluwał z pogardą.

— Panie Świerkoski, przysięgam Bogu, ale oszczędź mię pan, nie chcę słuchać więcej.

— Dobrze! Amis! do domu. — Podniósł się ciężko, jego trójkątna wilcza twarz pokryła się jakimś ceglanym rumieńcem, głowa zaczynała mu drgać z hamowanego wzruszenia, a długie, chude, o bardzo rozwiniętych węzłach palce, podobne do pazurów, darły z wściekłością kożuch.

— Spółki pan nie chce? — zapytał już w progu.

— Dziękuję, zarabiaj pan sam, prędzej się zbogacisz — rzucił mu szyderczo Orłowski.

— O! o! pan szydzisz ze mnie — zawołał chrapliwie.

— Nie, panie, Świerkoski, ja życzę panu z całego serca zbogacenia rychłego.

Świerkoski wyszedł bez słowa, ale zaraz za drzwiami wyprostował się dumnie i podniósł zaciśniętą pięść. — Poczekaj! poczekaj — syczał. — Odbiję to wszystko kiedyś na tobie. Będziecie jeszcze się nisko kłaniać Świerkoskiemu, będziecie! — myślał, śpiesznie

biegnąc do mieszkania. W pierwszym, pustym prawie pokoju, gdzie, oprócz łóżka zbitego z nieheblowanych, sosnowych desek, takiegoż stołu i ławeczki, nie było nic więcej, rozebrał się, włożył pantofle i stary szynel dróżniczy w miejsce szlafroka i tak przebrany poszedł do salonu, od którego klucz zawsze nosił przy sobie. Salon stanowił wielki kontrast z resztą mieszkania, bo był literalnie zapchany meblami bardzo wytwornemi i drogiemi. Świerkoski otworzył wewnętrzne okiennice i zabrał się do rozpakowywania wczorajszej przesyłki, jaką odebrał. Było to maleńkie, damskie biureczko, inkrustowane perłową masą, prześliczne cacko, zniszczone już i pokryte pleśnią wilgotnych składów, obejrzał je z radością, bo udało mu się kupić je bardzo tanio w jakimś pociejowskim składzie.

— Franek! herbaty! — krzyknął do kuchni i zaczął wolno cłapać pantoflami, zrobionemi ze starych kamaszków. Przystawał przed sprzętami, dotykał się z pieszczotą mahoniów lub palisandrów, gładził aksamity pokrycia, przeglądał się w wielkich zwierciadłach, zasnutych pajęczyną, bo nie było wolno Frankowi uprzątać, ani nawet zaglądać do tego skarbca, okręcał głowę w jedwabne, brudne portjery, zasłaniające drzwi, albo na chwilę siadał na przepysznej, tylko nieco poplamionej otomanie, pokrytej wiśniowym w złote pasy aksamitem, o który omdlewającym ruchem kota obcierał policzki, przymykał oczy z rozkoszy, przeciągał się, ogarniał pokój dumnem spojrzeniem i szeptał: — Moje! moje!

— Franek! herbaty! — Pił szklankę za szklanką, palił papierosy jeden za drugim i rozmarzał się coraz bardziej. Zwinięty w kłębek na otomanie, jak Amis, który leżał w drugim końcu, otoczony kłębami dymu, przez który świeciły fosforycznie jego żółtawe, wilcze oczy, puszczał wodze marzeniom, pozbywał się codziennych trosk, zrzucał z siebie skórę zwykłą, znaną wszystkim, zostawiał gdzieś daleko tego Świerkoskiego, który nienawidził wszystkich: i tych, co byli dobrzy za dobroć ich, bogatych za bogactwa, biednych, bo mu byli wstrętni, pięknych dla ich piękna, szlachetnych, bo uważał ich za głupców, mądrych, bo drwił z mądrości, bo nienawidził tej mądrości, która wskazywała jakieś większe, piękniejsze cele w życiu, niż pieniądze, cały ten Świerkoski, który się wił ciągle w wiecznych pożądaniach nigdy niezaspokojonej ambicji i chciwości, zniknął, została tylko dusza, która już osiągnęła wszystko i tem wszystkiem się rozkoszowała.

Chodził już w myśli po wspaniałych salonach, czuł się bogatym i podziwianym, uśmiech osiadł mu na wąskich wargach, wił się po twarzy i przenikał rozszerzone dumą serce jakimś olbrzymim przypływem pychy i zadowolenia; jego niskie, wysunięte nad twarzą czoło idjoty, sfałdowane głębokiemi zmarszczkami, zdawało się promieniować jakąś zielonawą aureolą. Wyjął z pugilaresu dziesiątki losów loteryjnych najrozmaitszych krajów, porozkładał je przed sobą i zapatrzył się w wielkie szeregi cyfr, w sumy, jakie obiecywał wygrywać.

— Dwieście tysięcy rubli! — szeptał z głęboką czułością, rozwijając pożyczkę premjową. — Dwieście tysięcy rubli! — przeginał się jakoś lubieżnie, bo ten słodki dźwięk łaskotał rozkosznie po sercu.

— Trzysta tysięcy marek! — zdawał się szeptać różowy los loterji hamburskiej.

— Dwieście tysięcy marek! — śpiewało mu w duszy od błękitnego losu saskiego.

— Sto tysięcy florenów! — grzmiały czerwone węgierskie.

— Pół miljona franków! — rozległ się głęboki, poważny głos liljowego papieru z głową rzeczypospolitej francuskiej w pośrodku.

— Miljony! miljony! miljony! — szeptał, uśmiechając się słabo, i te miljony już czuł przy sobie, rozpalały mu krew, przenikały siłą potężną, rozprostowywały skurczoną w pożądaniu duszę, podnosił głowę coraz wyżej, oddychał głęboko, jakby wciągając słodki a denerwujący zapach tych pieniędzy, aby je wchłonąć w siebie, aby je czuć we własnej krwi.

— Miljony, moje miljony — skandował wolno razy kilkanaście z uporczywością idjoty i kretyna, olśnionego świecącą blaszką. — Moje — i nie pamiętał już nic, że prowadzi życie nędzne, że żywi się chlebem, kartoflami i herbatą, że oszukuje zarówno ludzi, jak i siebie, że dla tych urojeń poświęcił w życiu wszystko, że te losy kłamały, że oszukiwały go dwa razy rocznie, że przez nie umierał prawie z rozpaczy, ponieważ nie padała na nie wielka wygrana — nic, nic już nie pamiętał, bo w najtajniejszej głębi jego istoty tkwiła niespożyta wiara w spełnienie się tych idjotycznych marzeń.

*

Orłowski poszedł na górę, był wściekły za odezwanie się lekceważące o Grzesikiewiczu: Cham! Grzesik! karczmarski syn! — myślał, powtarzając ze złością słowa Świerkoskiego. — Tak, ale porządny człowiek, wykształcony, dobry, bogaty. Co im do tego? Co to kogo obchodzi! — Dopiero po jakimś dłuższym czasie uspokoił się i zaczął rozmyślać, dlaczego tak Świerkoski mówił, co w tem miał za interes! Uderzył się nagle w czoło i kilka razy z rzędu schwycił brodę zębami. — Ach! on może myśli o Jance, zazdrość o Andrzeja żre go, a! rozumiem teraz, rozumiem. Mój panie Świerkoski! za małyś dla Orłowskiej, za mały — szeptał, uchylił drzwi do kuchni i zawołał:

— Niech Janowa powie, że pan Grzesikiewicz przesyła ukłony panience.

— Panie Stanisławie! — mówił do Babińskiego, zeszedłszy do kancelarji — córka już czeka na pana.

— Jestem gotów, tylko zechce mnie pan przedstawić, bo nie mam przyjemności znać osobiście szanownej panny Janiny — mówił Staś uroczyście, naciągając rękawiczki.

Zaprowadził go, przedstawił w dwóch słowach, nie patrząc na Jankę, i wyszedł.

— Ja czekałem tylko wyzdrowienia pani, aby przyjść z prośbą o pożyczenie książek do czytania — mówił Staś. — Takie nudy, takie nudy, że moi przyjaciele warszawscy są zdumieni, że ja wytrzymam tutaj.

— Pan niedawno w Bukowcu?

— Od trzech miesięcy, pani! — powiedział z tak komicznem ubolewaniem, że Janka roześmiała się: wydał się jej sympatycznym i zabawnym z tą różową cerą młodej dziewczyny i z tą nieśmiałością dziecinną, śmieszną przy jego brodzie i wysokim wzroście, i rozwiniętych ramionach. Robił wrażenie chłopaczka, ucharakteryzowanego na mężczyznę.

— Chodźmy, pokażę panu, że Bukowiec, chociaż nudny, brzydkim nie jest.

Podał jej rękę, gdy szli, ale się tak zarumienił gwałtownie, że odwracał głowę, aby tego nie spostrzegła. Prowadził ją z największą ostrożnością, bo nogi się jej plątały.

— Babiński, a uważaj pani — zawołał za nim Orłowski przed stacją.

— Czy do lasu pójdziemy?

— Tak, musiał go pan już poznać trochę?

— Nie. Byłem raz i zbłądziłem, a po drugie, mama mówi, że to niezdrowo teraz chodzić po lesie, za dużo wilgoci, więc niebezpiecznie, można się przeziębić, dostać febry.

— O! pan się chyba o siebie obawiać nie powinien — powiedziała, obrzucając go spojrzeniem.

— Ba... właśnie, że muszę się pilnować, ciągle muszę pamiętać; mama mówi, żebym nie zaniedbywał, bo zwykle jedna choroba przygotowuje następne. — I zaczął obszernie opowiadać o środkach leczniczych, o wycieraniu się kamforą po każdem zmęczeniu, o obwijaniu flanelą do łóżka, mówił z całą naiwnością, a tak serjo, że Janka powstrzymywała się, aby nie wybuchnąć śmiechem.

— Ma pan dobrą mamę — powiedziała mu krótko, gdy skończył.

— O pani! myślę, że takiej drugiej niema na świecie — i znowu snuł tysiączne szczegóły o rozrzewniającej troskliwości matczynej, i pomimo nieśmiałości, z jaką do niej się zwracał, jaką miał w spojrzeniu niebieskich oczu, w ruchach, w uśmiechu — gadał i gadał niepowstrzymanie.

Nie odzywała się, nie słuchała go nawet; puściła jego ramię i szła środkiem dróżki leśnej, przemiękłym piaskiem, obeschłym tylko zwierzchu. Las nakrywał ich potężnie rozrosłemi konarami, tylko przez gałęzie błyskały kawałki bladego nieba i na mchach żółtawych, na skręconych, rudych i zeschłych piórach paproci drżały miejscami złotawe blaski słoneczne. Suche szyszki, zwieszające się ze świerków niby pełne wrzeciona, spadały im pod nogi i w doły pełne zgniłej wody, w której odbijało się słońce. Nad strugami stały czarne olchy, albo biało-srebrnawe osiki trzepały listeczkami, pomimo zupełnej ciszy i spokoju, panujących w lesie. Potężny zapach żywicy, liści gnijących, surowizny, kory i ziemi przemiękłej unosił się po lesie. Janka błądziła w zadumie oczyma po lesie tak dobrze jej znanym, odnajdywała wszędzie znajomych: wielką górę skalistą i nagą, żółcącą się zrudziałemi głazami, jakieś wapienne zbocza, po których się pięły, niby wyciągnięte

szpony, długie pędy jerzyn; olbrzymie sosny, co migotały zdaleka swoją czerwonawą korą, istne bursztynowe kolumny, poplamione rdzą; strumyki, które się sączyły pomiędzy korzeniami drzew, jak pasma jedwabiu lśniące; ścieżki, polanki z bagniskami w pośrodku, poznawała wszystko, myślała w Warszawie nieraz o tym lesie, było teraz tak, jak chciała, aby było, jak pragnęła — a jednak zobaczywszy, poczuła brak czegoś: nie witała uniesieniem, bo ten las był jej prawie obojętnym teraz, nie czuła już tego łącznika pomiędzy sobą a temi gąszczami, co stały nieme, w połowie z liści odarte, zbiedzone i jakby zapadające w długi sen zimowy, a zionęły chłodem.

Chodzili z godzinę. Babiński zamilkł, a ona z pewną goryczą patrzyła na ten las, który nic nie mówił teraz do niej, którego życia nie czuła jak dawniej, i jak dawniej nie wstrząsał nią. Czuła się obcą wobec niego.

— Wracajmy, tak mnie odurzyło powietrze, że czuję się jakby pijaną.

— Dobrze, bo przyznam się, że zaczynam czuć katar, nie wziąłem kaloszy.

— Co pan robi wieczorem? — zapytała, aby coś powiedzieć.

— Jeśli nie jestem na służbie, to siedzę w domu i czytam, a gdy mi zbraknie książek, to idę do państwa Zaleskich, posłuchać gry pani Zaleskiej.

— Nie znam ich, muszą być w Bukowcu niedawno?

— Trzy miesiące, razem sprowadziliśmy się tutaj.

— Ależ ona musi całe dnie grywać, bo ciągle słyszę muzykę.

— Po sześć godzin dziennie. Ogromnie pracuje, a przytem niesłychanie miła — dodał gorąco i zmieszał się, bo Janka uśmiechnęła się lekko. — Więc pani będzie łaskawa pożyczyć mi książek do czytania?

— Może pan przyjść jutro, to wybierzemy, jeśli się co znajdzie. — Podziękowała za towarzystwo i poszła do mieszkania. Jeszcze się nie zdążyła rozebrać, gdy Janowa przyniosła list.

— To od tej pani, co gra cięgiem — objaśniła.

Janka ciekawie oglądała heljotropowy list ze złotą lirą na kopercie, woniejącej także heljotropem; nie miała go jeszcze czasu przeczytać, gdy w kuchni rozległ się jakiś obcy głos. Janka podeszła do drzwi, w których ukazała się Zaleska w szlafroku adamaszkowym bordo w złote palmy, obrzuconym u szyi i przy dłoniach kremowemi koronkami.

— Pani pozwoli, ale przychodzę się usprawiedliwić...

Janka poprosiła ją do pokoju.

— Pani daruje... Jestem Zaleska! Musiała już pani słyszeć o nas, jesteśmy niedawno w Bukowcu. Trochę dziwnym jest mój list, ale niech mnie usprawiedliwi tak, jak mnie ośmielało bliskie sąsiedztwo. — Usiadła przy stole, wyjęła srebrną papierośnicę i podała Jance z uśmiechem zapraszającym.

— Dziękuję pani, nie palę.

— Jeśli zabieram czas, to proszę, powiedz pani otwarcie, pomiędzy koleżankami nie powinno być żadnego skrępowania. — Zaczęła gwałtownie koło siebie szukać zapałek. — Prosiłam pani listownie, bo osobiście nie miałam odwagi, ale mam przynajmniej nadzieję, że pani mi daruje i śmiałość, i natręctwo! — zapaliła wreszcie papierosa i pociągnęła kilka razy z lubością. — Mam wieczorem trochę gości, kuzyni bliscy, państwo Tacikowscy z Tacikowa, wie pani? Ona i moja mama... wilgotny tytoń i palić się nie chce — rzuciła papieros na podłogę i rozgniotła go nogą. — Byłam w Warszawie, ale kupić zapomniałam, więc jeśli pani będzie łaskawa, to będę jej wdzięczną, a wdzięczną być umiem... Pamiętam raz, jeszcze byłam w konserwatorjum, na ostatnim kursie, Cesia Pigłowska, wie pani? była później jedną z najlepszych uczenic Rubinsteina, talent pierwszorzędny, ale zmarnowany przez zamążpójście, chociaż ten jej mąż idealny, słowo daję — idealny. W zabawny sposób poznali się ze sobą, wypadkiem, a że traf wszystkiem rządzi... Ale powracam do prośby, otóż chciałam prosić o pożyczenie nakrycia na sześć osób, bo tak mi dzieci wytłukły w ostatnich dniach, że zmuszoną jestem pożyczać. A i pani ma fortepian? i pani grywa? — zawołała, spostrzegłszy przez uchylone drzwi do saloniku fortepian; pobiegła do niego i z wielką biegłością zaczęła wybębniać jakąś improwizację. Janka poszła za nią, zdziwiona tą paplaniną nieskończoną bez związku i sensu.

— Zna pani to, co? — zagadnęła, rozpoczynając co innego. — To scherzo z koncertu Moszkowskiego! Prześliczna rzecz, a szczególniej w tem miejscu, słyszy pani śmiech, subtelny, ironiczny śmiech! — Odrzuciła tren szlafroczka ruchem koncertantki na estradzie,

uśmiechała się, przechylając główkę na bok, jakby pod ciężarem rozmarzenia, i grała, posyłając wdal z pod przysłonionych powiek niezmiernie melancholijne spojrzenia. — Ale i bielizny stołowej zechcesz mi pani pożyczyć — powiedziała, kończąc grę jakiemś wściekłem fortissimo, westchnęła, opuściła bezwładnie ramiona, niby pod ciężarem rozkoszy, powlokła oczami po saloniku, podniosła rękę do czoła, westchnęła przeciągle, jakby się budząc, i powstała, dumnie się prostując.

— Daruje mi pani roztargnienie — zaczęła cicho, biorąc Jankę za rękę — ale wiem, że pani mnie zrozumie, bo jesteś pani przecież artystką. Słyszałam, słyszałam, i ma pani całą moją przyjaźń i całe moje serce. Wszystkie dusze, żyjące tylko dla sztuki, powinny się rozumieć i kochać. Do widzenia, do widzenia! — przesłała jej pocałunek od ust i wybiegła. Janka nie miała sposobności zamienić z nią i słowa jednego i po jej odejściu wzruszyła ramionami lekceważąco, i wzięła się do czytania.

W pół godziny Zaleska przesłała znowu heljotropowy liścik: o pożyczenie dwóch funtów cukru i herbaty; bo, pisała, mężuś zapomniał z Kielc.

Janka kazała Janowej zanieść wszystko, o co prosiła, ale Janowa zaprotestowała.

— Panienko, ta pani to cięgiem ino pożycza; pan naczelnik jeszcze dawniej, jak panienki nie było, powiedział, ażeby jej nic nie dawać, bo nie oddaje. Niech pan sam powie! — zwróciła się do Orłowskiego wchodzącego, powtarzając mu, o co idzie.

— Głupiaś, moja Janowa, jak panienka jest w domu, to panienka rządzi, mnie nic do tego — powiedział ostro. — Jeżeli panienka kazała ci dać, to dać natychmiast.

Janka położyła się zaraz do łóżka, bo się czuła tym pierwszym spacerem bardzo zmęczoną. Orłowski cały wieczór chodził po stołowym pokoju i co chwila prawie posyłał Janową do Janki z zapytaniem, czy nie potrzebuje czego, a następnie zaproponował czytanie głośne.

— Niech Janowa powie, że bardzo serdecznie dziękuję i słuchać będę z przyjemnością, bo zupełnie spać nie mogę! — powiedziała Janka głośno. — Orłowski usłyszał, odsłonił kotarę, przysunął stół i, siadłszy w drzwiach, czytał jakąś mdłą powieść angielską.

Rano Zaleska znowu przysłała wonny list, w którym zapowiadała się na wieczór, a tymczasem przepraszała, że nie odsyła pożyczonych przedmiotów, bo ci spodziewani kuzyni pojechali do Warszawy, mężuś się widział z nimi na stacji, wstąpią zpowrotem. Posyłała pocałunki i prosiła na zakończenie o pożyczenie kwarty kaszki krakowskiej.

— Panienko! ona ma tu! — wtrąciła Janowa, widząc uśmiech Janki, z jakim czytała list, i zaczęła opowiadać o porządkach, jakie panują u Zaleskich.

— Nie chcę słyszeć, niech mi Janowa nigdy nie opowiada, co się gdzie dzieje.

— Zawdy przecie lepiej wiedzieć więcej kiej mniej! — tłumaczyła Janowa.

— Prowincja już mnie chwyta — myślała Janka — zaczynam już czuć jarzmo.

Przychodziła do zdrowia bardzo szybko i z początku z pewnem upodobaniem poddawała się prądowi życia cichego i dosyć czynnego, ale strasznie monotonnego, jakie płynęło w Bukowcu. Pociągi w oznaczonych godzinach przychodziły i odchodziły; Orłowski regularnie szedł na służbę rano i powracał wieczorem; Zaleski, jego pomocnik, wszystkie wolne chwile poświęcał trenowaniu się na rowerze przed stacją, na małym podjeździe. Spóźniał się na służbę i zaniedbywał dom, a jeździł i jeździł, aż to znudziło wszystkich, i tylko czasami w niedzielę chłopaki najbliższych wsi przylatywali zobaczyć tego „cudaka", co w opiętym kostjumie, na tej djabelskiej maszynie wykreślał nieskończone koła.

Grzesikiewicz codziennie, w różnych godzinach, przyjeżdżał dowiadywać się o zdrowie Janki. Przyglądała mu się kilka razy z okna z dziwnem uczuciem pomieszania. Karaś ciągle wekslował swoje wagony. Świerkoski dnie całe przesiadywał na stacji, łaził po linji z psem, krzyczał na robotników. Janka przyzwyczaiła się widywać go w jednych i tych samych godzinach, w których przechodził koło okien i kłaniał się jej uniżenie, jak i przyzwyczaiła się do wiecznego brzęczenia fortepianu Zaleskiej. Wiedziała, co robili wszyscy wczoraj i co robić będą jutro. Wiedziała o wszystkich nadziejach i chorobach Stasia, bo był u nich kilka razy i z całą naiwną otwartością opowiadał wszystko, co się jego tyczyło. Wiedziała o wszystkiem, bo Janowa nie mogła się uspokoić dotąd, aż wypowiedziała, ile pani Zaleska wydaje na puder, ile na mięso, co robi po nocach Karaś, kto z okolicy i po co przysyłał do bufetu, i tak jej to prędko obrzydło, że zamykała się na całe dnie w pokoju

i leżała godzinami na łóżku, nie myśląc nic i nic nie czując prócz nudy, która ją ogarniać poczynała.

Zaleska wypisywała do niej całe tuziny pachnących listów, wpadała na chwilę, a siedziała godziny całe, opowiadając w tempie jedenastej rapsodji Liszta o najmłodszym swoim synku, Waciu, że zaczynał już ząbkować; o Szopenie, że jest boski! o zdolnościach starszego Stefka, który wybijał pięścią klawisze; o Helence, która miała niegrzeczny zwyczaj plucia na wszystko. Wtrącała uwagi o Babińskim i ze śmieszkiem znaczącym usprawiedliwiała się dyskretnie, że nie jest winną temu, że chłopak głowę traci. To znowu snuła fantastyczne projekty na przyszłość i odrazu przeskakiwała do zapytania, po ile Janka płaciła za łokieć materjału, z jakiego miała zrobioną suknię; to przynosiła kapelusz do przymierzenia, bo lustro Janki było lepsze. Wspominała niejasno o jakimś kuzynie w Warszawie, bardzo wpływowym, bardzo bogatym i bardzo miłym, który ich protegował.

— Bo mężuś jest zdolny bardzo — szeptała, uśmiechając się blado i skubiąc kanwowy fartuszek z minką dziewczynki — ale nie ma szczęścia, zupełnie nie ma, przez cztery lata zmienił sześć służb. — Wzdychała ciężko i dawała do zrozumienia, że nie jest szczęśliwą, że ją spotkał w życiu zawód wielki, że jest ofiarą losu. A czasami, słówkami rzuconemi niebacznie, wspominała o jakimś swoim występie publicznym; o występie, który był wielkim triumfem. Wyprostowywała się, mówiąc o tem, usta jej drżały wzruszeniem i rzeczywista czy też imaginacyjna boleść za przeszłością wyciskała jej łzy z oczu i tak ją rozczulała, że śpiesznie wybiegała do siebie.

Jance wydawała się bardzo śmieszną, ale szanowała ją, bo grała znakomicie: tak opanowała technikę fortepianu, jak niewielu ze znanych i uznanych mistrzów tego instrumentu, ale poza grą była dzieckiem, zatopionem w małych sprawach codziennych, w głupstwach; nic nie wiedziała i nic prawie nie pojmowała.

Zaprosiła Jankę jednego dnia na herbatę, ale przedtem heljotropowym liścikiem prosiła o szklanki i cukier miałki. Janka poszła z ciekawością.

Zaleska przeprowadziła ją śpiesznie przez pokój, w którym mężuś nierozebrany, zabłocony ostatnią jazdą, chrapał rozgłośnie na sofce, do swojego pokoju, przylegającego do saloniku Orłowskich. Pokój był wybity błękitnym papierem i bardzo ładnie urządzony. Meble pokrywał błękitny z heljotropowym odcieniem aksamit, takież były portjery i firanki, i podobny zupełnie dywan tłumił kroki. Blüthnerowski fortepian stał pod oknem; wielka palma swojemi wachlarzowatemi liśćmi tworzyła zielony dach nad klawjaturą. Gerydony, pełne zwiędłych i poschłych kwiatów, stały w kilku miejscach. Biurko, wykładane kością słoniową, maleńkie, eleganckie, przepełnione cackami, powiędłemi bukiecikami fiołków, które od wiosny wyrzucić zapomniano, listami, pudełkami z papierem listowym, nutami, rękawiczkami, które się walały w rozsypanym pudrze, stało na środku pokoju. Po krzesłach, po fotelikach japońskich z bambusu, o poręczach z heljotropowego aksamitu, na fortepianie, nawet na skromnem łóżku, ukrytem pod pawilonem z heljotropowych tiulów, na dywanie pod ścianami leżały bezładnie porozrzucane książki, nuty, przeglądy mód, fartuszki dziecinne, kalosze mężusia i t. d. i t. d.

— Boże, co za nieład, Boże, co za nieporządek — narzekała Zaleska, załamując ręce.

— Anusia, Anusia! — wołała na służącą, ale Anusia nie przyszła, tylko od kuchni dolatywał gwar i krzyk dzieci, a w przerwach coraz potężniejsze chrapanie mężusia.

— Panno Janino! niechże pani siada; straszliwy nieporządek; ale jedna sługa nie może sobie dać rady ze wszystkiem; doprawdy, że nieraz rozpacz mnie ogarnia. Mówiłam już mężusiowi, aby przyjął pokojówkę; powiada, że dostać nie można. Pisałam nawet do kuzyna, niechby przysłał z Warszawy.

Poskładała nuty na fortepian, przysunęła Jance fotelik i upadła zmęczona na niski, biegunowy fotel, obity heljotropowym jedwabiem; ale zerwała się natychmiast, wydobyła pudełko cukierków z biurka, przysunęła do Janki maleńki stoliczek z czerwonej laki, postawiła cukierki i zaczęła Jankę zapraszać do nich. Sama jadła je ciągle, bujała się na fotelu, poprawiała misternie w grajcarki sztywne ufryzowaną grzywkę i znowu mówiła:

— Proszę pani, myślę, czemu nie zostałybyśmy przyjaciółkami! Chwilami tak mi potrzeba przyjacielskiego serca, duszy, któraby mnie kochała. Ach! w tej chwili każę dawać herbatę. — Wybiegła i powróciła prawie natychmiast zdyszana i zarumieniona, z wypiekami na twarzy, upadła ciężko na fotelik, zaczęła gryźć cukierki, z kuchni przybiegły za nią przeraźliwe krzyki dzieci. — Ach! boję się szaleństwa, ale jeślibym dłużej miała w ta-

kich warunkach żyć, to nie ręczę za siebie. — Przerwała, nasłuchując, bo turkot jakiś rozległ się przed stacją. — Ma przyjechać do mnie dzisiaj pani Osiecka, zna ją pani?

— Tylko z widzenia.

— Bardzo miła kobieta, trochę smutna, ale dystyngowana i ma rozległe w świecie stosunki, bardzo często przyjmuje u siebie, szczególniej latem, bo mieszkało u niej kilka kuzynek. Świerkoski się podobno stara o jej siostrzenicę, Zosię, ale to bardzo dziwny człowiek, przyznam się, że go się boję. Czy to prawda, że pani była w teatrze — zapytała prosto.

— Trzy miesiące byłam — odpowiedziała Janka niechętnie.

— Pani mi daruje, już się nie pytam więcej, bo widzę, sprawiłam przykrość zapytaniem. Tak, tak — szepnęła melancholijnie — każdy człowiek, a szczególniej kobieta każda, ma w swojem życiu jaśniejsze chwile, o których nierada mówić; rozumiem to dobrze. Proszę pani, te morele w cukrze bardzo dobre, ręczę za nie, bo to mój kuzyn je przysłał.

Usiadła do fortepianu z cukierkiem w ustach i zaczęła grać preludjum Szopena, te szeptane przez łzy, wśród czarów wiosennej przyrody, zwierzenia duszy chorej. Janka wsłuchiwała się z przejęciem i kładła na tych pełnych woni i smutku rytmach duszę, i zwolna pogrążyła się w jakiś nastrój szarpiący nieopowiedzianą tęsknotą. Zaleska grała z uczuciem i z przedziwną prostotą, nie było w jej grze nic błyskotliwego, nic wirtuozowskiego, obliczonego na olśnienie i zdumienie słuchaczy; gra jej była jakaś nieosobista, tak nic indywidualnego nie mąciło i nie przysłaniało Szopena. Jej blada, nieregularna twarz, powlekła się smutkiem, wielkie, piwne oczy świeciły głębokim wyrazem odczuwania piękności muzyki, przygryzła ze wzruszenia wiśniowe, prześlicznie wykrojone usta i grała, przejmując się coraz głębiej.

— Przestań! psiakrew, że to przespać się nie można, tylko brzdąkanie i brzdąkanie — krzyczał mąż, zatrzaskując drzwi do buduarku, i poznać można było po gwałtownem trzeszczeniu sofy, że położył się znowu spać.

Zaleska zerwała się od fortepianu i zalęknionym wzrokiem spoglądała na drzwi, to na Jankę.

— Pani daruje, ale mężuś zmęczony treningiem... zapomniałam istotnie... — Wstała, chcąc prawdopodobnie iść przepraszać go, ale usiadła zpowrotem przy fortepianie i zaczęła obrywać zeschłe liście kwiatów na oknie, aby ukryć wzruszenie, ale nie potrafiła, bo łzy zaczęły się wydzierać z pod zaciskanych powiek i coraz obficiej płynąć po twarzy, żłobiąc w wypudrowanej powierzchni żółtawe brózdy; rozpłakała się wreszcie spazmatycznie, przysłoniła twarz chustką i płakała cicho, jak dziecko skarcone niesłusznie. Janka uczuła się wprost oburzona brutalnością Zaleskiego i w jakimś przypływie współczucia przysunęła się do niej, i uspokajała ją z prawdziwą serdecznością. Zaleska przycisnęła się do niej, jak dziecko, i płakała; zdawało się, że całe strumienie łez ruszyły z łożysk niewyczerpanych i płyną coraz obficiej.

— O, jakże jestem nieszczęśliwa! o, gdybyś pani wiedziała! — szeptała coraz ciszej, trzęsła się w łkaniu, jakie rozrywało jej piersi.

Janka przygarniała ją do siebie coraz silniej i głaskała pieszczotliwie po wspaniałych, puszczonych w warkocz, włosach. Nie wiedziała, co mówić do niej, ani czem ją pocieszać, wzbudzała litość tem swojem dzieciństwem i wrażliwością.

— Mężuś jest dobry, o, ja się nie skarżę na niego, nie; jest bardzo dobry, ale służba tak go rozdrażniła, że czasem powie jakie słowo ostre, które mnie tak boli, tak boli... — Umilkła i zaczęła ssać chciwie cukierek; uspokoiło ją to nieco, bo poszła do tualetki, stojącej obok łóżka, wytarła się kolońską wodą, przypudrowała i wyszła uśmiechnięta i rozpromieniona; zupełnie już zapomniała o przykrości niedawnej, tylko pod oczami, wilgotnemi od łez i wody kolońskiej, wystąpiły sine plamy, jako jedyne ślady wzruszenia. Poszła do kuchni i wkrótce służąca przyniosła herbatę.

— Anusia, a nie zapomnij tam o dzieciach.

— To się wie, nie trzeba mi przypominać — odpowiedziała opryskliwie służąca.

— Niech się Anusia nie gniewa, ale czasem można zapomnieć — prosiła pokornie i, gdy służąca wyszła, zaczęła się usprawiedliwiać: — Takie teraz są złe służące i tak

o nie trudno, że boję się, aby mnie moja Anusia nie opuściła, bo mężuś się gniewa, jeśli zmieniam sługi często, a do tej dzieci zupełnie się przyzwyczaiły.

Jance żal się zrobiło tej biednej niewolnicy sług, męża i dzieci, i chciała jej to powiedzieć, ale Zaleska znowu mówiła:

— Pani zna pana Grzesikiewicza?

— Dosyć dawno — odpowiedziała Janka, chmurniejąc.

Zaleska spostrzegła się, że znowu sprawiła jej przykrość, i umilkła, przysiadła do biurka, napisała na heljotropowym bilecie kilka wierszy, które zaraz poszła wysłać przez Anusię. Później znowu zaczynała mówić, ale wpadała co chwila w zamyślenie, patrzyła w okno, zaglądała cichutko, czy mężuś śpi jeszcze, wzdychała, jadła cukierki i przesiadała się z krzesła na krzesło, nie mogąc nigdzie usiedzieć.

— Wie pani! w Warszawie jesień nie jest tak straszną. Ciekawam, czy też noszą jeszcze figara?

— Nie wiem.

— Sezon koncertowy już się rozpoczął; ach, te środy w Towarzystwie Muzycznem!

— Bywała pani często?

— Nie opuszczałam ani jednej! a premjery w Rozmaitościach? a koncerty latem w Dolinie Szwajcarskiej! a tysiąc przyjemności, jakie tylko miasto dać może; ta atmosfera artystyczna, którą się oddycha, to życie inne! Boże, Boże! gdzie to wszystko się podziało, gdzie te czasy.

Janka uśmiechnęła się ironicznie; znała ona nieco tę atmosferę artystyczną, to inne życie.

— Pani Osiecka z panienką przyjechały! — meldowała Anusia.

— Proś! proś! — zawołała Zaleska, biegając po pokoju i, nie wiedząc co robić, pobiegła do mężusia.

— Heniu! Heniu! — szeptała mu do ucha, czerwieniejąc z trwogi. — Mężusiu, mój złoty, wstań-no, przyjechała pani Osiecka. — Zaczęła bardzo delikatnie poruszać go.

— Do pioruna z babami! Czegóż znowu chce ten stary grzmot? Psiakrew, że to przespać się nie można — krzyczał, podnosząc się na nogi.

— Henieczku! nie gniewaj się, mój złoty! mój jedyny! — szczebiotała napół z płaczem, uwiesiła mu się u szyi i bardzo pieszczotliwie i z niezrównanym wdziękiem kotki łasiła mu się u szyi, i spoglądała w oczy trwożnie, niby pies, który się boi kopnięcia.

Odepchnął ją, zabrał poduszkę pod pachę i wyniósł się do dziecinnego pokoju, a Zaleska pobiegła śpiesznie naprzeciw bardzo poważnie prezentującej się damie, która wchodziła.

— Jaka pani dobra, jaka pani dobra! — całowała ją serdecznie. — Panno Zofjo, jakże zdrowie? — zwróciła się do młodej panny w dość krótkiej sukience i filcowym, marynarskim kapeluszu. — Panna Janina Orłowska! — przedstawiała Jankę. — Anusia! weźno okrycie pani.

— Cicho, dzieci! — krzyczała na gromadkę swoich dziatek, która ze wszystkich stron wieszała się Osieckiej. — Pozwólcie panie do mnie.

— Moja pani Stefo, a niech się tam koniem zajmie służąca, bo przyjechałyśmy same, no, mówię pani, same, bez parobka! — zawołała potężnym głosem Osiecka, z trudem wpychając się na fotel.

— Dobrze. Anusia! a daj tam koniowi owsa! Prawda, że konie jadają owies?

Osiecka roześmiała się na całe gardło i tak donośnie, że koń zarżał na podjeździe.

— Oj, ty dzieciaku, dzieciaku! a chodź-że do mnie, niech cię ucałuję za taką szczerą naiwność, to... — zakrzyczała gwałtownie, jakby jej kto zaprzeczał.

— To ja się zajmę koniem, może Anusia nie chodzić — powiedziała Janka, myśląc, że przy tej sposobności potrafi się wymknąć.

— O, złota panno Janino, dobrze, bo doprawdy nie wiem, czy mamy w domu owies; ale pani zaraz powróci, koniecznie, bardzo o to proszę, bardzo.

Janka obiecała i wyszła.

— Czy to ta Orłowska, co to była w teatrze, co to się przed miesiącem truła? stało o tem w gazetach, sama czytałam, na własne oczy! — dodała, czerwieniąc się z irytacji.

— Tak, to ta sama, bardzo dystyngowana kobieta, dzielna.

— O, dzielna! doskonale! Dzielna kobieta! — powtórzyła ciszej Osiecka, i jakiś drwiący, zły uśmiech przeleciał po jej przystojnej twarzy, okolonej zupełnie siwemi włosami, co przy czarnych, ogromnych oczach, pełnych żywości i temperamentu, stanowiło jakiś przykry kontrast. Usta i płeć miała zadziwiająco świeże i młodzieńcze.

Janka powróciła wkrótce, i zaczęła się pogawędka bardzo żywa, o niczem prawie. Zaleska częstowała tylko cukierkami i kolejno przysiadała się do każdej, aby kilka słów szepnąć do ucha w tajemnicy. Osiecka ustawicznie przyglądała się Jance. Janka poczuła ten wzrok ciekawy, podniosła dumnie głowę, spojrzenia ich się skrzyżowały zimno i badawczo, a Jankę owładnął jakiś lęk niewytłumaczony, zadrżała, bo oczy Osieckiej przewiercały ją nawskroś i wprost obmacywały całą jej postać, i śledziły z uwagą jej ruchy.

— Nie nudzi się pani na wsi? — spytała Zosi.

— Nie — odpowiedziała krótko i w zakłopotaniu spoglądała na Osiecką, pytając się oczyma, czy mówić może, ale i Janka nie pytała więcej, bo czuła, że myśli zebrać nie może, bo ten tubalny głos Osieckiej podrażniał ją, a te jej oczy, ustawicznie biegające, mieszały ją. Mękę jakąś czuła, jaką musi przechodzić ptak, hipnotyzowany przez grzechotnika; nie miała sił się podnieść i uciec, pomimo że pragnęła to zrobić; w głowie zaczynało się jej mącić, fale krwi uderzały do mózgu, tak osłabła, że była bliską omdlenia, a jednocześnie z pewnym strachem stwierdzała swój stan, bo nigdy przedtem czegoś podobnego nie doświadczała. — Chora jestem! — myślała, rozcierając sobie skronie.

— Gdzież Henio? — zagrzmiała Osiecka.

— Mężuś? prawdopodobnie na służbie...

— Nieprawda. Tatuś śpi! — zaprzeczyła ze złośliwą radością siedząca dotąd cicho Hela.

— Tak... być może... nie uważałam — tłumaczyła się Zaleska, spoglądając błagalnie na córkę.

— Obudź go pani, to sobie małego preferka urządzimy; no, mówię małego, to małego! Pani gra w preferansa? — zapytała już spokojniej, zwracając się do Janki.

— Nie — wyszeptała z trudem, wstrząsając się nerwowo.

— Szkoda! Mój ś. p. mąż mawiał, że to jedna z najprzyjemniejszych gier; dla mnie ona jest, niestety, jedyną przyjemnością od czasu śmierci ś. p. męża; tak, jedyną biednej, samotnej wdowy przyjemnością; no tak, skoro mówię, że samotnej, biednej wdowy jedyną... przyjemnością... — powtórzyła z jakiemś łkaniem, wsparła się na stoliczku, aż zatrzeszczał, i łzy, niby wielkie krople tłuszczu, zaczęły płynąć z jej oczu niespodzianie.

— Cioteczko! niech się ciocia uspokoi.

— Droga pani wie, że jej każde wzruszenie szkodzi — prosiła błagalnie Zaleska.

— Szkodzi... oj, szkodzi, ale pani myślisz, że to biednej sierocie tak łatwo zapomnieć o swoim przyjacielu najlepszym, a wszystko mi ciągle przypomina, że jego już niema. Nie mogę podnieść łyżki do ust, aby nie pomyśleć, że ten mój kochany, ten niezapomniany! ten... — przysłoniła sobie tłustą, wielką, niby patelnia, ręką oczy i ciężko wzdychała, aż fotel trzeszczał, rozpierany jej kształtami, wstrząsanemi łkaniem sierocem. — Zosia całowała ją po rękach i szczebiotała słowa banalnych pociech, ale w oczach miała źle skrywaną niecierpliwość i znudzenie. — Zaleska biegała pomiędzy nią a tualetką, skąd przynosiła coraz nowe flaszki z perfumami i z całem namaszczeniem zlewała jej twarz i głowę kolońską wodą. Osiecka pozwoliła robić z sobą wszystko, co chciała. Odjęła ręce od twarzy i całym ciężarem zwiesiła się na poręczy fotelika z bezwładnością boleści nieutulonej.

Janka, pod wpływem tej sceny, która zrobiła na niej komiczne wrażenie, odzyskała nieco sił i przytomności i teraz patrzyła na profil Osieckiej z drwiącym uśmiechem.

— Dziękuję ci, Stefa! dziękuję! — szeptała Osiecka rozbolałym głosem. — Twoje współczucie budzi nowy żal, nowy ból szarpie mnie przypomnieniami, że to nie on, nie ś. p. mąż mój tak myśli o mnie; nie ś. p. mąż mój tak mnie pieści — zawołała energiczniej.

— Ależ nikt pani nie przeczy — powiedziała trochę szorstko Janka.

Osiecka uderzyła ją oczami, niby maczugą, i ciągnęła dalej narzekania łzawym głosem:

— Nie dziwię się obojętności ludzkiej, bo cóż kogo może obchodzić stara, samotna kobieta? Grzeczność! tak, grzeczność zimna tylko. To się dopiero później ocenia, kiedy się zostaje samą na świecie... sierotą... opuszczoną... Pani Stefo, każ zaraz robić kolację, bo tylko jedną partję dzisiaj zagramy, aby wcześniej jechać do domu, bo noce teraz są ciemne — są bardzo ciemne, jeśli się nie nie mylę. — Zwróciła się do Janki.

— Doprawdy, ale nie mogę tego potwierdzić, bo wieczorem już oddawna nie wychodziłam.

— Ach, pani chorowała, jeśli się nie mylę.

— Tak — powiedziała krótko Janka, bo ten wzrok przenikliwy Osieckiej zabolał ją i zmieszał.

— Pani Stefo, obudźno męża, czasby już zacząć grać; no, mówię, że czas, to czas.

— O, z pewnością, że czas — potwierdziła senna Zosia.

Zaleska wyszła, i po chwili w sąsiednim pokoju rozległ się gniewny, zaspany głos mężusia i pokorny, błagający żonusi; potem trzask wysuwanych i zamykanych szuflad, chlupot wody i potężne parskanie. W jakie pół godziny ukazał się Henio. Wyświeżony, w nowym mundurze, uśmiechnięty, różowy od snu i wody, podobny do młodego kurczaka, z tym nosem cienkim i długim, z grzywką naturalnie się wijących w pierścionki włosów blond, starannie rozczesanych przez środek głowy, aż do karku, z oczyma niebieskiemi z wypełzłej emalji, ze słodkim uśmiechem i elegancją kelnera, suwał nogami i przeginał wysoką, smukłą, dobrze uformowaną figurę. Ucałował ręce Osieckiej, która go pieszczotliwie poklepała po twarzy.

— Pani dziedziczka dobrodziejka raczyła zaszczycić nas swoją osobą, z czego ja i moja żona jesteśmy niezmiernie radzi, nieprawdaż, żonusiu? — Ucałował po raz drugi jej ręce, pochylił przepołowioną rozczesaniem głowę przed Zosią, i zwrócił się do Janki z poważnym, pełnym szacunku dla córki zwierzchnika, wyrazem twarzy.

— Nie miałem dotychczas sposobności i przyjemności poznać pani osobiście, chociaż tego pragnąłem bardzo, ja i moja żona, nieprawdaż, żonusiu? Tak mówię, bo jestem pewny, że mam przed sobą pannę Janinę Orłowską, córkę naszego drogiego, szanownego naczelnika, z czego jesteśmy, ja i moja żona, niezmiernie szczęśliwi, niezmiernie jesteśmy dumni, że możemy panią powitać u siebie. — Stanął w drugiej pozycji, wyciągnął rękę, jak w kontredansie, uścisnął jej dłoń, skłonił się tak nisko, że zobaczyła jego czerwony kark, i usiadł pomiędzy Janką a żoną. Uśmiech nie schodził mu z ust i rozpromienienie z twarzy.

— Jaki on piękny! jak on mi przypomina ś. p. mojego męża — rozrzewniła się Osiecka, całując go oczyma. — Panie Henryku! usiądź pan przy mnie, bo mam taki szum w głowie, że zdaleka wyrazów niektórych nie dosłyszę.

Przysunęła się do niego tak blisko, że prawie pół jej osoby, zwieszającej się przez trzcinowe poręcze fotelika, opadło i pokryło jego nogi.

— Żonusiu! może każesz naszykować stolik do kart.

— Jakże panu idzie trening? — zapytała Zosia.

— Bliski jestem celu, bardzo bliski — zawołał żywo. — Robię już dwadzieścia kilometrów w minut pięćdziesiąt, i jeśli tak dalej będę postępował, to wiosenny pierwszy rekord mój z pewnością, bo dotychczas jeszcze nikt tak szybko nie jeździł. — Rozpromienił się, z żywością zaczął rozmawiać o maszynach, gumach pełnych, pneumatykach, oliwiarkach, szosach, rekordach i startach. Przytaczał szczegóły z ostatnich wyścigów, opowiadał anegdotki ze sportowego życia. Prawił z wielkiem lekceważeniem o niezwyciężonym dotychczas, polskim championie cyklistów. Pokazywał nogami i rękami niektóre *finishowe* ruchy, które powinien robić jeździec, jeśli chce pierwszy stanąć u celownika. Siadał na krześle, niby na maszynie, i mówił, mówił, sam śmiał się z własnych dowcipów pierwszy, a nogami bezwładnie pedałował i poręcz krzesła ściskał, i kręcił, jakby kierownikiem. Zosia słuchała z otwartemi ustami, Osiecka co chwila wybuchała potężnym śmiechem, aż fotelik trzeszczał i, aby okazać mu swoje zadowolenie, klepała go po twarzy, lub szczypała nieznacznie w wyrobione, stwardniałe bicepsy.

— A smyk! a zuch chłopak! — szeptała, zachęcając go do coraz nowych opowiadań. Zaleska w otwartych drzwiach do jadalnego pokoju ukazywała się co chwila, patrzyła na mężusia z dumą, słuchała, uśmiechała się delikatnie z jego blagierstwa i znikała, krzątając się dalej około kolacji. Jankę znudziło prędko to towarzystwo, więc, pomimo bardzo gorących próśb, aby została dłużej, pożegnała się i poszła do mieszkania.

IV

Zastała ojca przy herbacie i Świerkoskiego, coś żywo rozmawiających. Na stole stał w bardzo pięknym, bronzowym wazonie wielki bukiet z róż kremowych i czerwonych goździków. Przywitała się ze Świerkoskim i ze zdziwieniem oglądała bukiet ze wszystkich stron, a unikając spojrzeń ojca, spojrzała pytająco na Janową, która stawiała przed nią herbatę.

Orłowski podsunął jej list i wymownym ruchem wskazał jedność z bukietem, odwrócił się do Janowej i półgłosem powiedział:

— Niech Janowa powie, że to z Krosnowy! Owszem! z przyjemnością, panie Świerkoski, pożyczę panu tych czterystu rubli — zaczął mówić prędko do dozorcy.

— Za dwa miesiące od daty dzisiejszej zwrócę, lecz, jak mówiłem, mam teraz wypłaty za te kamienie chłopom, którzy mi je dostawiają, i całą gotówkę już wydałem. Za dwa miesiące będę mógł wziąć zaliczkę, to zwrócę. — Zamilkł gwałtownie, podniósł się i zaczął liczyć w bukiecie kwiaty. — Trzydzieści pięć róż — szepnął, zapisując tę cyfrę na mankiecie. Sześćdziesiąt dwa goździki. — Policzył raz jeszcze i postawił tę cyfrę obok poprzedniej. — Trzy tysiące pięćset sześćdziesiąt dwa! bardzo dobry numer, bardzo dobry. Połowa stanowi: tysiąc siedemset osiemdziesiąt jeden. Śliczna cyfra — szeptał, zapisując mankiet. — Jak się państwu ta pierwsza cyfra podoba? — zapytał, pokazując kolejno brudny mankiet Orłowskiemu i Jance.

— Doprawdy nie wiem, co panu mam powiedzieć, bo na mnie żadne cyfry nie robią wrażenia — odpowiedziała Janka, zdumiona jego zachowaniem.

— To dla pani martwe, tak! do mnie zaś mówią wyraźnie, ot ta cyfra, którą tutaj wyciągnąłem z ilości kwiatów, mówi mi, żebym poszukał tegoż numeru w jakiejkolwiek loterji, bo wygra z pewnością los główny. Dziękuję panu serdecznie za pożyczkę — zwrócił się do Orłowskiego. — Bardzo przepraszam, ale iść już muszę; przypomniał mi się bardzo pilny interes. — Pożegnał się śpiesznie, świsnął na psa i wybiegł: leciał do domu, aby w samotności rozmyślać nad temi cyframi i pisać do swoich loteryjnych dostawców o los z takim numerem.

— Bzika ma, przysięgam Bogu, zupełny fiksat — mruknął Orłowski.

— Bardzo ładne kwiaty! — szepnęła Janka, oglądając raz jeszcze bukiet.

— Umyślnie jeździł po nie do Warszawy — szepnął Orłowski, szarpiąc brodę, bo mu było ciężko mówić wprost do niej; zaczął chodzić naokoło stołu z założonemi na plecach rękoma i z czułością spoglądał na Jankę, która długo czytała list Grzesikiewicza, skończyła i w milczeniu podała go ojcu.

„Szanowna Pani. Niewłaściwie postępuję, ale z tak szczeremi intencjami, że Pani mi wybaczyć musi. Od ojca wiem, iż Pani powróciła do zdrowia, więc jeśli moja osoba nie sprawia Pani wstrętu, jeśli jej nie jestem nienawistnym, to bardzo serdecznie proszę o pozwolenie odwiedzenia się". — List był długi i cały w tym tonie błagalnym, a szczerym. Prosił wkońcu o słówko choćby odpowiedzi, bo bez niej nie miałby odwagi przyjechać; że jeśli nie zechce go widzieć, to on się zgodzi na to, ale tak błagał, tak zgóry zobowiązywał się skryć w sobie, zdusić wszelkie samolubne uczucia, byle tylko pozwoliła mu przyjechać. Załączał pozdrowienie od rodziców.

— Poczciwy chłop, przysięgam Bogu, poczciwy Jędrek — szeptał Orłowski, a Janka słuchała jakby w płomieniach; zaczął ją przepalać jakiś bolesny ogień, jakiś cichy, głęboki żal zatargał nią. Wpatrywała się w bukiet, wchłaniała bladą, jesienną woń tych kwiatów i zobaczyła przed sobą dobrą, poczciwą twarz tego, który jej te kwiaty ofiarował. Poczuła głęboką wdzięczność i jakieś słodkie zadowolenie miłości własnej, że pomimo wszystkiego on ją kocha jeszcze, ale ta wdzięczność jej serca zaczęła się mieszać powoli z jakąś troską, z jakimś nieuchwytnym żalem, z jakimś, niewiadomo skąd płynącym, lękiem; serce jej podobne było do palety pełnej farb, które rozciekały, mieszały się z sobą, przenikały wzajemnie i, pomieszane, tworzyły jakąś brudną plamę.

Wieczór ciągnął się posępnie.

Nie mówili do siebie, ale coraz głębiej czuli, że im tak źle, że potrzebują koniecznie powiedzieć jakieś słowo, które ich zjednoczy i wzmocni. Serca ich wzbierały pragnieniem wypowiedzenia się.

Orłowski wciąż chodził naokoło stołu z ponurą twarzą. Chwytał brodę zębami, przystawał i miał już to słowo na ustach, już chciał je wymówić, ale obawa, że ona się rozgniewa i pójdzie do swojego pokoju, mroziła go, rzucał ramionami, oczy błyskały mu boleścią i nie odzywał się. Janka także nie mogła usiedzieć na miejscu, próbowała czytać, szyć, coś robić, nie mogła, co wzięła, wysuwało się jej z rąk. Zdenerwowanie trzęsło nią całą. Wpadła w jakiś bolesny stan, pełen przeczuć i niepokojów nieznanych. Słuchała szumów leśnych, wdzierających się przez okna, to monotonnego skrzypu zegara, ale na niczem nie mogła skupić uwagi, o niczem myśleć nie mogła, bo pierzchały jej myśli, jak stado ptactwa, płoszone przez coś niewytłumaczonego. Patrzyła na list, leżący na stole, na który kwiaty rzucały lekki różowawy refleks, czytała go po kilka razy i miała tylko jedno słowo, które samo wracało ciągle i dźwięczało w jej mózgu bez udziału nawet świadomości.

— Nie! nie! nie!

Poszła spać. Orłowski patrzył za nią krwawemi, błagającemi oczyma, nie spojrzała nawet na niego, przechodząc; zapomniała, że oprócz niej jest jeszcze ktoś w pokoju. Postawiła bukiet na stole, zgasiła lampę i leżała wpatrzona w świat, zalany potokami księżycowego światła, które wielkim i długim, pokratowanym przez fugi okienne, pasem, lśniło się na posadzce. Wpatrywała się później z usilnością w stary, wyblakły portret matki, wiszący na przeciwnej ścianie, po którego oszkleniu i czarnych ramach ślizgało się światło i wydobywało łagodne kontury rysów, zatopionych w cieniach, jak się tylko w pamięci rysują dawno umarłe postaci; patrzyła się w matkę i jakby żądała od niej jakiej rady, jakiegoś słowa mocnego, którego pragnęła, którego potrzebowała, i jakby się modliła do niej głębią nieświadomą tylko, bo usta szeptały: — Co robić? co robić... — i, nie znajdując odpowiedzi w sobie, ani nie słysząc jej z zewnątrz, zapadała w chaos splątanych myśli, scen i marzeń, jakie w tej ciszy nocy szły do niej z przestrzeni, wychylały się z ciemnych nor mózgu i przepełniały jej duszę gwarem bolesnym, uczuciem opuszczenia, smutkiem, niemocą; i wtedy miała tylko tyle siły, aby sobie powtarzać w duszy: — Nie, nie, nie! — Bała się, nie śmiała nawet sobie zdać sprawy, dlaczego myśli to — nie. — O! nie mogła, bo natychmiast, gdy unosiła się wewnętrznie, gdy zaczynała rozplątywać, i myśli układały się w pewien wniosek, z jakichś głębin wyłaniała się twarz tego nienawistnego, podłego, którego z całą gwałtownością swojej natury przeklinała, i wisiała jej przed oczyma, i wlokła za sobą wszystkie zapomniane sceny jej upadku, wstrętne sceny! przypomnienia wszystkich łez i cierpień.

Zerwała się z łóżka i boso, w bieliźnie tylko, z zaciśniętemi palcami, chodziła po pokoju. Rozpuszczone na noc włosy, jak złoty ogon komety, biegały za nią, zamiatając kurz posadzki, i w księżycowem świetle skrzyły się elektrycznemi skrami.

Okryła się chustką i poszła do stołowego; przez drzwi do kuchni przeciskało się światło, weszła tam. Janowa siedziała na ziemi, przed skrzynką otwartą.

— Panienka nie śpi jeszcze? A ja se panienko oglądam, a jakże, oglądam se. A to te materje dała mi pani córka — mówiła, rozwijając z papieru jakiś rdzawego koloru materjał. — Spódnicaby była i kaftan, ale ja sobie to każę zrobić dopiero na śmierć, a na śmierć, panienko. Dziecińskie podarunki najmilsze do trumny, panienko. Jak się przed Ojcem Przedwiecznym stanie, to choćby tu i pani córka nagrzeszyła, to jak ja, matka, powiem: dała mi to obleczenie, kochała mnie! to ta już odpuszczone będzie.

Janka w milczeniu przypatrywała się jej starej, pomarszczonej twarzy, o sinych, obwisłych ustach, z poza których wychylały się spróchniałe zęby, podobnej do krowiej gęby, a pełnej macierzyńskiej miłości, którą jaśniały małe, głęboko schowane oczy, świecące pod czołem, okręconem żółtą chustką. Poczuła szacunek dla tej prostej, głupiej kobiety, która umiała tylko kochać, dla której cały świat i życie całe streszczało się w dziecku.

Wyszła z kuchni, bo poczuła jakiś żal, że jej nikt tak bezgranicznie nie kochał. Zajrzała do saloniku, w którym księżyc świecił przez okno i złocił jakby wyszczerzone, zielonkawe zęby klawjatury otwartej. Janka weszła i, nie myśląc, poco idzie, pchnęła ostatnie drzwi do pokoju ojca; nie słyszał jej wejścia, siedział pochylony nad biurkiem i pisał.

— Może mi ojciec poradzi, co mam odpisać Grzesikiewiczowi? — zapytała cicho.

Orłowski zerwał się gwałtownie, popatrzył na nią targnął brodę i szepnął:

— Co chcesz, co tylko chcesz; ja cię do niczego nie zmuszam, na nic nie nalegam. Zechcesz iść za niego, idź, nie chcesz, dobrze. — Zamilkł, bo go wzruszenie dławiło, odwrócił się i zaczął bibułą wyciągać atrament z pisma.

Jance zrobiło się przykro, wzięła jego ruch za niechęć, jego szorstki głos za głos gniewu i nienawiści, więc się nie odzywała, tylko szła zpowrotem.

— Janiu! — zawołał, ale tak miękko, tak pieściwie, z takim smutkiem i miłością, i żalem, i strachem w głosie, że odwróciła się szybko i, porwana tym głębokim akcentem, który zatargał ją do głębi, rzuciła mu się w ramiona.

— Ojcze mój! Ojcze! Ojcze!

— Moje dziecko! moje dziecko! — szeptali, obejmując się ramionami. Zmieszali z sobą łzy i pocałunki i nie mówili nic więcej ponad te słowa, tylko serca biły im zgodnie.

V

— Panienko, oto Bartek z Krosnowy przyszedł i powiada, że go dziedzic przysłali po list.

— Niech Janowa każe mu przyjść do mnie.

— Hale!... wczoraj podłoga myta, a tam bez las takie błocko, takie... możeby...

— Zawołać go zaraz, podłogę Janowa wytrze.

Bartek przyszedł i stał przy drzwiach, obracając nieśmiało czapkę, a Janowa ze stołowego pokoju spoglądała na jego buty z jakąś komiczną nienawiścią, bo istotnie zostawiały grube ślady na woskowanej posadzce.

Janka pisała, ale co chwila darła arkusiki i zaczynała na nowo. Chciała podziękować Grzesikiewiczowi za pamięć i odpisać kilka słów uprzejmych, a nic nieznaczących. Wreszcie po długich usiłowaniach skleiła odpowiedź.

— Dawno jesteście u pana Grzesikiewicza? — zapytała, pieczętując list.

— He! he!.. a zawdy byłem, nikaj indziej nie służyłem.

— Starsza pani zdrowa?

— He! he!.. zdrowa, musi być zdrowa, bo jeszcze rano Jewkę sprała po gębie — śmiał się głupowato Bartek, obracając coraz szybciej czapkę, i okrągła, pucołowata twarz, wygolona starannie, z szerokiemi ustami, małym noskiem, okrągłemi oczyma i z grzywką żółtawych włosów, równo obciętych nad czołem, krzywiła mu się zadowoleniem.

— Oddajcie list i kłaniajcie się państwu. Jak się nazywacie?

— He! he!.. a Bartek! To panienka nie wiedzą? a przecież wszyscy wiedzą! — Bartek list obwinął w chusteczkę, wsadził ją w zanadrze, pochylił się do nóg, pochwalił Boga i wyszedł.

W kuchni czyhała na niego Janowa.

— Bartek, ty zapowietrzony, a nie mogłeś to se niezdaro bucisków obmyć w wodzie, co? to do pokojów będziesz chodzić w takich gnojach, co? Drugi raz to cię przetrącę.

— He! he!.. ożynię się z wami, kobito, i pogodziwa się!

— Hale! będziesz się tu, pokrako jedna, prześmiwać! — i oglądać się zaczęła za miotłą.

Bartek sunął prędzej do drzwi i walił nogami tak silnie, że błoto kawałami odpadało mu od butów na czystą podłogę kuchni, największą troskę i chlubę Janowej.

Zabrał gazety z poczty, wsadził je do parcianej torby, którą sobie przewiesił przez ramię, popatrzył przed stacją na trenującego się Zaleskiego i ruszył przez las do domu. Leciał prędko, ale im bliżej był Krosnowy, tem większa markotność i niepokój przepełniały mu duszę. Przystawał, zdejmował czapkę i drapał się frasobliwie po głowie. — I... raz kozie śmierć — mruczał, naciskał głębiej czerwoną, krakowską rogatywkę, ucierał nos w palce, obciągał szeroki, nabijany mosiężnemi blaszkami skórzeń i szedł wolniej, bojaźliwem spojrzeniem badając drogę, wybiegającą z lasu na wielkie pola, pofalowane wzgórzami, pocięte długiemi obszarami zbóż ozimych, podorówek i rdzawych, wytartych ugorów i ściernisk. Lasy wielkiem kołem, jakby obręczą niebieskawą, ściskały obszary pól, z majaczącą wśród nich wsią dużą, przez której domy i sady, w połowie ogołocone z liści, błyskała szeroka, wijąca się kapryśnemi skrętami rzeka, płynąca z lasów do wielkiego stawu przy dworskim ogrodzie, skąd wylewała się na młyńskie koła i płynęła niżej przez wielki park, przecinała drogę i migotała błyszczącą w słońcu wstęgą na łąkach żółtawych, pomiędzy kępami czarnych olszyn i długich plam trzcin poschniętych.

Bartek most przeszedł i wspaniałym z lip olbrzymich szpalerem, sadzonym w kierunku nasypu, trzymającego rzekę na wodzy, biegł ku dworowi, zdaleka już bielejącemu wielką kolumnadą podjazdu, nad którą okna piętra, zakończonego bardzo śpiczastym dachem o dwóch kondygnacjach, odbijały jaskrawo promienie słońca. Przeszedł skośnie wielki klomb, otoczony niskim, berberysowym żywopłotem, porozrywanym i uschłym w połowie, w którym zamiast trawników i kwiatów rosły kartofle, i poszedł wbok, do dużej oficyny, stojącej w cieniu kasztanów, połączonej z dworem gankiem krytym, pełnym powybijanych szyb, obdartym z szalowania, jakiem niegdyś był obity. Zajrzał przez otwarte okno do kuchni.

— Magda, a kaj pani gospodyni?

Magda wskazała mu głową na sień i tłukła dalej kartofle w wielkiej cebratce, buchającej kłębami pary.

Na progu sieni, do której się schodziło przez czworokątne zagłębienie, tworzące wpuszczony w dom ganek, siedziała Grzesikiewiczowa na starym, podartym fotelu, z którego wyłaziło włosie. Darła pierze w przetak, trzymany na kolanach, i co chwila rzucała oczyma na klomb i na drugie podwórze, oddzielone od paradnego wyplatanym płotem chróścianym i rządem wysmukłych, z poschłemi wierzchołkami, topoli, otoczone z trzech stron budynkami gospodarskiemi.

Bartek w ganku czapkę zdjął, torbę przekręcił i wyjmował gazety.

— Masz list od panienki? — zapytała łagodnym głosem, podnosząc ku niemu siwe, bystre oczy i twarz wybladłą i pomarszczoną.

— Jużci, że mam. Panienka kazała mi przyjść do pokoju, kazała list oddać i kazała grzecznie się kłaniać państwu, he! he...

— I zdrowa panienka, co?

— Musi być, co tam o tem w liście stoi, alem widział, że sielnie bledziuchna na gembie, kiej miesiąc na nowiu, i tak miętko gada, com ledwie usłyszał. Pytała się mnie, czy dawno służę u państwa? — he! he! — śmiał się cicho, bo mu się dziwnem wydawało, że ona nie wie — przecież cały świat wiedział, nawet w Miechowie Żydzi wiedzieli, że się on u nich chował od dzieciństwa. — Pytała się, czy starsza pani, to niby gospodyni, zdrowa? Pedziałem, że zdrowa. Kazała się kłaniać i przyszedłem.

— Nic więcej nie mówiła? — spytała się, bo ogromnie lubiła wypytywać ludzi.

— He! he!.. a dyć mówiła: Jak się nazywacie? A Bartek! odrzekłem. A dawno służycie? A zawzdy, pedam, he! he... A starsza pani zdrowa? — powtarzał wkółko.

— Bartek, idźże do kuchni, pomożesz Magdzie zanieść świniom, a potem pójdziesz do kopców, tylko się nie gzij, bo zobaczysz... — pogroziła mu.

Bartek torbę powiesił w sieni i poszedł, ale powrócił zaraz, miął czapkę w ręku, drapał się po głowie, przestępował z nogi na nogę i nieśmiało patrzył się na starą.

— Czego chcesz?

— A to... możeby pani gospodyni — pochylił się i pocałował ją w kolano — wstawili się do pana dziedzica, bo mi się cosik we łbie pokręciło i te listy, co mi dziedzic dali na pocztę, pójdą na maszynę dopiero jutro, a bez to dopiro jutro pójdą nie dzisia, że pan dziedzic powiedzieli: modry na maszynę, a biały do naczelnika. Baczyłem do lasu, ale potem tak mi się we łbie pokiełbasiło, że myślałem, co modry la naczelnika, a biały na maszynę, inaczej ich dać nie chciałem. Naczelnik mnie skrzyczał, bo modry był na maszynę, a biały do naczelnika! Baczyłem do lasu, a w lesie to mi się widziało, że modry był...

— Dobrze, dobrze — przerwała mu prędko, bo nie zrozumiała, o co mu idzie. Odstawiła pierze z gazetami i listami, które wzięła przez czerwoną zapaskę samodziałową, jaką była opasana, przeszła kuchnię i tym gankiem krytym poszła do dworu, do pokoju syna, położonego na piętrze, w rogu domu. Szła cicho przez wspaniale kiedyś urządzone pokoje, pełne jeszcze starożytnych, stylowych mebli, malowideł i złoceń na sufitach poczerniałych, obrazów zakurzonych na ścianach.

Dwór był prawdziwie pański, Grzesikiewicz kupił go na licytacji ze wszystkiem, co w sobie zawierał, bo majątek ogromny obszarem ziemi i lasów, po śmierci właściciela, który się zastrzelił w przystępie obłędu, poszedł pod młotek na rzecz niezliczonych wierzycieli. Starzy Grzesikiewiczowie mieszkali w oficynie; dwór był za wielki i za paradnie urządzony dla nich, nie umieli chodzić po posadzkach i dywanach, ani też poruszać się

wśród aksamitów, jedwabiów, bronzów i wielkopańskiego, wytwornego wykwintu; czuli się w tym domu skrępowani, jakby w kościele. Andrzej tylko zajmował dwa pokoje na piętrze, bo stamtąd miał całe podwórze i kawał pól na oczach, a reszta stała pustkami. W jednej połowie poskładano wszystkie meble bezładnie, a druga służyła za śpichlerz, skład uprzęży i starego żelastwa.

Stara szła wolno, unosiła nieco szarej, beżowej sukni, bo kurz grubą warstwą pokrywał dywany i posadzki, i oglądała uważnie pokój po pokoju, wybierając w myśli mieszkanie dla przyszłej synowej. Dom cały, pomimo nagromadzonych w nim wspaniałości, mroził smutkiem i opuszczeniem. Wiele okien było pozabijanych deskami, w wielu szyby pozaklejane papierem, albo zapchane słomą; sprzęty koszlawe, bez nóg, z fornirami poodklejanemi, wyglądały niby najnędzniejsze kaleki w żydowskim składzie mebli. Marmurowe, rzeźbione kominki, o kratach ze złoconego bronzu, zarzucone były śmieciami. Ciężkie, aksamitne z adamaszków jedwabnych portjery zwieszały się w niektórych drzwiach oderwane; wiele obrazów wyleciało z ram i leżało w kurzu; tynki odpadały i tworzyły warstwę szarą na konsolach luster wspaniałych, zasnutych pajęczyną, martwych, na stołach inkrustowanych różnokolorowem drzewem i miedzią złoconą.

W wielkim pokoju od ogrodu, oświeconym przez dwa weneckie okna, dawniej jadalnym, obstawionym kredensami, wyłożonemi dębowemi, rzeźbionemi boazerjami, leżały stosy cebuli, a na stołach dębowych, o wspaniałych blatach, pokrytych mozaiką z jasnego drzewa, czerwieniły się poukładane rzędem pomidory, wystawione tutaj na działanie słońca. Oszklone, szerokie drzwi prowadziły na taras, otoczony balustradą żelazną, kutą ręcznie w wielkie lilje; z tarasu kamienne schody, połupane, powybijane z obsad, prowadziły na trawniki. Grzesikiewiczowa popatrzyła na czerwone georginje, dogasające ostatniemi kwiatami, na żółte nagietki i blade ślazy, które rosły w klombach dziko i odradzały się same z każdą wiosną, na długie, powyginane, pełne wysepek jeziorko, ciągnące się od samego prawie tarasu i przez cały park, pełen starodrzewia, wzgórz sztucznych, grot, posągów potrzaskanych, ulic obsadzonych przystrzyżonemi grabami, aż do rzeki. Poodwracała część pomidorów i poszła na piętro, do syna. Mieszkanie Andrzeja utrzymane było przyzwoicie, miało czyste firanki i całe meble, ale czuć w niem było, że tutaj się tylko sypia, a nie myśli, nie żyje; taki stamtąd wiał chłód i tak poprawnie stały meble. Na długiem biurku pełno było papierów i ksiąg gospodarczych, słojów z próbkami sztucznych nawozów, rysunków, próbek ziemi i kilka retort. Stara pookurzała wszystko starannie, poprawiła pościel na łóżku i patrzyła długo na list Janki, opatrując go ze wszystkich stron. Przyglądała się ciekawie pismu z tą jakąś czcią i szacunkiem, z jakim się patrzą na nie chłopi, bo sama nie umiała pisać, ani pisanego czytać; czytywała tylko na swojej książce do nabożeństwa. Położyła list na biurku, w widocznem miejscu, pogładziła go pieszczotliwie, jakby Jankę głaskała i, uśmiechając się z radości, zeszła zpowrotem do oficyny. Zabrała pierze i zaniosła do swojego pokoju, położonego zaraz przy sieni, z którego okna wychodziły na podwórze i na warzywny ogród. Przymknęła lekko drzwi, aby słyszeć, co się dzieje w kuchni, i drobnemi kroczkami spacerowała po przecinającym pokój chodniku samodziałowym, w poprzeczne białozielone i czerwone pasy. Pokój miał podłogę prostą, z oheblowanych desek sosnowych, lśniących prawie od białości, i ściany wybielone wapnem z niebieską obwódką pod sufitem. Trzy rzędy obrazów świętych, we wspaniałych, złotych ramach, wisiały na ścianach, a nad łóżkiem ogromnem, mahoniowem, przyniesionem ze dworu, zasłanem pierzyną i stosem poduszek i jaśków w białych powłoczkach, wisiał obraz Matki Boskiej, przysłoniony muślinową firaneczką i otoczony kilkunastu obrazkami, przyklejonemi do ściany. W rogu izby starożytna, wykładana bronzami, komoda dźwigała dwa olbrzymie bukiety z papierowych róż żółtych i czerwonych, wstawionych w obtłuczone nieco wazony, pomiędzy któremi stała czarna, prosta pasyjka, opleciona różańcem, a nad komodą, aż do sufitu, wisiały obrazki, otaczające wielkiego, z kości słoniowej, Chrystusa, rozpiętego na hebanowym krzyżu. Niebieska lampa na poczerniałym łańcuszku paliła się przed krzyżem nieustannie.

— Anusia! — zawołała do kuchni — naszykuj dla starszego pana podwieczorek.

— O, pani! Prawdziwa pani! — myślała, uśmiechając się słodko na wspomnienie Janki. Pośliniła palec i pogładziła włosy, gładko rozczesane nad czołem, okryła się kraciastą chustką, wzięła kij, zajrzała do sąsiedniego pokoju i podreptała do kuchni. Sama krajała

chleb dla służby i, wziąwszy naszykowany już podwieczorek dla męża, poszła w podwórze. Zajrzała najpierw do chlewów, przerobionych z dawnej psiarni.

— Magda! toście tak żreć dawali, co? Połowa kartofli na ziemi, nie w korycie.

— A to maciora wyrzuciła ryjem, niech gospodyni patrzą, jak wyrzuca.

— Maciora! Ty tłomoku jeden, już nieraz widziałam, jak ty dajesz im jeść — krzyczała piskliwie i zaczęła rękami zbierać z ziemi kartofle z ospą i wrzucać do koryta. — Powiem panu dziedzicowi, to jak cię kijem przeleje trochę, to zaraz będziesz uważała, gdzie kłaść, zaraz zobaczysz koryto. Próżniaki! szelmy! — mruczała. — Bartek! zanieś starszemu panu do buraków, a żywo!

Bartek zniknął za węgłem z podwieczorkiem, a stara poszła dalej.

W podwórzu cicho było, tylko kilkadziesiąt kaczek trzepało się po gnojowiskach i stada kur rozgrzebywały śmiecie i słomę przed stodołami.

Wielkie, kudłate brytany, z rudawej sierści podobne do wilków, przykute przy drzwiach stajen, zaczęły się rzucać na łańcuchach i skomleć radośnie, pogłaskała każdego i weszła do środka, do źrebaków, zamkniętych w osobnej przegrodzie. Klepała ich po bokach, po karkach, głaskała i zaglądała do żłobków, a ujrzawszy w drugim końcu stajni koniarka, krzyknęła:

— Michał! źrebaki siana nie mają, od czegoś ty próżniaku! — pogroziła mu kijem i poszła do kopców, sypanych w ogrodzie.

Kilkanaście fornalek woziło kartofle, które zsypywano w długie pryzmy. Stara szła przez ogród, zupełnie opuszczony, pełen odwiecznych drzew owocowych, pokrytych mchem, pod któremi stało kilkanaście pookręcanych słomą pni pszczół.

Za ogrodem kilkadziesiąt kobiet, w jaskrawo czerwonych wełniakach i chustkach, kopało kartofle. Przysłoniła ręką oczy i patrzyła na młody zagajnik, przy którym biegła dróżka, wysadzona od pola brzózkami, a rdzawe kiście liści wznosiły się na białych pniach i na tle mocno błękitnem zagajnika rysowały się, niby wielkie pawie pióra. Dróżką migotał bułanek Andrzeja.

W powietrzu była cisza zupełna; graby w parku ciągnęły się długiemi, rudawemi pasami, wiśnie ciemnoczerwone liście zrzucały na ziemię, świeżo rozkopaną, i plamiły ją, niby płatkami krwi zastygłej. Wróble goniły się pod stogami owsa, a wrony całą bandą chodziły po kartoflisku i zrywały się na każdy głośniejszy odgłos śpiewów, jakie płynęły w powietrzu od kopiących. Wozy turkotały, czasem krzyk fornali rozlegał się głośniej, razem ze świstem bata, to głuchy odgłos zsypywanych na ubitą ziemię kartofli, albo jakaś pszczoła zabrzęczała cicho i siadała na liljowych, ostatnich astrach; młyn huczał gdzieś za parkiem jednostajnie. Senność zdawała się spływać ze światłem słońca i rozwłóczyła się nad ziemią obnażoną ze zbóż, rozkopaną, obdartą z roślinności, zmiętą i zmęczoną wysiłkiem wegetacji, ludzie i zwierzęta chodzili ociężale, nie leciały pokrzyki radosne nad zżółkłemi trawami, nie szumiały drzewa prawie nagie, nie śpiewało ptactwo. Jesień pobrała barwy i siłę przyrodzie, na polach było szaro i pusto, tylko gdzie niegdzie zieleniły się młode zboża, a od łąk rozbrzmiewał głuchy, bez echa, poryk bydła. Zamierało wszystko, zapadało w długi sen i odpocznienie.

A nie wierz chłopu, nie wierz,
A choćby najlepszemu... —
A bo cie wypróbuje,
A powie dziesiątemu...

Leciała zwrotka od kopiarzy, ale zaraz przepadła w ciszy i senności przestrzeni. Grzesikiewiczowa powróciła do domu, myśląc, że syna tam zastanie. Nie było go jeszcze.

VI

Na sam wieczór, kiedy już podwórze zaczynało nabierać życia, bo rozbrzmiewało beczenie owiec i spędzano bydło do obór, przyjechała Józia, córka Grzesikiewiczów, starsza od Andrzeja.

Przyjechała brekiem, ze stangretem, ubranym w liberję.

— Dobrze, żeś przyjechała — zaczęła stara, wprowadzając ją do swojego pokoju. — Zaraz ci coś pokażę.

Poszła śpiesznie do dworu i przyniosła list Janki.

— Patrz, list od panny Orłowskiej do Jędrusia.

Józia obejrzała list i dosyć niechętnie rzuciła go na stół.

— Cóż w tem ważnego? — szepnęła, podnosząc na matkę dwukolorowe oczy, bo miała jedno błękitne, a drugie żółtawe.

— Przecież to od panny Janiny — powiedziała z naciskiem, jeszcze raz przypatrując się listowi.

— Słyszę, nie potrzebuje mi mama powtarzać.

— Jędruś teraz to już się z pewnością ożeni.

— Jędruś jest... — nie dokończyła, zniżyła głos do szeptu. — Jędruś, żeby chciał, to mógłby się ożenić nie z taką, jak Orłowska. Młody jest przecie, wykształcony, bogaty.

— A juści! juści, że młody, że bogaty, że uczony, tyle lat był w klasach, juści, ale...

— Mogłaby mama tego „juści" nie mówić; to dawniej uchodziło jeszcze, ale dzisiaj...

— O, moja Józiu, co ci to szkodzi?

— Szkodzi, bo ludzie się z mamy śmieją.

— Tylko głupie się śmieją, mądre nie, bo wiedzą, że prosta, nieuczona kobieta jestem i przecież na starość uczyła się nie będę pięknego mówienia. A ty zawsze mnie musisz ugryźć: a matka tak niech nie mówi, a tak nie chodzi, a z matki ludzie się śmieją. Adyć, moja Józiu, choćbym gadała i ubierała się po pańsku, ludzieby i tak wiedzieli, że nie żadna pani jestem. Ty to se żyjesz, jak grafina jaka, a i tak wiedzą, żeś moja córka, i że twój ojciec był karbowym. Jest czem się dąć. Jezus Marja! — szeptała prędko i z pewną goryczą.

— Niech mama przestanie, bo zaraz odjadę — szepnęła Józia, złość zamigotała w jej oczkach, wyprostowała swoją wyniosłą, majestatyczną postać i zmierzała ku drzwiom, ale się rozmyśliła i usiadła na kanapce drewnianej, plecami do okna.

— Czy Andrzej się już oświadczył? — zapytała prawie obojętnie.

— Jeszcze nie, ale że napisała do niego sama, to juścić, że wszystko musi być dobrze pomiędzy niemi. Jędruś tam jeździł codzień podczas jej choroby, ale pono już wyzdrowiała. Chciałabym, żeby się ożenił z nią — uśmiechała się tkliwie. — Taka pani, i ładna, i dobra. Przecież jak łoni, zeszłego roku — poprawiła się, bo Józia syknęła — spotkałam ją w lesie, to pocałowała mnie w rękę! a przecież prosta kobieta jestem — dobra, o, dobra panienka!..

— Dobrze tylko liczy. Przecież takiego, jak Andrzej, męża, nie znajdzie drugiego. Niech mama zrozumie, że panny z najpierwszych domów poszłyby z chęcią za niego.

— Mówisz! a nie jeździł to do panny Zielińskiej, albo do Owińskiej, co? i napróżno.

— To on był temu winien, bo nie umiał się podobać — odpowiedziała i błysk triumfu zaświecił w żółtawem oku, błękitne świeciło zimno, jak lód bardzo przejrzysty, a po wąskich ustach prześlizgnął się uśmieszek niedostrzegalny.

— Nie to, ino tamte panny głupie, dufają, wierzą — poprawiła się — w swoje państwo. Jędruś, choć chłopski syn, ambicję swoją ma i honor, nie chciał łasić się kole nich, kiej pies, i ja nie chciałam, bo jak mie spotkały w kościele, to se patrzyły na mnie bez te głupie szkiełka, kiej na zagranicznego robaka!.. A cóżto, cudak jaki jestem, czy co? — zatrzęsła się z oburzenia.

— Bo też mogłaby mama ubierać się inaczej. Co mama kładzie na siebie! fi! — Wstała i zaczęła matkę wykręcać na wszystkie strony i oglądać z politowaniem. — Zapaska, beżowa suknia, watowany, barchanowy kaftanik, chustka za pół rubla na głowie, fi!.. mogłaby mama w tym kostjumie stać za szynkwasem. Co? i ciżemki na nogach za dziesięć złotych! hi! hi! hi! paradne, jak dzieci kocham. Moja gospodyni... — nie skończyła, odsunęła się i, zatykając nos, szeptała pogardliwie: — ależ mamę czuć oborą i chlewami, to już chamstwo!..

— A ta panna Orłowska — ciągnęła stara, nie obrażając się, ani zważając na słowa córki — to całkiem inna, całkiem. Uczona też jest i bogata. Prawdziwa pani, a Jędrusiowi jużby czas wielki był się ożenić, bo ja stara, niedługo oczy zamknę i coraz mi ciężej doglądać gospodarstwa.

— Czemu mama nie weźmie sobie gospodyni?

— Trzeba juścić płacić, a po drugie, bo to obca dojrzy, bo to się można spuścić na nie.

— Mama myśli, że Orłowska zajmowałaby się gospodarstwem?

— A niechby ta i nie, aby tylko była. Tak, niech ta se siedzi cały dzień w pałacu, czyta po francusku, abo i gra na fortepianie, od tego przecież ona pani. Jużbym ja jej rączków nie dała umorusać robotą, nie. A taka szlachcianka, taka pani synowa, to nie honor, co? — Uśmiechała się, wodząc rozpromienionym wzrokiem po okrągłej, mocno wypudrowanej twarzy córki, zacinającej usta, żeby nie wybuchnąć złym, drwiącym śmiechem. Żółte oko świeciło nienawiścią i biegało po pokoju, gdy tymczasem błękitne trzymała utkwione w matce.

— Zawsze co pani, to pani. W pałacu tyle dobra jest i marnieje wszystko, a ona umiałaby się w tem obracać.

— Dlaczegóż mi mama nic nie chce dać z tych gratów? Dla bratowej i tak starczy.

— To Jędrusia, przecież wiesz, że to wszystko Jędrusia. Ojciec, jak kupił, chciał śpichrz zrobić z pałacu, a meble sprzedać, ale się z Jędrusiem jakoś porachowali, że teraz pałac i wszystko, co w nim jest, jego. Ja ci dać nie mogę z tego, nie mogę. — Zaczęła energicznemi ruchami zaprzeczać możliwości dania czegokolwiek, bo Józia często ją o to nagabywała.

— Niech się mama nie boi, zostanie wszystko dla Jędrusia, bo przecież tylko Jędruś jest dzieckiem, tylko Jędruś potrzebuje, tylko o Jędrusiu się myśli i dla Jędrusia się zbiera.

— A tybyś chciała wziąć sama wszystko. Masz już po zęby, a najeść się nie możesz; to nawet grzech takie łakomstwo, Pan Bóg cię jeszcze za to skarze, zobaczysz...

— Niech-no mama te przepowiednie zostawi na później, a teraz może dostanę co jeść, bo wyjechałam z domu przed kawą.

Stara popatrzyła na nią niechętnie i poszła do kuchni.

Józia siedziała nieruchoma na kanapce i ze złości zaczęła gryźć i szarpać rękawiczki. Zaczęła pracować mózgiem usilnie, jakby przeszkodzić temu małżeństwu, które mogło popsuć jej najtajniejsze plany i najgorętsze marzenia. Nie chciała, żeby się Andrzej ożenił, bo w przyszłości widziała się już panią całego majątku. Popsuła Andrzejowi opinję we wszystkich dworach, gdzie były panny, z pomocą Osieckiej, która była jej najlepszą przyjaciółką i pomocnicą. Była głęboko uradowana na wiosnę, dowiedziawszy się, że Janka odmówiła bratu, a jeszcze głębiej, gdy się dowiedziała o jej wyjeździe z Bukowca i wstąpieniu do teatru; wtedy, przy każdej sposobności, w formie współczucia i politowania, rozmawiała o niej z Andrzejem. — Znowu wchodzi mi w drogę! — pomyślała, uklękła na kanapce, oparła się łokciem o parapet okienny i utonęła w męczącej pracy myśli, wynajdywaniu środków, jakiemi należy przeszkodzić temu małżeństwu. Patrzyła w ten zmrok czerwonawy, pełen refleksów miedzianych, zórz pozachodnich i smug fioletowych, i gwarów kończącego się dnia, co już rozwłóczył się nad ziemią, ogarniał pola, okrywał niskie krzewy i pnie topoli, i wpływał do pokoju mętnym, szarym tumanem, porysowanym konającemi na złotych ramach obrazów błyskami. — Nie dam! — szeptała, zaciskając pięście. — Nie dam! — i zawzięta, chciwa jej dusza zacięła się w gniewie. Żółte oko zaczęło drgać newralgicznie i sypać iskrami, błękitne świeciło martwo i groźnie. Nienawidziła Janki całą mocą swojej dzikiej, chłopskiej duszy, jak nienawidziła wszystkiego, co było pięknem i wyższem.

Służąca wniosła kawę i lampę, bo już w pokoju zupełnie ciemno się zrobiło.

Józia oderwała się od okna, włożyła na nos niebieskie binokle, żeby ukryć oczy pod niemi i z założonemi na plecach rękoma spacerowała po pokoju.

— Irenka pisała? — zapytała matka, nalewając kawę z dzbanuszka.

— Pisała, całuje mamę i ojca. Na Boże Narodzenie przyjedzie. Przełożona dopisała się do listu i donosi, że Irenka bardzo dobrze się uczy — opowiadała żywo Józia, siadając przy stole, poruszona przypomnieniem córki, która się uczyła u sercanek lwowskich. Rozpromieniła się i zapomniała o wszystkiem, tylko opowiadała nieskończone szczegóły o dzieciach swoich, bo miała jeszcze syna, umieszczonego w jakimś specjalnie arystokratycznym pensjonacie wiedeńskim. Dzieci były jej dumą, marzeniem i pociechą, bo czuła się zawsze nieszczęśliwą; to jej pochodzenie, którego się wstydziła, było dla niej ciężkiem jarzmem w całem życiu. Była dumną, mściwą, zazdrosną i chciwą. Wiedziała, że, pomimo znacznego majątku, okolica, to jest cała dawno osiadła tutaj szlachta, traktuje ją, jak córkę byłego szynkarza i owczarza, i to ją głęboko bolało. Upokarzał ją własny mąż, ekonom, za którego wydali ją rodzice jeszcze wtedy, kiedy stary Grzesikiewicz handlował wełną i owcami, kiedy jeszcze nikt nie przewidywał jego zbogacenia się, bo pomimo

kostjumów, w jakie ubierać się go zmuszała, pozostawał zawsze prostym, ordynaryjnym ekonomem, umiejącym zaledwie czytać i pisać.

— Andrzej wie, że Orłowska była całe cztery miesiące w Warszawie? — zapytała wkońcu, skombinowawszy jakiś plan.

— Jakżeż, przecież tam jeździł więcej niż dziesięć razy latem.

— Do niej? — zapytała, udając zdziwienie, bo o wszystkiem wiedziała doskonale.

— Juści tego nie wiem, bo mi nie pedział, nie powiedział — poprawiła się śpiesznie — ale tak sobie kalkuluję.

— Pewnie, że tak. Mama wie, co ona robiła w Warszawie?

Przecież Jędruś mówił, że uczyła się.

Józia wybuchnęła śmiechem tak serdecznym i długim, aż czerwona, pomimo pudru, jej twarz pokryła się sinawemi plamami.

— Mama jest łatwowierna, mamie wszystko wmówić można, i gdyby Jędruś powiedział, że Orłowska pojechała na księżyc, to mamaby uwierzyła.

— A dlaczegóżby nie? Pocóż Jędruś miałby cyganić przede mną?

— Poco?.. bo się wstydził powiedzieć, że ta panna Janina, ta prawdziwa pani, ta szlachcianka z edukacją, była komedjantką.

— Komedjantką? — zapytała stara, nie rozumiejąc dobrze.

— A tak. Taka, jakie widziała mama w Miechowie, co to jeździły na koniach i przewracały koziołki; pamięta mama, te w koszulach tylko.

— Jezus Marja! Józia, co ty mówisz? — wykrzyknęła, załamując tragicznym ruchem ręce. Stanęła przed córką i ze zgrozą jakąś, litością i smutkiem patrzyła na nią.

— Prawdę mówię, niech się mama spyta Andrzeja, niech się mama spyta, kogo chce. Na stacji wiedzą najlepiej, zresztą, cała okolica wie dobrze.

— A nie, nie uwierzę, nie, bo pocóżby ona poszła do tych komedjantów? Ojca ma, pieniądze ma, porządna kobieta, nie, nie. — Zaprzeczała energicznie i szybko odzyskiwała wiarę, zachwianą na chwilę. — Taka pani i poszłaby do takich małpów, i poco? — pytała się, nie mogąc zrozumieć.

— Mówili różnie, poco? przecież porządna panna, jeżeli się jej trafia iść zamąż za takiego człowieka, jakim jest Jędruś, toby wyszła, a ona nie chciała... tylko zaraz potem uciekła z domu. Mama wie dobrze, co wyrabiał Orłowski, że o mało nie zwarjował ze wstydu.

— Prawda, prawda... ale bez co ona poszła do komedjantów? — pytała stara, i znowu fala wątpliwości i goryczy przepełniła jej serce.

— Może nie mogła iść za Jędrusia, i musiała uciekać z domu! mówią nawet, że Orłowski ją wygnał!.. — szeptała znacząco Józia, nie patrząc na matkę, która połykała te słowa, jak ogień palący zgrozą.

— Józia, co ty mówisz, jeszcze kto usłyszy? — obejrzała się odruchowo na drzwi i okna.

— Nie będę powtarzać, co wszyscy mówią i wiedzą, ale jak była w domu, to przecież włóczyła się sama po lasach, sama jeździła do Kielc. To porządna panna tak powinna robić, co? Nigdzieby jej za próg nie puścili do porządnego domu. A co robiła w teatrze? Dlaczego się truła?.. przecież napół żywą przywiózł ją stary do Bukowca, leżała w szpitalu, pisały o tem gazety.

— W szpitalu była! truła się, pisały o tem gazety! — powtarzała stara zbladłemi, trzęsącemi się ustami, i łzy, niby groch, posypały się jej z oczu na watowany kaftanik.

— Wszyscy o tem wiedzą. Nikt nie wie, dlaczego się truła, ale przecież to nietrudno się domyślić, o, wcale nietrudno... — szeptała cichym, przenikającym głosem, i zły uśmiech odsłonił jej ostre, psie zęby.

— Nie, nie!.. — protestowała znowu stara. — Jedź już ty sobie, jedź. Nie przywieziesz ty nigdy żadnej pociechy, tylko, jak djabeł, zmartwienie albo złość.

— Prawdę przynoszę zawsze; przekona się mama jeszcze o tem — powiedziała twardo. Podniosła się, włożyła kapelusz zielony z jasnem piórkiem, okryła się długim burnusem i chciała na pożegnanie pocałować matkę w rękę, ale stara usunęła się śpiesznie. Józia kiwnęła jej pogardliwie głową i wyszła.

Grzesikiewiczowa stała wciąż, nie mogąc zgnieść w sobie żalu i oburzenia. Dygotała, bo jej gmach szczęścia, o którym tak dawno marzyła, rysował się i groził rozsypaniem. Janka!

ta Janka, której tak pragnęła za synową, byłaby taką... Ta pani... szlachcianka, którą jej Jędruś tak kochał... Nie, nie... to nieprawda. Jędrusby wiedział, on taki mądry i uczony... Tak, to z pewnością nieprawda, co ta Józia mówiła — wmawiała w siebie. — Z pewnością nieprawda. A, suka! aby tylko ugryźć — szepnęła z gniewem, spoglądając oknem za córką, na brek okrążający klomb i ginący pod wspaniałą arkadową bramą. Uspokoiła się nieco, ale w głębi wiły się wątpliwości z pragnieniem, żeby to była nieprawda; jej prosty, chłopski mózg nie mógł pojąć, nie mógł zrozumieć nawet istnienia przyczyn, skłaniających takie kobiety, jaką była Janka, do wstąpienia do teatru i do popełnienia tego, o co ją oskarżała Józia; ale jednocześnie chłopska podejrzliwość świdrowała ją boleśnie. Długo się biedziła temi pytaniami i, nie mogąc doczekać się syna, poszła w podwórze.

Aż w oficynie słychać było jej gderliwy, cienki głos; krzyczała na parobków, na dziewki, na dwórki, dojące krowy. Zaglądała wszędzie: do świń, do żłobów końskich, do owiec, do kur i gęsi; oglądała zamki w śpichlerzu i stodołach, i co chwila głos jej gniewny rozlegał się w innej stronie.

Poszła ku kopcom, gdzie, pomimo ciemności, kończono okrywanie kartofli, bo stamtąd ją doszedł potężny głos syna, krzyczącego na Bartka, który stał z czapką w ręku i starał się tłumaczyć płaczliwym głosem.

— Coś mi ty narobił, chamie jeden! Nie powiedziałem ci wyraźnie, nie tłumaczyłem po kilka razy, że niebieski list wrzucisz do pociągu, a biały oddasz naczelnikowi, co?..

— Jaśnie panie, były dwa listy: biały i modry. Juści, że baczę, co jaśnie pan kazali, modry na maszynę, a biały dla pana naczelnika.

— A czemuś tak nie zrobił? — zapytał Andrzej łagodniej, spostrzegłszy nadchodzącą matkę.

— Zapomniałem. Wyszedłem, tom baczył do samego lasu, pamiętałem cięgiem, co biały do naczelnika, a modry na maszynę; ale już w lesie cosik mi się pokiełbasiło, i stawał modry we łbie tam, gdzie przódzi był biały, i nie wiedziałem dokumentnie, który gdzie trza oddać, a kiej przyszedem na stacje, to mi się kuniecznie widziało, co modry do naczelnika, a biały na maszynę. Ja, jaśnie panie, baczyłem dobrze, ino pod lasem wrony krakały, śmignułem na nie kamuszkiem i poszedem, i do samego lasu cięgiem se przepowiadałem: modry na maszynę, biały do naczelnika; a w lesie to mie jakoś zamroczyło, i myślałem już: biały abo modry na maszynę, tak, modry abo biały la naczelnika. A na stacji... jaśnie pan mi darują, ale do lasu myślałem: biały, biały, biały — naczelnik, naczelnik...

— Idź do djabła! Zaprowadź bułanka do stajni! Odpowiedź przyniosłeś?

— Oddałem pani gospodyni.

— No, ruszaj! — krzyknął, oddając konia, który stał przy nim spokojnie.

— Jaśnie panie! — szeptał przez łzy Bartek. — Do lasu dobrzem myślał: biały, biały — juścić biały...

— Wynoś się, idjoto! Wytrzyj konia i okryj go na noc derką.

Bartek zniknął w mroku, ciągnął za trężlę konia, drapał się po skłopotanej głowie i mruczał:

— Jezus! to te zapowietrzone gapy, za to, com na nie śmignął kamieniem. Jeszcze do lasu myślałem: biały, biały, w lesie, abo modry, abo biały... Lo Boga, to nic inszego, ino te gapy dur rzuciły na mnie.

Andrzej wydał ostatnie polecenie i razem z matką powracał do domu. Stara spoglądała na niego tajemniczo i cicho powiedziała:

— Jest list od panny Orłowskiej.

— A mówił mi ten idjota, Bartek. — Zaczął iść prędko, niecierpliwość go porywała.

— Jędruś, bo nie zdążę, już mi tchu brak.

Zwolnił kroku, ujął matkę pod ramię i prowadził troskliwie.

— Józia dopiero co odjechała — zaczęła stara, nie wiedząc, w jaki sposób opowiedzieć mu to, co słyszała od córki. Spoglądała na niego co chwila, i nieśmiałość, a zarazem jakaś matczyna miłość zamykała jej usta.

— Nie jedzie do Warszawy, nie wspominała mamie?

— Nie, ale dużo mi opowiadała o pannie Janinie — rzuciła drżącym głosem.

— Może mi mama nie powtarzać, znam dobrze Józię i wiem, co mówić mogła. Wiem, że nie zostawiła na pannie Orłowskiej i jednej suchej nitki, ani jednej białej centki. Znam dobrze tę jędzę!

Stara odetchnęła, bo jeśli on wszystko wie i chce się z Janką żenić, to, co jej Józia opowiadała i kazała się domyślać, musi być nieprawda; tak ją to serdecznie ucieszyło, że zaczęła na Józię się skarżyć.

— A taka chciwa, że aż wstyd. Wszystkoby ino brała i cięgiem się ze mnie śmieje.

— Lubi brać, w przeszłym tygodniu była w pałacu, prosiła mnie o dwa lichtarze z bronzu. Nie dałem, ale i tak, wychodząc, zabrała je pod okrycie. Mniejsza o to, ale mama powinna jej zabronić wstępu do pałacu, kiedy mnie tam niema. Okropna kobieta, kłóci się z całym światem, okolica cała się jej boi, bo jak kogo weźmie na język, to go tak obrobi, czy winien czy nie, że strach, a przy tem w domu ciągle piekło; ten biedny Ignacy, to już bez głowy chodzi.

Weszli do mieszkania.

Rozerwał gorączkowo kopertę i pożerał list oczyma; fala krwi oblała rumieńcem radości jego jasną twarz, o regularnych, mocno ciętych rysach, zakończonych płową czupryną. Zaczął skubać i przygryzać wąsy, czytał list po kilka razy.

— Przeczytaj, Jędruś, głośno, i ja radabym wiedzieć — prosiła stara, dotykając listu delikatnie.

Czytał. Matka rozradowała się zupełnie. Wszystkie podejrzenia, wątpliwości topiły się, jak śnieg pod wpływem wiosennego słońca, radość przejęła jej serce i szczęście świeciło w jej białej, niby z blichowanego wosku, twarzy.

— Teraz to mi się widzi, że się z nią ożenisz, a czasby, Jędruś, czas! — westchnęła.

— Ożenić się, mamo, jeżeli mnie tylko zechce, to się zaraz ożenię. — I jakaś radosna pewność przejmowała go słodkiem uczuciem zadowolenia. — Będzie mama mieć synową, będzie.

— I wnuczki, Jędruś?

— Będą i wnuczki! — wołał ze śmiechem, całując matkę po rękach.

Przycisnęła mu głowę do piersi.

— Stara kobieta jestem i wnuczków mi kuniecznie trza, kuniecznie twoich dzieciątek, Jędrusiu! bo te Józine, to jakieś nie nasze, babki nie rozumieją, i takie jakieś, kiejby zagraniczne.

Jędruś zaczął snuć plany przyszłości i tak mówił wiele, że stara rozpływała się w radości, bo się nigdy nim dostatecznie nasycić nie mogła. Zawsze czas przepędzał za domem, przy gospodarstwie, wpadał tylko do rodziców jeść, zamieniał po kilkanaście słów i znikał. Lecz teraz, zamiast iść do siebie lub jechać do Witowa, gdzie często przepędzał wieczory, siedział z matką i rozmarzonym głosem opowiadał o Jance i o przyszłości. Dotykał ręką piersi, na której list Janki spoczywał, chodził, siadał, opierał głowę na krawędzi stołu i snuł cudną przędzę marzeń.

Matka siedziała w swoim starym, podartym fotelu i robiła pończochę, pochylała się nad nią chwilami, aby znaleźć zgubione oczka, i podnosiła siwe oczy na Andrzeja, promieniała jego szczęściem i słuchała. Przerwał im turkot bryczki.

— Ojciec przyjechał.

Parobek przeprowadził starego tak pijanego, że ledwie się wlókł na nogach, do sąsiedniego pokoju, który był jego pokojem i zarazem służył za jadalnię. Stary upadł na głęboki fotel i dyszał ciężko, zgrzytnął zębami, uderzył w poręcz ręką i syknął:

— A, boli! niech cię psy zgryzą, będzie jutro plucha... a, boli!.. kazałeś zakryć kopce?

— Kopanie skończone.

— Byłem w lesie, bo się zjechało dużo ludzi po drzewo. A... to jak świderkiem, tak mi w kościach wierci. Matka, dajno gorzałki, zaleję tego psa wściekłego, co mnie gryzie, jak Boga tego kocham.

— Musiał go ojciec dosyć już zalewać w lesie — szepnął z goryczą Andrzej.

— Cicho, synku! cicho! Widzisz, tak było: strzyknęło mnie coś w nogach, posłałem Walka po gorzałkę, i co mnie koiło tylko, zaraz kieliszek nalałem na tego robaka podłego, aż mnie rozkolały obydwie nogi. Jędruś, sprzedałem tę zmurszałą! — zawołał radośnie, rozcierając kolana.

— Prosiłem ojca, żeby nie sprzedawać, znowu ojciec oszukał kogo.

— Cicho, synku! zapłacili jak za najzdrowsze drzewo. Ho! ho! Niemiec myślał, że mnie oszwabi, a ja go wziąłem! a jucha Szwab, jucha! Matka, dajno gorzałki, bo boli —

zaczął zgrzytać zębami, głowa mu opadła na tył fotelu, twarz posiniała nagle i pokryła się potem, krzywił się okropnie i przewracał oczyma. — Matko, daj wódki! — jęczał.

— A juści, chcesz się dopić królestwa niebieskiego? Doktór ci nie powiedział, cobyś ani wódki, ani żadnych jenszych tronków nie pijał, co? Już masz tyle, że ani kropli ci nie dam!

— Matka, daj wódki, mówię ci, bo jak Boga tego kocham... — grzmotnął pięścią w stół, aż szklanki i talerze podskoczyły, zgrzytnął i wyprężył się z jękiem.

— Niech mama nie daje! — zawołał Andrzej, widząc, że matka obciera łzy, ale i szuka kluczyków od śpiżarni. — Jeżeli ojciec nie dba o swoje zdrowie, to myśmy powinni.

— Mądryś, panie synie, mądryś! Jutro się wyprowadzę do Józi, kiedyście tacy, już ona da mi tyle wódki, ile tylko wypiję. Już ona wiedzieć będzie, kto ja jestem — mruczał coraz niezrozumiałej. — Pan jestem. Jaśnie Pietrz dziedzic jestem!.. to mnie słuchać!.. juchy... słuchać, bo wygonię na cztery wiatry!.. jak Boga tego kocham!.. Matka, daj wódki!.. Jędrek!.. ej, Jędrek!.. Jędrek, mówię ci, wara ode mnie... wara... bo... — zgrzytnął zębami, bełkotał coś jeszcze sennie i zasnął.

Andrzej przeprowadził go do łóżka. Służąca chciała mu zdjąć zabłocone buty, ale tak kopał i krzyczał przez sen, że musiała dać spokój. Od paru lat chodził spać, nie rozbierając się, bo zawsze wieczorem był pijany. Cały dzień wódki do ust nie brał, ale pod wieczór, lub przy kolacji, upić się musiał.

Stary, pomimo niesłychanego sprytu i rozumu, był chamem w ujemnem tego słowa znaczeniu, i nic go nie było w stanie przerobić. Jeszcze dawniej, kiedy potrzebował częściej prowadzić rozmaite sprawy z ludźmi, maskował się i starał się ukrywać swoje kanty, ale w ostatnich latach, gdy zarząd całym majątkiem prowadził Andrzej, nie krępował się w niczem. Pijał z chłopami po karczmach, okpiwał, bo mu to wielką sprawiało przyjemność; śmiał się ze wszystkich i wszystkiego urągliwie, rozpierany potęgą swojego majątku, który wzrastał corocznie, bo nie wydawali i połowy dochodów.

Andrzej wkrótce poszedł do swojego mieszkania.

Cichość ogromna zapanowała nad światem, wszystko umilkło i posnęło w całym domu, tylko psy szczekały gdzieś na wsi i młyn szumiał głucho. Noc ciągnęła się długo. Andrzej prawie do samego rana przechodził po swoim pokoju, rozmyślając o przyszłości i o tem jutrzejszem widzeniu się z Janką. Postanawiał w najkrótszym czasie ponowić oświadczyny.

VII

Józia wróciła do domu w wesołem usposobieniu. Mieszkali tylko o cztery wiorsty, w Ługach, wielkim folwarku, dzierżawionym od ojca, bo stary dzieciom nic nie dawał darmo. Józi tanio nawet wydzierżawiał Ługi, mające coś z pięćdziesiąt włók, a Andrzejowi za zarząd całym majątkiem płacił pensję.

Dwór w Ługach był wielki i urządzony z przepychem niezmiernie prostym, uderzający swoją wytwornością. Służby było niewiele, ale tak wytresowana i poważna, i z taką godnością spełniająca swoje obowiązki, jak rzadko gdzie w naszych dworach. Józia wszystkich trzymała żelazną ręką. Mąż zakrzyczany, styranizowany, słuchał ślepo i w milczeniu spełniał wszystkie rozporządzenia; był tylko ekonomem u własnej żony, która na gospodarstwie znała się tak znakomicie, że nieraz sąsiedzi zasięgali jej rad i pomocy.

Zajechała przed dom oświetlony w jednej połowie, rzuciła lejce stangretowi i przez ganek, wsparty na ogromnych słupach, okręconych pędami dzikiego wina, weszła do wielkiego przedpokoju. Lokaj w piaskowej liberji z czarnem zerwał się na jej wejście.

— Pan w domu? — rzuciła mu zapytanie razem z burnusem i kapeluszem.

— Jaśnie pan jest jeszcze w podwórzu — rzekł, prostując się uroczyście.

Poszła do pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Przy stole okrągłym, oświeconym wiszącą lampą, siedziała chuda, mała, o długiej twarzy, przenikliwych, czarnych oczach, kobieta lat czterdziestu kilku, otoczona gazetami i książkami.

— Fifi, każ dawać kolację, głodna jestem, mamusia poczęstowała mnie kawą tak obrzydliwą, że mi się słabo robiło — zaczęła Józia, siadając w fotelu na biegunach; rozkołysała się gwałtownie. — Co, znowu czytasz głupstwa?

Fifi, stara nauczycielka, jej powiernica i sprzęt, na którym wywierała nieraz złość swoją, złożyła śpiesznie powycinane świeżo feljetony i podniosła się.

— Idź prędko, a nie zgub nogi! — zawołała złośliwie, bo Fifi utykała i, idąc, kołysała się gwałtownie na jedną stronę.

Zadzwoniła. Wszedł lokaj i stał przy drzwiach wyczekująco.

— Idź w podwórze, poszukaj pana i powiedz, że ja proszę.

Lokaj zniknął cicho, a ona zaczęła znowu się bujać na fotelu i rozmyślać o sposobach przeszkodzenia małżeństwu Janki z Andrzejem.

W pół godziny jakie przyszedł lokaj i, nachylając się lekko, mówił:

— Jaśnie pan pyta się, czy może przyjść do jaśnie pani tak, jak przyszedł z podwórza.

— Nie! — ściągnęła gniewnie brwi i błysnęła okiem. — Cham! — szepnęła pogardliwie. Zmuszała męża, żeby, przychodząc od gospodarstwa wieczorem, mył się i przebierał do stołu.

— Kolacja? — zapytała krótko panny Fifi powracającej.

— Zaraz będzie. Skończyłam *Stary Zamek*, prześliczna rzecz — mówiła Fifi z silnym akcentem francuskim. — Po kolacji zrobimy lekcje? — zapytała prędko, strwożona ściągnięciem brwi pani.

— Zrobimy! — i kołysała się dalej, nie patrząc na Francuzkę, która wyciągała książki i kajety, a na tych ostatnich robiła jakieś uwagi czerwonym ołówkiem. Józia w wielkiej tajemnicy uczyła się po francusku i była tak wytrwała, i takie postępy robiła, że Fifina zdumiewała się czasem. Nikt nie wiedział o tem, nawet mąż, że Józia uczy się po francusku, a postanowiła umieć, bo na balu u prezesa jedna z dam głośno zagadnęła ją w tym języku i z uszczypliwością zdumiewała się, jak może polska kobieta nie umieć po francusku. Józia wściekała się z bezsilnej złości i postanowiła się nauczyć. Szło jej straszliwie ciężko, ale przezwyciężała trudności uporem, pasją, z jaką się wzięła do uczenia i z jaką wszystko robiła. Jej nienasycona ambicja pchała ją ciągle naprzód. Nienawidziła tych wszystkich pań, w których towarzystwie żyła, śmiała się z nich, kłuła je ostrem żądłem sarkazmu, ale pragnęła wszystkie prześcignąć w przepychu, upokorzyć i zaćmić. W domu obywała się byle czem, kuchnią niewiele lepszą od chłopskiej, ubraniem nicowanem i przerabianem po kilka razy, kawą paloną z grochu, albo z żyta, byle oszczędzić i mieć pieniądze na kosztowne kształcenie dzieci zagranicą, na zbytkowne graty, na lokai, którzy całe dnie wysiadywali w przedpokoju, na powozy i konie najpiękniejsze w okolicy, na wspaniałe przyjęcia, jakie urządzali dwa razy do roku, i na które spraszali całe dalsze i bliższe sąsiedztwo. Wtedy było wszystko po magnacku.

Józia się podniosła i poszła razem z Fifiną.

W stołowym siedział już mąż, wysoki, przygarbiony nieco pracą, mężczyzna o łagodnej twarzy, i rozmawiał z młodym praktykantem, obywatelskim synem z Krakowskiego, zapalonym myśliwym i gospodarzem, który w Ługach przechodził praktyczną szkołę gospodarską.

— Panie Zygmuncie, mam ukłony dla pana.

— Wolno wiedzieć, kto o mnie pamięta? — zapytał Zygmunt, zwracając ku niej swoją piękną, arystokratyczną twarz, spaloną przez słońce na bronz.

— Zgadnij pan.

— Nie domyślę się, z pewnością się nie domyślę, ale to była kobieta, nieprawdaż?

— O tak, i bardzo piękna. — Założyła binokle, bo jej żółte oko zaczęło drgać newralgicznie na wspomnienie tej pięknej.

— Znam tylko jedną, zupełnie piękną kobietę w Polsce, moją kuzynkę, Jadzię Witowską: ale ta mnie niecierpi i nazywa dzikim człowiekiem; to nie ona, prawda?

— Ona. Spotkałam się z nią, jadąc do domu.

— Doprawdy, nigdybym nie przypuszczał, że pamięta o mnie?

— To, naturalnie, powiedziała mi w braku czegoś innego, więc niech się pan zbytnio nie cieszy. Trzeba było o czemś powiedzieć słów kilka, a że nie mamy nic wspólnego...

— Dziękuję, dziękuję, otrzeźwiła mnie pani, chociaż mogę upewnić panią, że jeszcze nie pływałem w słodkim obłoku marzeń o niej, nie. — Śmiał się Zygmunt, trochę z przymusem: nieszczerość dźwięczała mu w głosie.

— Fifi! — wskazała szorstkim ruchem Zygmunta i talerze.

Fifi, utykając i kołysząc się, podsuwała mu kolację. Dla Zygmunta był befsztyk, konjak i piwo, a oni zadowolili się herbatą, wędlinami i resztką pieczeni z obiadu.

— Buraki?...

— Skończone. Jutro zaczniemy odstawiać do cukrowni — odpowiedział cicho mąż.

— Zredukuj płacę kopaczom o dziesięć groszy dziennie.

Zygmunt spojrzał na nią z oburzeniem, mąż ani drgnął, tylko patrzył w szklankę, a Fifi roześmiała się sucho. Cisza się zrobiła długa, ale nikt głośno nie zaprotestował narazie.

— Obiecywaliśmy płacić drożej, ja sam zapewniałem... — zaczął Zygmunt dość energicznie.

— Zapłacimy taniej. Wtedy, kiedyśmy zaczynali kopać buraki, były słoty i zimna, więc trudniej było dostać ludzi, ale skoro zrobiła się pogoda, niema sensu płacić tak drogo.

— Obiecywaliśmy — szepnął mąż cicho.

— Zapłacimy inaczej. — Poruszyła się niecierpliwie na krześle.

— Będą malkontenci, będą się skarżyć, obmówią nas w okolicy o wyzysk biednych ludzi.

Józia pisała coś w notesie bardzo szybko, liczyła i sumowała.

— To wszystko razem jedno wielkie nic, i tak nas nikt nie oszczędza w tej szanownej okolicy. — Odpowiedziała twardo, schowała notes, dokończyła kolacji, skinęła Zygmuntowi głową, zabrała męża i poszła do kancelarji, w której siedzieli ze dwie godziny, obliczając robocizny i zapisując. Później wróciła do narożnego pokoju, gdzie już Fifina, czekając na nią zdrzemnęła się w biegunowym fotelu.

— Moja Fifi, na dywanie możesz sobie siadać, ale w fotelu, którego ja używam, proszę cię, nie wysypiaj się, tego nie znoszę — powiedziała szorstko. Francuzka zaczęła się lękliwie usprawiedliwiać. — Głupia gęś jesteś; jeśli zrobisz co złego, to miejże odwagę znosić następstwa, a nie wykręcać się, jak dzieciak. Zacznijmy lekcję.

Lekcja ciągnęła się bardzo długo. Józia z niesłychaną cierpliwością tłumaczyła na język polski jakąś powiastkę i znosiła uszczypliwe uwagi i gniewne, pogardliwym tonem wypowiadane poprawki Fifiny, która w ten chociaż sposób wetowała swoje upokorzenia i krzywdy. Józia to czuła głęboko i nieraz rzucała w nią książką lub kajetem, ale uspokajała się błyskawicznie, przepraszała, a nie omieszkała w najbliższym czasie udręczać jej z procentami. Pomimo wszystkiego, żyły na stopie przyjacielskiej, dopełniały się niejako i były sobie potrzebne.

Na drugi dzień, zaraz po południu, Józia kazała założyć konie do breku i pojechała do Osieckiej, bo już miała jakiś plan względem Janki, do którego wykonania była niezbędną Osiecka, dawna i dobra jej znajoma.

Osiecka mieszkała przy samym plancie kolei, od Bukowca ze dwie wiorsty, w małym kilkuwłókowym folwarczku, położonym zupełnie samotnie, w lasach, a kupionym od Grzesikiewicza. Gospodarowała dosyć źle, ale nie żyła z ziemi, tylko z procentów. Kazała zbudować w tem zaciszu, jak nazywano jej osadę, bardzo elegancką willę, piętrową, z werandami z trzech stron. Widok z frontowych okien miała rozległy, bo pola, należące do niej, ciągnęły się długim pasem i kończyły daleko, za koleją, do której od domu szła alejka, wysadzona poczwórnym szeregiem brzóz i jodeł. Las stał z trzech stron, zieloną ramą obiegając ten szmat szczerkowej, dosyć lichej ziemi.

Józia znalazła Osiecką w saloniku, w chwili ataku wspomnień o ś. p. mężu i płaczów. Zastała także Świerkoskiego, który tutaj codziennym był gościem. Siedział zgięty i patrzył obojętnie na Osiecką płaczącą i na Zosię, zajętą wyszywaniem czerwonych kwiatów na fioletowej kanwie. Amis leżał przy nim, skomląc cicho, jakby wtórując Osieckiej, która, ujrzawszy wchodzącą, powstrzymała łzy i z żywością porwała się do przywitania.

— Przepraszam, bardzo przepraszam, przerywam jakąś scenę rodzinną — mówiła Józia, łącząc wzrokiem bezwiednie Świerkoskiego z Zosią.

— O nie, słowo daję, że nie, a jestem pani bardzo wdzięczną za odwiedziny. — Ściskała ręce Józi, wpijając w jej zamkniętą twarz czarne, niespokojne oczy.

— Pani pozwoli sobie przedstawić, pan Świerkoski, poczciwy, nie zapominający o samotnicach przyjaciel.

Świerkoski kłaniał się apatycznie.

— Miałam do kochanej sąsiadki interesik prawdziwie sąsiedzki, więc jeśli mi pani zechce poświęcić trochę czasu...

— Ależ, szanowna pani, doprawdy uradowana jestem, proszę mi wierzyć, tem samem, że pani jest łaskawą mieć do mnie interesik, jak ś. p. męża kocham, jestem uradowana; no, kiedy mówię, że jestem uradowana, to niema wątpliwości — dodała mocniej, obrzucając pokój oczyma.

Józia uśmiechała się złośliwie; wyszły zaraz na drugą stronę domu.

Świerkoski przysiadł się bliżej Zosi, pies biegał koło niej i wydzierał jej zębami kanwę. Pogłaskała go i, nie podnosząc oczu, zapytała:

— Amis, prawda?

— Tak.

— Zawsze chodzi z panem?

— Tak.

— Dobry pies, ładny pies, mądry pies — mówiła, głaszcząc go pieszczotliwie.

Amis skakał i szczekał z radości. Świerkoskiemu rozbłysły oczy, wsadził rękę w zanadrze i zawołał cicho:

— Amis!

Pies odskoczył na środek pokoju, stanął na dwóch łapach i szedł ku niemu. Świerkoski wyjął kawałek cukru z kieszeni, położył mu na nosie i wstał, świsnął rzemieniem koło jego uszu i zakomenderował:

— Amis, marsz! rata ta ta ta! rata ta ta ta! — wołał, naśladując bębnienie i wybijając takt nogą. Pies maszerował wokoło sztywno, z cukrem na nosie i z wywieszonym różowym językiem, a on świstał tylko batem i bębnił.

Zosia opuściła robótkę i z podziwem przypatrywała się tej scenie.

— Rata ta ta ta ta ta! ognia! — krzyknął i chlasnął go batem przez grzbiet. Amis wywinął koziołka, cukier w powietrzu chwycił i zemknął pod fotel, na którym siedziała Zosia.

— Jakie to ładne! Pan go tak wyuczył?

— Tak.

— Musi dużo sztuk umieć.

— Zaraz pani pokażę. Amis! — Pies przyszedł niechętnie, oblizywał się i pokornie patrzył. — Amis, synku, pamiętaj, nie zrób wstydu panu — szepnął mu do ucha i głaskał. — No, Amis! kot! kot! kot!.. — Pies się wyciągnął i zaczął skakać po pokoju, udając, że go goni zawzięcie; przeskakiwał krzesła i stoły, szczekał zajadle i biegał wciąż wkółko. Zosia śmiała się rozbawiona ogromnie, a Świerkoski, kiedy pies już biegał jak szalony, wyjął rewolwer i strzelił w otwarty lufcik. Amis, jak martwy, przewrócił się na środku pokoju.

Zosia, przestraszona hukiem, zerwała się i podbiegła do Amisa, bo była pewna, że nieżywy.

— Zdechł pies, niema psa — wołał żałosnym głosem Świerkoski, pochylając się nad nim. — Zdechł pies, zdechł!.. — przydeptał mu ogon, Amis przekręcił się na grzbiet, wtedy Świerkoski zaczął go obchodzić wkółko i udawać, to szczekanie psów, to kwik świń, to rżenie koni, to bek owiec, i tak dokładnie, że Amis, chociaż wiedział, kto to robi, nie mógł się powstrzymać od strzyżenia uszami i warczenia; potem udawał krakanie wron i targał go za skórę, wreszcie skręcił się i szedł do psa prawie na czworakach, i wył głucho, jak wilk. Oczy roziskrzyły mu się zwierzęco, trójkątna twarz pociemniała, i wył, aż na podwórzu wszystkie psy wtórować mu zaczęły żałośnie, kury gdakały strachliwie, a gęsi z krzykiem próbowały uciekać na płoty. Zosia zbladła ze strachu.

Amis nie wytrwał, porwał się i skoczył do drzwi, trząsł się cały, skrobał je rozpaczliwie i wył głucho, bo Świerkoski patrzył na niego rozgorzałemi, wilczemi ślepiami, świstał batem i wył coraz przeraźliwiej, pies uciekł od drzwi i skoczył przez lufcik na werandę, a stamtąd na podwórze.

Świerkoski się wyprostował, przetarł sobie drżącą ręką oczy, popatrzył bezprzytomnie na Zosię, napół żywą z przestrachu, i, chwiejąc się i wspierając o sprzęty, wyszedł, nie powiedziawszy ani słowa. Sam nie wiedział, co się z nim działo.

Zosia wyjrzała oknem i zobaczyła, że bił psa, a potem obaj szli alejką do frontu. Świerkoski, zgarbiony, kołysał się na długich nogach, a Amis wlókł się ze spuszczonym łbem za nim.

Jeszcze się nie uspokoiła po wstrząsającem wrażeniu, jakie na nią wywarło wycie Świerkoskiego i jego twarz straszna, gdy weszła Osiecka i Józia.

— Pan Świerkoski poszedł?

— W tej chwili dopiero; ciocia nie słyszała strzału, ani wycia?

— Słyszałam, słyszałam — odpowiedziała niedbale.

— Nie zabieram czasu — powiedziała Józia, ucałowała Zosię i wyszła. Na werandzie Osiecka szepnęła jej do ucha:

— Najdłużej za dwa tygodnie będzie pani wiedzieć wszystko, natychmiast piszę w tej sprawie do znajomych.

— Czy ta Orłowska żyje z kim bliżej?

— Przyjaźni się z Zaleską, zna ją pani, idjotka muzykalna — zaśmiała się rubasznie z własnego konceptu. — Aha! zrozumiałam panią. Franusia! nie wychodź z dzieckiem na powietrze — zawołała do tłustej mamki z dzieckiem na ręku, wychylającej się z za węgla. — To dziecko mojej siostry, chorowało na koklusz, więc dla zmiany powietrza przysłali je do mnie z Warszawy — tłumaczyła się śpiesznie.

Uścisnęły sobie ręce, i Józia odjechała w wybornym humorze. Podcinała konie coraz częściej, pomimo, że biegły jak szalone wąską, leśną drożyną; brek podskakiwał niby piłka na grubych korzeniach i tak się kołysał chwilami gwałtownie, aż stangret chwytał się oburącz kozła, żeby nie zlecieć. Lubiła tak jeździć, był to nieomylny znak zadowolenia, bo w złości chodziła zwykle pieszo. Droga biegła równolegle z koleją, przez wąski skrawek lasu żółcił się świeży nasyp. Przed stacją, na przecięciu drogi, wiodącej z Krosnowy, zobaczyła bułanki Andrzeja; uśmiech złośliwy przeleciał jej przez usta, oko zadrgało, podcięła mocniej koni, żeby jej nie spostrzegł, i zniknęła na skręcie drogi, w lesie.

VIII

Andrzej po wczorajszym liście jechał z pierwszą wizytą do Janki. Miał być wieczorem, ale nie potrafił czekać, bo dzień mu się dłużył szalenie i matka go jeszcze przynaglała, aby nie odkładał. Pomimo radości, jaką mu dać miała ta długo oczekiwana chwila, był pełen niepokoju i obaw. Tyle już wycierpiał, że teraz bał się myśleć i wierzyć, że spełnią się jego marzenia; nawet głęboko w sercu tliła się gryząca pewność, którą pokrywał przypomnieniami jej listu, że coś się takiego stać musi, co ich znowu rozłączy. Myślał o powitaniu, gryzł wąsy, zapinał rękawiczki, które mu się ciągle rozpinały, i im był bliżej, tem wolniej jechać kazał stangretowi; był tak zatopiony w sobie, że nie widział przecinającej mu drogę Józi, ocknął się dopiero, gdy konie porwały się gwałtownie i skręciły z podjazdu wbok, w las. Przestraszyły się Zaleskiego, trenującego się na podjeździe stacyjnym. Stangret ściągnął konie, wykręcił je z pośród drzew, ale nie utrzymał, bo lejce pękły i konie przeleciały podjazd i wpadły do ogródka zawiadowcy, przeskakując niskie ogrodzenie z rur żelaznych. Stangret wyleciał, a Andrzej miał tyle przytomności, że wyskoczył; bryczka rozleciała się w kawałki, konie wpadły w wielki świerkowy klomb i zatrzymały się natychmiast.

Zrobił się tumult na stacji. Przyleciał Orłowski, a Zaleski blady i pomieszany, z rowerem przy sobie, stał pod stacją.

Wyprowadzono konie, i stangret, któremu się nic nie stało, pojechał do domu po drugą bryczkę. Andrzej miał tylko dłoń skaleczoną o jakiś kamień, okręcił ją silnie chustką, by zatamować krew i najspokojniej witał się z Orłowskim.

— No nic, wypadek, ale pan Zaleski mógłby jeździć gdzie indziej, nie tam, gdzie konie stają; bo moje widocznie przestraszyły się błysku kół rowera i poniosły.

Zaleski zaczął go przepraszać jak najserdeczniej.

— No mniejsza, stało się już i nie odstanie.

— Nie, panie Andrzeju, nie mniejsza; jeśli pan chcesz, możesz darować panu Zaleskiemu swoją ranę, rozbicie bryczki, przestrach; ale ja nie mogę, bo to się sprzeciwia przepisom; tego płazem nie puszczę, raport złożę o tem, bo mi sumienie zamilczeć nie pozwoli.

— A składaj pan i dziesięć głupich raportowi — zawołał zirytowany Zaleski, skoczył na rower, i w gniewie zataczał coraz szybsze koła na podjeździe.

— Złożę tylko jeden, przysięgam Bogu, że złożę! — krzyczał Orłowski. — Narażasz pan ludzi na nieszczęście i to w czasie, kiedyś pan powinien być na służbie. Panie Babiński, panie Stanisławie! — wołał, wchodząc do kancelarji. — Napiszemy raport.

Staś list rozpoczęty do mamy wsunął pod papiery i niechętnie poszedł za Orłowskim, ale ten przypomniał sobie, że zostawił Grzesikiewicza przed stacją, i natychmiast wybiegł.

Staś śpiesznie dopisywał:

„list i koszyczek odebrałem, dziękuję z całego serca za kiszkę, tylko mi się zdaje, że słona musiała być, bo dzisiaj ciągle mi się chce pić. W tej chwili konie Grzesikiewicza, tego, co jeździ do panny Orłowskiej, przestraszone rowerem Zaleskiego, poniosły; bryczka się potłukła w kawałki, ale jemu samemu nic się nie stało. Stary idjota chce pisać raport na Zaleskiego i pewnie napisze, bo był strasznie rozgniewany. Jeśli napisze, to Zaleski może mieć grubą nieprzyjemność, a może i translokację; niech się mama za kilka dni dowie w dyrekcji o tem. Wuj będzie wiedział. Posyłam flaszeczkę na spirytus kamforowy. Wczoraj zużyłem resztę, zrobiło mi się zupełnie dobrze, bo spałem całą noc doskonale i dzisiaj rano język miałem zupełnie czysty. Może się mamusia spyta Felcia, co to może być, że mnie dzisiaj noga zabolała w kostce, ale tak silnie, że ledwiem chodził. Kiszki niech mama nie przysyła, wolałbym polędwicę, albo kiełbasę serdelową. Papierosów wystarczy mi jeszcze do niedzieli. Całuję mamusię serdecznie. Staś".

Zaledwie zdążył list schować do koszyczka, który wysyłał do matki przez konduktorów, gdy Orłowski powrócił do kancelarji, bo osobowy pociąg dochodził do stacji.

Grzesikiewicz z bijącem sercem szedł na górę. Ręka bolała go dotkliwie, tłumił gniew z tego powodu, ale, znalazłszy się w tym samym saloniku, gdzie przed kilku miesiącami dostał odmowę, zapomniał o bólu, usiadł przy stole i ze drżeniem oczekiwał na Jankę.

Janka, pomimo pewności, że go zobaczy, była bardzo pomieszana. Patrzyła długo w lustro, przygładzała rozczochrane włosy, poprawiała ze szczególną starannością suknię, aby przedłużyć, o ile można wyjście.

Gdy wreszcie weszła do saloniku, Grzesikiewicz podniósł się, zaledwie mogąc pokryć wrażenie, jakie na nim wywarła jej dziwnie blada twarz, mocno czerwone usta i głębokie ślady choroby, tkwiące w kątach ust i w podkrążonych sinemi plamami oczach.

Ścisnęli sobie ręce w milczeniu.

Janka, z jakimś szerokim, nieco teatralnym gestem wskazała krzesło.

— Dziękuję raz jeszcze za pamięć. Bukiet zrobił mi wielką przyjemność, wielką — powtórzyła, czując, że mu sprawia temi słowami zadowolenie.

— Jeżeli pani pozwoli przysyłać sobie częściej kwiaty, sprawi mi pani głęboką radość — mówił przytłumionym głosem.

Podniósł rękę do wąsa, ale bezwiednie syknął z bólu.

— Co panu w rękę? — spostrzegła obwiązaną rękę chustką, na której występowały krwawe piętna.

— Bagatela; wyskakując z bryczki, upadłem rękoma na szaber.

— Mówiła mi służąca o tym wypadku, ale powiadała, że nikomu, prócz bryczki, nic się nie stało.

— Nic nie znacząca rana, spirytusem zaleję i boleć przestanie.

Janka dosyć żywo poszła po spirytus i pomimo jego oporu odwinęła mu chustkę z ręki. Janowa przyniosła miednicę z wodą, w której wymoczył rękę i zalał spirytusem pękniętą w środku dłoń; obwinęła ją świeżym kawałkiem płótna. Spirytus tak go szczypał w ranie, że zbladł i pot rzęsisty okrył mu twarz rosą, zacinał z bólu zęby i szeptał z trudem:

— Niech-że mnie pani nie rozpieszcza... niech-że mnie pani nie przyzwyczaja, bo gotów jestem sobie całe ręce rozgnieść, aby zmusić panią do opatrunku.

Janka spojrzała na niego jasnym, dobrym wzrokiem. Pocałował ją w rękę.

— Wiedziałem dawno, że pani bardzo dobra.

Cień jakiś przysłonił jej oczy, pochyliła głowę, nie mogąc znieść jego wzroku.

— Co słychać u państwa? Rodzice zdrowi, siostra?

— Mama przesyła przeze mnie tysiące pozdrowień i zapytanie serdeczne, kiedy pani raczy ją odwiedzić, bo czeka stęskniona za panią, jak my wszyscy — dodał ciszej.

— Wybierzemy się którego dnia z ojcem.

— Wie pani, nie mogę sobie uwierzyć, patrzę na panią, słucham, mówię, a nie śmiem przypuszczać, że to naprawdę jestem w tym samym saloniku.

Smutek zadrgał mu w głosie.

— A jednak to prawda, wszystko zdaje się powracać do punktu wyjścia — powiedziała poważnie.

— Być może, ale myśmy z ojcem pani tak stracili nadzieję zobaczenia pani tutaj, że jeszcze w tej chwili wątpliwości jakieś mnie przenikają, czy to nie jest sen zdradliwie łudzący pozorami rzeczywistości, czy to nie dalszy ciąg tych długich miesięcy oczekiwania. Pamiętam je głęboko. Przesiadywaliśmy w tym saloniku całe wieczory, nie mówiąc ani słowa do siebie i wisząc myślami i duszą na tej fotografji — wskazał szorstkim ruchem fotografję, stojącą na stole.

Podniósł się, oczy przysłoniły mu się bólem przypomnień, i usiadł na drugiem krześle. Janka w milczeniu przypatrywała się jego twarzy. Wydał się jej teraz nietylko zupełnie przystojnym, ale i jakimś więcej interesującym. Nie było w nim nic z salonowca, ani z wielkomiejskiego pudla, skaczącego niby na sprężynach koło kobiet. Głos brzmiał mu akcentami prawdy i wielkiego uczucia. Miał w sobie jakąś godność i siłę, która jej zaczęła imponować. Przyglądała mu się, niby aktorowi, grającemu swoją rolę z przejęciem, śledziła jego szorstką mimikę, spojrzenia, ruchy, to goniła wzrokiem błysk brylantowego pierścionka, który miał na palcu, przyczepiała się uwagą do szpilki w krawacie, byle tylko zagłuszyć w sobie jakieś uczucie żalu i winy, jakie się w niej budziło.

— Jeździł pan latem zagranicę? — przerwała to milczenie męczące, które już dosyć długo trwało.

— Nie, ale... — zakaszlał, aby zagłuszyć to „ale", bo chciał powiedzieć, że jeździł do Warszawy co tydzień, aby ją chociaż zdaleka zobaczyć.

— Zazdroszczę mężczyznom swobody; możecie panowie robić, co wam się podoba, nie potrzebując z niczego i przed nikim składać rachunku.

— Tak, ale za często nadużywają tej swobody.

— Czy to we wszystkich wypadkach miałoby być złem?

— Z pewnością, bo każde nadużycie, każdy wybryk, każdy niepotrzebny czyn mści się później najsrożej na nas samych.

Głęboko poczuła te słowa, zdawało się jej, że umyślnie powiedział do niej, i już oczy rozgorzały, już miała okazać chwilowe uczucie gniewu, ale się powstrzymała. Siedziała w milczeniu kłopotliwem.

Andrzej miał tyle do powiedzenia, tyle uczuć przepełniło mu serce, tyle myśli tłoczyło się pod czaszką, a nie śmiał nic mówić, siedział skrępowany nieśmiałością własną i jej pozornym chłodem wzroku.

— Żyją jeszcze bułanki? — zapytała znowu, aby tylko mówić.

— Żyją i to one rozbiegały się dzisiaj.

I znowu milczenie przykre i denerwujące.

„Co tu mówić, o czem?..." — myślała Janka z rozpaczą i wstała, poprawiła abażur na lampie, złożyła porozrzucane albumy, zajmowała ręce i poruszała się, żeby stłumić rosnącą coraz bardziej przykrość tego dziwnego przymusu, jaki panował pomiędzy nimi. Ta przeszłość jej niedawna stanęła pomiędzy nimi, i nie mogli się zbliżyć do siebie, nie mogli swobodnie rozmawiać, nie mogli nawet patrzeć na siebie prosto i jasno, bo jemu obok tej Janki, jaką teraz widział, stawała tamta, z teatru, wpośród sceny przyćmionej nieco; tamta Janka — wymalowana, w hecarskim kostjumie, rzucająca wyzywające spojrzenia na pierwsze rzędy krzeseł; tamta Janka — aktorka, której nienawidził za cierpienia, których była przyczyną; ona czuła, co się w nim dzieje, prawie widziała, jakie myśli krążą mu w głowie, czytała mu to wszystko z oczu i to ją gnębiło, i rozstrajało nerwowo; chciała, aby zapomniał o tem i nie myślał.

— Zostanie pan na herbacie... prawda? — zapytała, widząc, że się podnosi. — Ojciec zaraz przyjdzie ze służby. Pozostawię pana na chwilę samego.

Wyszła zająć się herbatą, a Andrzejowi zrobiło się jakoś jaśniej w duszy. Widział ją w tej chwilowej samotności inną, niż dawniej, imponującą więcej, ale i przez to droższą. Kocham ją! — myślał i czuł, że ją teraz kocha jakoś inaczej, niźli dawniej, głębiej i lepiej, że wzbudziła w nim szacunek, bo zobaczył w niej poza kobietą, której piękność go pociągała,

duszę jakąś większą. — Kocham! — szeptał z mocą i jego nieugięta, twarda, chłopska dusza ze drżeniem rozkoszy klękała przed jej duszą i zanosiła niewolnicze modły.

Przyszedł Orłowski, i wkrótce usiedli do herbaty. Zrobiło się wesoło i swobodnie. Janka miała humor i czuła się zadowoloną; Andrzej rozmawiał wiele i ze swoją porywczością trochę nieokrzesaną, prawie w każdem słowie i spojrzeniu, mówił jej o swojej miłości. Rozumiała go, była mu wdzięczną, tylko chwilami na spokojny ton jej usposobienia i myśli padał cień jakiś, mąciło się w niej wszystko na mgnienie, niedostrzegalnie, jak woda, gdy pod samą powierzchnią przepływa ryba; przechodziło to prędko, że znowu mówiła, ożywiała się, błyskała czasami subtelnym dowcipem, którego Andrzej nie odczuwał, nawet jej twarz blada zabarwiła się lekkim karminem krwi szybciej krążącej.

Orłowski był uradowany, ale po wybuchach śmiechu, lub po gorąco wygłoszonem zdaniu, wpadał w zamyślenie, odwracał się prędko i rzucał przestraszone spojrzenia za siebie, i później tem usilniej łączył się, i brał udział w rozmowie, aby się ogłuszyć.

— Doprawdy, tak mi tutaj dobrze, że radbym to dobro pić codziennie — powiedział Andrzej, podnosząc się do odjazdu.

— Pij pan, dokąd nie obrzydnie — powiedziała wesoło.

Ucałował jej ręce, czuła, że zadrżał po tych słowach, i kiedy wychodził, rzucił na nią jedno z tych spojrzeń, które są najgłębszym wyrazem miłości.

Wyglądała za nim oknami z kuchni, odczuł jej wzrok, bo się z bryczki odwrócił i przesłał ukłon kapeluszem.

Gdy tylko zostali sami, Orłowski wyjął jakiś papier i dał go do przeczytania Jance. Była to rezolucja Dyrekcji, na jego raport złożony na siebie.

Naczelnik wydziału w bardzo poważnie brzmiących słowach, w których jednocześnie tkwiła ironja, polecał:

„Zawiadowcy st. Bukowiec, zawiadomić p. o. ekspedytora tej stacji, Orłowskiego, że na skutek zażaleń publiczności i motywów przytoczonych przez jego bezpośredniego zwierzchnika, zawiadowcę stacji, p. Orłowskiego, Dyrekcja skazuje go na trzyrublową karę, z tem nadmienieniem, aby w przyszłości się to nie powtórzyło, i robi zawiadowcę stacji, p. Orłowskiego, odpowiedzialnym na przyszłość za gorliwe i akuratne wypełnianie obowiązków służbowych przez p. o. ekspedytora tejże stacji, Orłowskiego".

Janka zadrżała, przeczytawszy, stanęły jej w myśli słowa doktora, przypomniały się jej wszystkie dziwactwa warjackie ojca, oddała papier, nie wiedząc, co mówić.

— Surowa kara, prawda? — szepnął cicho. — Surowa, ale sprawiedliwa. Urzędnik nie powinien ulegać słabościom; kto jest na służbie, ten jest jakby na wojnie, ten nie ma ojca, matki, dzieci, rodziny, ma tylko obowiązek. Tak i oni to zrozumieli, uznali nareszcie to, o co się upominałem dawno. Zrozumieli i czynią mnie odpowiedzialnym za czynności ekspedytora, polecając czuwać nad nim. Słuszne, nic słuszniejszego.

— Jak to pogodzi ojciec, spełniając obydwie czynności — mówiła nieśmiało, bojąc się go rozdrażnić, a pragnęła w jaki bądź sposób wywieść go z tego błędnego koła.

— To się tylko tak mówi, że ja jeden spełniam obie służby, tak się mówi, ale jest inaczej. Czułem to dawno, a teraz po raz pierwszy i stanowczy uznała to Dyrekcja, pisząc: „zrobić zawiadowcę stacji, p. Orłowskiego, odpowiedzialnym na przyszłość za gorliwe i akuratne wypełnianie obowiązków służbowych przez p. o. ekspedytora tejże stacji, Orłowskiego". To przecież wyraźnie powiedziane. Tak, dziecko, w istocie, w Bukowcu jest nas dwóch: Orłowski zawiadowca i Orłowski ekspedytor. Ja tak dawno myślałem: tak, są dwa etaty, dwa odrębne zajęcia, spełniane przez dwóch różnych ludzi. Z pewnością tak jest, pisze to sama Dyrekcja, która nie myli się chyba. — Zaśmiał się głośno, wzruszył ramionami, chwycił zębami brodę i chodził po pokoju, przyglądając się co chwila papierowi. Przystawał na chwilę, jakby pod wpływem niejasnych wątpliwości, jakie w nim tkwiły jeszcze, ale odczytywał odezwę, patrzył przed siebie, daleko, uderzał palcami w papier z uśmiechem zadowolenia i pewności.

— Jakże się ojcu wydał dzisiaj Grzesikiewicz? — zapytała, aby go oderwać od tych myśli.

— Ho, ho, miałem rację!... a Grzesikiewicz?... dobrze, bardzo dobrze. Bardzo dużo mówiliście ze sobą — ocknął się, papier schował do kieszeni. — Wiesz — zaczął, siadając obok niej zupełnie przytomny — że takiego dobrego i uczciwego człowieka nie znam drugiego na świecie. Żebyś chciała iść za niego, byłbym zupełnie szczęśliwy. No, ja cię

nie zmuszam, przysięgam Bogu, nie zmuszam — mówił prędko, spostrzegłszy chmurę na jej twarzy. — Myślałem sobie tylko, że gdybyś mieszkała w Krosnowie, to jeździłbym do was codziennie.

— Dlaczego ojciec nie rzuci służby? Miałby ojciec zupełną swobodę, nie potrzebaby znosić zmartwień i kłopotów. Poco ojcu służyć? Przecież to, co ojciec ma, wystarczyłoby nam na swobodne, niezależne zupełnie życie.

— Myślałem o tem i zrobi się to, zrobi, ale teraz jeszcze nie można. Dopóki siły są, potrzeba coś robić i być czemś, zresztą, jestem potrzebny tutaj, bo kolej to społeczna instytucja, to krwionośne naczynie kraju, od jej prawidłowego funkcjonowania zależy cały organizm, zdrowie jego i siła; otóż ja znam, rozumiem i kocham swoje powołanie, a ludzi oddanych pracy, ludzi, którzyby służbie chcieli się poświęcić w zupełności, jest coraz mniej. Taki Zaleski, naprzykład, to mydłek, któremu rower tylko po łbie jeździ, który był w pięćdziesięciu służbach, takiemu idzie tylko o zapłatę i nic więcej. Stasio, to idjota. Świerkoski — zdziczała pomiędzy chłopstwem dusza. Karaś! ten, gdyby nie był zwierzęciem przedewszystkiem, które pije i goni za kobietami, mógłby być dobrym funkcjonarjuszem, bo rozumie, że słuchać potrzeba. A niższa służba! każdy tylko szuka sposobów wywinięcia się gładkiego od wypełniania obowiązków. Tak, czuję, że, żyjąc razem, byłoby nam dobrze, myślałem już nawet o tem, ale co jabym robił bez służby? Człowiek całe życie przywykł chodzić w kieracie, jak koń, który chociaż odwiązany od dyszla, to i tak będzie chodził wkółko, z pochylonym łbem, bo już inaczej nie umie. — Zaczął się śmiać z własnego porównania.

Janka się uspokoiła, bo jego myśli wydały się jej zupełnie logicznemi.

— Posłużę jeszcze czas jakiś, niech się przyzwyczają, niech zapomną, że żyli kiedyś inaczej, to już później beze mnie będą robić wszystko, samym ruchem porwani. To moja idea, że mało o tem kto wie i zdaje sobie sprawę; że mnie nie uznają, że nazywają mnie tyranem, że na moje projekty administracyjne odpowiadają często odmownie, to mnie chwilami boli, ale pomimo wszystkiego wytrwam, bo mam nagrodę w sobie, w sumieniu, w pewności, że tak robić powinienem!

Tak się rozgadał i ożywił, że opowiadał jej najrozmaitsze rzeczy, rozwijał teorję ekonomiczną; projekty uproszczonej administracji; przechodził na coraz szersze widnokręgi, zataczał coraz większe koła, porównywał ustroje państw, wykazywał wady panujących systemów wytwórczości, ich ścisły związek z moralnością, etyką, wyobrażeniami, liczbą urodzin i śmierci. Rzucał cyframi, które kreślił palcem w powietrzu, cytował z pamięci zdania autorów, studjowanych w tych obchodzących go kwestjach, zbijał niektóre twierdzenia, zapalał się, unosił, porywał sam siebie głosem i gestami, a chwilami przerywał, rzucał jakimś mętnym, zaniepokojonym wzrokiem dokoła, uśmiechał się blado do Janki, zdumionej tą powodzią słów i myśli, bo nigdy ojca takim nie widziała, ściskał oburącz głowę i snuł dalej marzenia, tylko ciszej i bezładniej, czasem wypowiadał tylko zarys myśli, jedno zdanie, jeden dźwięk i oglądał się za siebie z przestrachem i przez długą chwilę siedział w milczeniu, zatapiając twarz w wielkiej płachcie gazety, rozłożonej na stole. Wkońcu zerwał się i bez słowa poszedł do swojego pokoju.

Janka poszła także spać i pomimo trwóg i obaw o niego, usnęła zaraz, zmęczona tylu wrażeniami, ale po pewnym czasie obudził ją jakiś przytłumiony głos. Podniosła głowę i słuchała. Zaleska, jak zwykle o tej godzinie, grała niekończące się gamy, dźwięki lały się monotonnie, ale na ich tle drgały jakieś nieznane, bliższe szepty, to wykrzykniki, to słowa jakby próśb pokornych.

Poszła do saloniku, do pokoju ojca drzwi były uchylone.

Orłowski w kalesonach, ale w mundurze i czerwonej czapce, stał na środku pokoju; świeca, płonąca na stoliczku przy łóżku, obrzucała go mętnem, żółtawem światłem.

— Panie ekspedytorze, mówiłem: żadnych tłumaczeń, bo, przysięgam Bogu, nie uwzględnię. Dyrekcja skazała pana na trzy ruble kary, to pan zapłacisz i na przyszłość żadnych wykroczeń, żadnych, bo ja, naczelnik pański, nie pozwalam: słyszysz pan, nie pozwalam — mówił poważnie, rozwłócząc litery, nachylił się, jakby nad kimś znacznie niższym od siebie, pogroził palcem i odszedł, zrzucił mundur i czapkę, zaczął chodzić drobnemi krokami, obcierał spocone czoło i, garbiąc się i pochylając, szeptał zmienionym głosem i tak różnym, że Janka zajrzała lepiej, bo była narazie pewna, że tam jest

ktoś drugi jeszcze. Orłowski chodził po jednej stronie pokoju, wprost drzwi uchylonych, któremi patrzyła, wyciągnął rękę do miejsca, gdzie stał przedtem.

— Panie naczelniku, daję słowo uczciwego człowieka, jak córkę kocham, że niesłusznie mnie karzą. Byłem rozdrażniony wtedy, byłem chory, byłem nieprzytomny, prawda. Żydzi się tłoczyli, krzyczeli, uderzyłem jednego, prawda. Podnieśli krzyk, kazałem ich wyrzucić, prawda... ale niech pan naczelnik pamięta, że wtedy córka była śmiertelnie chora, że ją dopiero co przywiozłem z Warszawy, że byłem bardzo nieszczęśliwy. Panie naczelniku! a gdyby tak panu jedyna córka odjechała z domu, poszła do teatru, nie pisała przez kilka miesięcy, gdyby tak pana, ojca, rzuciła jak stary łach, i gdybyś pan to dziecko tak kochał, jak ja kocham, i gdyby ci potem zachorowała śmiertelnie, czy miałbyś przytomność, czy miałbyś poza nią jaką służbę? O, co ja wycierpiałem, co ja przeszedłem! — jęczał, zakrył twarz rękoma i szeptał poprzez łkanie; łzy zaczęły mu przeciekać przez palce i spływać po zbladłych policzkach i taki ból, taki wściekły ból skręcał mu serce, że tracił chwilami przytomność, chwytał się poręczy krzeseł, żeby nie runąć, kręcił się wkółko, składał błagalnie ręce i szeptał jakieś niedosłyszalne, bolesne skargi, to milczał, długo, wpatrując się z pokorą w tę urojoną postać naczelnika, w to drugie swoje ja, które widział przed sobą najwyraźniej.

Jankę trząsł spazm trwogi, bo to spokojne, dziwne szaleństwo ojca przepełniało ją rozpaczą i wprowadzało także pierwiastek chaosu w jej myśli. Nie mogła się poruszyć z miejsca, brakło jej sił i odwagi. Pokój zaczął wirować, to blade światło świecy drgało przed nią, niby krwawa łuna, niby pożar olbrzymi, w którym kłębił się jakiś pęk ciał, wiły się jakieś ogniste i przerażające skręty myśli, ściskające jej głowę palącemi zwojami.

Orłowski usiadł na łóżku, tarł sobie czoło, napił się wody z syfonu, stojącego na stoliku, i widocznie ten syk i szum wytaczanej wody powróciły mu nieco przytomności, oderwały tym głosem zewnętrznego świata od mar chorego mózgu; targał brodę, przecierał oczy i długo szeroko otwartemi oczyma, pełnemi bezbrzeżnego strachu, patrzył w ciemną głąb pokoju. Uspokoił się widocznie, bo w oczach zaczynała błyskać świadomość, majak zniknął. Zgasił świecę.

Janka także oprzytomniała, słuchała pode drzwiami i wkrótce usłyszała równy, mocny oddech ojca; fortepian Zaleskiej coraz cichszemi dźwiękami śpiewał, aż zamilkł; cisza ogromna, mistyczna cisza nocy, pełna rozprzężonych drgań, pełna niewytłumaczonych szmerów i błysków, zalała mieszkanie.

Przejął ją dziwny, wstrząsający strach. Szła do swojego pokoju ze drżeniem, tłumiła oddech, przyciskała serce bijące głośno, bo się jej zdawało, że tutaj, obok niej, w tamtym ciemnym kącie pokoju, ktoś jest, ktoś idzie za nią, jakieś ręce wyciągają się do niej, jakieś oczy patrzą złowieszczo, jakiś powiew zimnem tchnieniem powiał na jej twarz i zlodowacił krew. Meble, niby czarne, bezkształtne potwory, czaiły się w mrokach i zdawały się zabiegać drogę; biaława klawjatura wyszczerzała na nią długie, ostre kły. Przebiegła szybko salonik, wpadła do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i rzuciła się na łóżko, okręcając się kołdrą.

Po długim czasie oprzytomniała zupełnie, zaczęła się ubierać, aby zejść nadół, podać depeszę do doktora, ale potrzeba było przejść stołowy, kuchnię, kurytarz długi — zatrzęsła się z trwogi i postanowiła zaczekać do rana.

Nie spała całą noc, co chwila zdawało się jej, że słyszy głos ojca, chowała głowę w poduszkach, ale długo nie mogła tak wyleżeć, bo prawie była pewna, że przez szyby, któremi wpływała czarna, bez gwiazd noc, zagląda twarz jakaś. Zrywała się i, nie zobaczywszy nic, kładła się, ale w coraz boleśniej dręczącem zdenerwowaniu.

Pociągi z hukiem przelatywały, czasem trąbki dróżnicze zagrały tak mocno, aż echa powtarzał las, i znowu się rozpościerała bezmierna, przytłaczająca cisza, jakby świat cały skonał.

Rano Orłowski wstał o zwykłej godzinie, wypił herbatę i poszedł do swoich zajęć, był tylko bledszy i oczy miał więcej przekrwione czerwonemi żyłkami, ale ani słowem nie wspominał o Dyrekcji, wydawał się w zupełnie normalnem usposobieniu. Janka śledziła go uważnie i, gdy wyszedł, przespała się dopiero, a później napisała list do doktora, prosząc go, aby pod jakim bądź pozorem i jak najśpieszniej przyjechał, objaśniając w krótkości o stanie ojca.

— Rochu, ten list oddacie na pierwszy towarowy, idący do Kielc. Macie tu rubla, dacie go z listem pakmajstrowi i poprosicie, żeby ze stacji natychmiast wyprawił. Co to wam jest? — zapytała, spostrzegłszy smutną i strapioną twarz Rocha.

— Co mi jest? mnie to ta nic nie jest, panienko, ale Rochowa już ino bokami robi, pewnikiem się chudziątku zamrze.

— Dawno chora? nic nie mówiliście.

— Nie mówiłem! a juści, panienko, żem i nie mówił, bo co to pomoże... a dawno, juści, że nie od wczoraj, ino od lata słabuje; robić z początku nie mogła, bo zaraz ją kolki spierały pod piersiami, potem to i jeść nie jadła. Chodziła i do dochtorów, smarowała się i tłustością, i okowitą, i zielami, i nic nie pomogło.

— Trzeba było wezwać kolejowego doktora, przecież wam pomoc lekarska się należy.

— Się należy! a juści, panienko, należy, ale... dochtory panów to uny tam likować umieją, ale chłopów to pewnikiem nie, bo przyjechał do Banasikowej, no i co? umarła, panienko. Może i nie przez jego porękę, bo jak kto ma zamrzeć, to mu żadne dochtory pomóc nie pomogą, chyba jeden Pan Jezus, ale zawdy...

— Co jest właściwie waszej żonie?

— Waszej żonie? a juści, że dokumentnie nie wiem, a kto to wie, panienko, kiej ból jeno jest we wnętrzu. Jeść ni może, robić ni może, wyschła, kiej wiór, no i leży, i leży a czeka zmiłowania Pańskiego, albo śmierci; gemba, to jej się zrobiła kiej piąstka. Wódki czasem kapkę sie napije, mięsa dziobnie pare razy łyżką i tyla.

— Oddajcie ten list, zrobimy jeszcze inaczej.

Napisała bilet do ojca, aby zatelegrafował po doktora do chorej Rochowej.

— Zanieście to panu. Za dwie, trzy godziny doktór tutaj będzie. — Tak, to się lepiej stało, nikt wiedzieć nie będzie, że ja wzywałam doktora — pomyślała.

Rzeczywiście, w kilka godzin później przyjechał doktór, przyszedł na górę, nie chciał się rozbierać ze swoich pledów, waterproofów, kaszlał więcej niż zwykle, cerę miał zielonawą, i respiratora nie zdejmował z ust zupełnie. Wszedłszy, natychmiast pozamykał drzwi i lufciki, obejrzał okna i, zobaczywszy, że nieopatrzone na zimę, pogroził Orłowskiemu, który z nim przyszedł.

— Żyjemy i tak jakoś zdrowo! — zaśmiał się zawiadowca.

— Ale z reumatyzmami, migrenami i newralgjami — napisał na marginesie gazety, leżącej na stole.

— Może po powrocie od Rochowej doktór mnie jeszcze obejrzy.

Popatrzył na nią, machnął ręką i znowu napisał:

— Pani jesteś zupełnie zdrowa — ale dopiero teraz spostrzegł, że patrzy na niego jakoś szczególnie. Skinął głową potakująco i chciał iść.

Janka szybko ubrała się do wyjścia.

— Pójdę do chorej z doktorem, bo już się od rana wybierałam.

— Poco? — krzyknął Orłowski. — Jeśli zdycha, to się tam obejdzie bez ciebie, choroba może zaraźliwa.

— Doktór pierw wejdzie i przekona się.

Wyszli zaraz.

Roch mieszkał o kilkadziesiąt kroków od stacji w małych koszarach, postawionych dla służby. Szli nad plantem, Janka ujęła doktora pod ramię i cicho zaczęła mu opowiadać o ojcu. Nie było to dla niego niespodzianką, ale, usłyszawszy tę nocną scenę, przystanął i powiedział jej smutnemi oczyma, że to bardzo źle.

— Musi doktór pod jakim pozorem obejrzeć ojca i poradzić, ja głowę tracę.

Skinął głową, i weszli do izby.

Izba była dosyć czysto utrzymana, ale przepełniona wyziewami spirytusu z tłuszczem, świeżo zakwaszonej kapusty, której kłódka stała pod piecem, przykryta poduszką. Jedyne łóżko stało pod oknem, na którem w blaszanych kwartach rosły anemiczne geranje i stała butelka z pijawkami, z obwiązaną gałgankiem brudnym szyjką. Rochowa, z rękoma czarnemi i wyschłemi na pierzynie, leżała bez ruchu; próbowała się unieść, ale jęknęła tylko cicho i blademi, wypłowiałemi oczyma patrzyła bezmyślnie; twarz miała tak suchą, żółtą, pomarszczoną, jak leśne, zasuszone jabłko. Doktór nawet jej nie oglądał, bo już była w agonji, z trudem szeptała niezrozumiałe słowa i goniła zdumionym wzrokiem za Janką.

— Co was boli?

— Umrę... umrę... — szeptała cicho, i ta jej twarz trupia miała ten sam ton, na tle kolorowej, w czerwone paski pościeli, co twarze świętych ascetów i męczenników, wiszących rzędem na ścianach, wychylające z czarniawej głębi tła, niby z niebytu, twarze bezkształtne, podobne do wizyj niezupełnie zmaterjalizowanych.

— Czemuście mnie pierwej nie wezwali?

— Nie wzywali... a juści, nie wzywali, ale myśleliśwa, że samo przejdzie, a potem tośwa widzieli, że już i wielmożny dochtór nie poradzi — tłumaczył się Roch, wyprężony przy drzwiach jak struna i salutujący całą dłonią.

— Jeździliście do znachorów, co?

— Juści, że do dochtorów jeździła i smarowała się wódką z tłustością, i piła ziele, i odczyniały ją kobiety, i na rosę boso chodziła, i pijawki przystawiała, i bańków trzy mendle suchych balwierz stawiał, i nic nie pomogło. Już widno na śmierć zachorzała, to nic nie pomoże — mówił ze spokojną rezygnacją, patrząc bezmyślnym, kamienno-obojętnym wzrokiem w chorą.

— Przyślę jeszcze dzisiaj lekarstwo. Chodźmy! — powiedział doktór do Janki, która cały czas z jakąś litością, pełną trwogi, patrzyła na chorą. Odwróciła się, aby wyjść, ale Rochowa wyciągnęła rękę i chudemi palcami chwyciła ją za suknię. Obejrzała się przestraszona.

— Panienko! panienko!.. — wołała głucho, zakrztusiła się i leżała chwilę z wysadzonemi z orbit oczyma, chwytając ciężko powietrze i drapiąc bezmyślnie pierzynę.

Janka poczuła łzy w oczach, poprawiła jej poduszek i pierzyny, ściągnęła jej żółtą, rozluźnioną chustkę, jaką miała okręconą głowę, pogłaskała ją po twarzy i, połykając łzy, wyszła z izby. Rochowa patrzyła za nią i w sztywniejących, zmąconych śmiercią oczach, zaszkliły się jeszcze ostatnie łzy wdzięczności, a sine, obwisłe, odsłaniające bezzębne szczęki — usta poruszały się jakby w modlitwie.

— A niechże!.. a niechże!.. a niechże!..

Snuło się jej po zamierającym mózgu, jak ostatni błysk światła, i spokojnie leżała, i bez trwogi patrzyła w jakąś dal nieznaną a straszną.

— Kobieta jeszcze dzisiaj umrze — powiedział doktór Rochowi przed domem i zaraz włożył respirator.

— Umrze... a juści, że umrze! Ta... to i zaraz póde po trumnę — rzekł apatycznie.

Jance zatrzęsło się serce z żalu, nie mogła nic mówić, tylko szła za doktorem i wpatrywała się w jesienne barwy lasu zamierającego, w szare stada chmur, co płynęły chyżo, niby ptactwo, w świat smutny i jakby obumarły.

Doktór w mieszkaniu się rozebrał i pokazał na migi, żeby mu dali jeść, i gdy Janka opowiedziała ojcu o stanie Rochowej, skinął na nią nieznacznie, aby wyszła.

Wyjął swój notes z ołówkiem na stół, usiadł, rzucił okiem na spacerującego po pokoju Orłowskiego i napisał:

— Jesteś niezdrów, widzę to.

— Ale gdzie tam, nigdy nie byłem zdrowszy.

— Masz w oczach napisane, że cię głowa boli, że źle sypiasz — napisał.

— To prawda, ale mam tyle kłopotów na służbie, że to dosyć naturalne.

Doktór obejrzał bez ceremonji oczy, obmacał grzbiet i głowę i siadł zpowrotem.

— Nic mnie nie boli, co ci się zdaje?..

Nie odpisał, zjadł śpiesznie obiad i poszedł pożegnać się z Janką.

— Jest tylko jedna rada: spokój, spokój, spokój — szepnął cicho — a druga, zresztą połowiczna, żeby Dyrekcja dała mu pomocnika do ekspedycji. Będę się o to starał pocichu.

— Doktorze, nie wypowiem nawet, ale doktór odczuje, co się we mnie dziać musi, jak się boję strasznie, ratuj go, nie krępuj się kosztami, rozporządzaj, wszystko zrobię, byle go ocalić.

— To nie o to idzie, mnie chodzi tylko o przedłużenie dzisiejszego stanu, o wyleczeniu niema mowy — szepnął szorstko, uścisnął jej gorąco rękę, pocałował ją w twarz, założył respirator i wyszedł.

Wieczorem przyjechał Grzesikiewicz z bukietem kwiatów. Janka przyjęła go z roztargnieniem, bo całą uwagę miała skupioną na ojcu. Po przyjeździe Andrzeja, Orłowski otrząsnął się z przygnębienia, śmiał się często i był tak rozpromieniony, że obawy jej

zwolna się rozwiewały i milkły, a nawet później o nich zapomniała, bo tak poufale poklepywał Andrzeja po bokach i tak często go całował, że była trochę zirytowana, gniewały ją czułe spojrzenia i ton narzeczeństwa, z jakim Andrzej zwracał się do niej. Rozmawiali o stosunkach sąsiedzkich, gdy Orłowski zapytał:

— Czy Witowski gdzie wyjechał? Dawno go nie widziałem.

— Nie, przestał tylko jeździć przez Bukowiec.

— Dlaczego?

— Dziwaczy, jak zwykle, tłumaczył mi dlaczego: oto, że ten dąb, na którym się zimą powiesił nasz owczarz, pamiętają państwo, denerwuje go, nie może obok niego przejeżdżać.

— To dziwny człowiek jakiś!

— Niech pani powie dziwak. W sobotę, śpię w najlepsze, wtem budzi mnie ktoś; zerwałem się, zapalam zapałkę. Witowski siedzi na łóżku i wita się ze mną. Zdziwiłem się, ale myślałem, że ma jaki ważny interes; a on powiada, że nie mógł spać i koniecznie zapragnął mnie zobaczyć. Przyszedł pieszo, drzwi były pozamykane, więc od tarasu wybił szybę, otworzył okno i wszedł. Psy, jak zwykle, nie mówiły mu nic.

— Jakto, jak zwykle?

— Tak, faktycznie, widziałem kilka razy, że psy nie mówią mu nic, ale idą do niego i łaszą się.

— Na Boga! nie wiedziałam, że okolica ma taką nadzwyczajność.

— Może wkrótce pani go pozna. Bardzo bogaty, wykształcony i straszliwie przykry w stosunkach, ale że wielki pan, boją się go wszyscy i wywiera na całą okolicę dziwny wpływ. Chłopi nazywają go „antychrystem". Jako gospodarz, nie jest świetny, ale majątkiem administruje znakomicie. Bardzo dobrze jesteśmy z sobą i już mi nieraz powiedział prosto w oczy: Grzesikiewicz, ty jesteś cham, ale cię kocham, i dlatego, że jesteś dopiero elementalem ludzkim, z twojej rodziny wyjdzie wielka dusza.

— Skąd on się wziął tutaj?

— Akurat rok temu okrągły sprowadził się prosto z Paryża. Stary Witowski z Witowa, stryj jego, zapisał mu Witów, aby majątek nie wyszedł z nazwiska, ale tyle pozostawił legatów filantropijnych, tyle zobowiązań moralnych a dziwacznych, że tylko szaleniec mógł przyjąć zapis, pomimo że to fortuna magnacka.

— Opowiadał mi pan Skulski dziwne rzeczy o tym Witowskim.

— No, już dosyć anegdot krąży po okolicy na jego conto.

— Chciałabym go poznać.

Grzesikiewicz zaczął się śmiać.

Janka wzdrygnęła się lekko.

— Śmieję się, bo powiedział mi kiedyś, że jeśli kto bądź mówi o nim, lub pragnie go widzieć, to on telepatycznie wie o tem i prędzej czy później da się poznać.

— Będę cierpliwie czekała.

— Pani wierzy w takie bajki, jak telepatyczne odczuwania, przeczucia i t. d.?

— Ani tak, ani nie, ja nie wiem, a przypuszczam możliwość wszystkiego. Rzeczywistość jest z tej samej przędzy, co i marzenia.

Grzesikiewicz nie odpowiedział, ale w oczach miał niedostrzegalny błysk ironji.

IX

Jance długo stał w pamięci Witowski. Zaciekawił ją ogromnie, działał już z oddalenia, bo czuła w nim jakąś niezwykłą, nieszablonową organizację. Przypominały się jej postacie calderonowskich dramatów — i pełna niejasnych, niesformułowanych myśli i marzeń poszła odwiedzić Rochową. Janowa za nią niosła buljon i wino.

Rocha nie było w izbie. Mała lampka kopciła nad okapem i zalewała izbę brudno-żółtem światłem. Przy kominie, na którym suche, świerkowe gałązki trzaskały wesoło, siedziało kilka kobiet, rozmawiały półgłosem i ze zdziwieniem podnosiły rozczerwienione od ognia twarze na wchodzącą. Chora otworzyła z trudem ciężkie powieki. Kobiety ją nieco uniosły na poduszki, a Janka wlała w zaciśnięte gardło trochę wina. Dyszała długo, w żółtych oczach zatlił się jakiś słaby błysk przytomności życia.

— Panienko! — szeptała bezdźwięcznie, starając się ująć kostniejącą ręką dłoń Janki — a niech ci Pan Jezus da... a niech ci Bóg Ojciec da... a niech ci Matka Boska da... a niech ci... a... — dokończyła rzężeniem, płomyk świadomości zagasł, jęczała cicho i w długim oddechu otwierała usta, oczy stawały jej kołem i wytrzeszczone świeciły, niby wielkie, szklane paciorki. Jedna z kobiet zapaliła gromnicę, bo myślała, że już kona, ale Rochowa po chwili uspokoiła się i spojrzała przytomniej.

Janka siedziała długo przy niej, poprawiała jej włosy, wymykające się z martwą bezwładnością z pod chustki, wlewała po kilka kropel wina, czasem gładziła ją po twarzy i zwolna sama zapadała w jakieś odrętwienie bezbolesne; kobiety znowu siedziały przy ognisku, jedna z nich ukryła głowę w poduszce, pokrywającej kłódkę, i spała, reszta mówiła cicho i trwożnie się oglądały na łóżko i na Jankę. Pociąg biegł z hukiem, aż cały domek dygotał i fajansowe talerze w serwantce brzęczały, i rozlewała się po izbie senna i tragiczna cisza; wiatr szamotał się z lasem i prześwistywał w kominie i ucichł, ale zaraz rozległo się jakieś żałosne beczenie kozłów w lesie, aż baby żegnały się pobożnie i przysuwały się coraz bliżej do siebie. Janka poruszyła się, spojrzała na izbę: kobiety milczały. Rochowa patrzyła na nią z jakiejś zawrotnej głębokości, a ten żółtawy blask spojrzenia przeniknął ją zimnem i trwogą: usunęła swoją rękę, bo chora dotykała jej końcem palców, nie mogąc ująć, jakby czepiała się z trwogą w tej przedostatniej chwili. Wstrząsnęła się i powstała do wyjścia.

— Pa... pa... pa... nienko... pa... — rzężała Rochowa, napróżno usiłując ją zatrzymać, i jakaś straszliwa rozpacz i ból wykrzywiły jej twarz suchą. Janka nie spojrzała już na nią więcej, nie chciała widzieć nic i, chociaż czuła tę niewypowiedzianą i głęboką prośbę w twarzy umierającej, wyszła.

Nie, nie mogła tam pozostać dłużej, bo czuła, że i w niej wszystko kona, że umiera. Dopiero w tej chwili poczuła całą zgrozę śmierci. Biegła tak prędko do domu, o ile jej tylko siły pozwoliły.

Noc całą widziała tę trupią twarz, pływającą w cieniach.

Rano Roch sprzątał w mieszkaniu, jak zwykle, tylko że dzisiaj co chwila stawał przy robocie, wytrzeszczał oczy, żegnał się i zaczynał ciągle nieskończony pacierz.

— Cóż, żonie nielepiej? — zapytała Janka po długiem wahaniu, bo odgadła po jego zachowaniu, że już wszystko skończone, ale chciała zaprzeczenia, pragnęła słyszeć, że Rochowa żyje, bo ją nurtować począł jakiś żal, że nie została tam, że nie usłuchała prośby chorej, dręczył ją wyrzut sumienia.

— Lepiej?... e... nielepiej panienko, bo akuratnie drugie kury piały, kiej się jej zmarło.

— Umarła!...

— Umarła! Juści, panienko, na śmierć umarła. Ino panienka odeszła, przyjechałem z dobrodziejem, włożył na nią święte oleje i zaraz umarła. Już ją tam kobiety oporządziły do pochowku.

— Umarła — mówił takim głosem, jakby się dziwił dźwiękom i nie rozumiał ich znaczenia, i nie mógł jeszcze uwierzyć, aby ta, z którą przeżył trzydzieści lat, mogła umrzeć. — Pojutrze pochowek! tak, panienko! Dobra kobieta była. Czasem to mnie juści i sprała, ale winowaty byłem, a jaka robotna! a jak harowała!

— Umarła!

Obejrzał się po pokoju.

— Juści, że umarła — dopowiedział.

— Dajcie pokój robocie, idźcie zająć się pogrzebem. Zaraz powiem ojcu, to napisze, żeby wam dyrekcja przysłała na pochowanie.

Pomyślał chwilę i, pochylając się do nóg, rzekł pokornym głosem:

— A to, panienko, chciałem podziękować, że to panienka taka pani, a nie wagowała się przyjść do nieboszki, a niechta Pan Jezus da najlepsze i ta Matka Częstochowska.

Widziała go, jak z czapką w ręku, którą ocierał sobie oczy, szedł ku domowi plantem.

— Umarła! — powtórzyła cicho Janka i wstrząsnęła się w długim, przejmującym dreszczu.

— Tak samo o mnie powiedzą: Umarła! — myślała.

Przez parę dni nie mogła się otrząsnąć z przygnębiającego wrażenia, jakie śmierć Rochowej na niej wywarła. Zaleska heljotropowym listem zaproponowała jazdę na pogrzeb.

— „Czas taki piękny, przejedziemy się, odetchniem świeżem powietrzem i spełnimy dobry uczynek" — pisała. Przyszła wpół godziny po liście i z trudem namówiła Jankę. Świerkoski dawał konie i razem ze Stasiem mieli towarzyszyć.

Zaraz po południu pojechali, dogonili orszak i jechali wolno za wszystkimi. Orszak rozciągnął się długim pasem na wąskiej drożynce leśnej. Na przodzie niesiono czarny krzyż i wielką chorągiew, trzepocącą się niby czarny, olbrzymi ptak, przybity jednem skrzydłem do drzewca, z wymalowanym biało kościotrupem z kosą w ręku, potem jechał wóz, w jednego zaprzężony konia, proste deski, w których leżała biała, czysto oheblowana trumna, z czarnym krzyżem w pośrodku wieka. Roch szedł przy niej ze spuszczoną na piersi głową, trzymał się ręką wieka, czasem patrzył przed siebie, w tę szarość perłową, jaka spływała z przestrzeni na drogę, wijącą się jakby głębokim wykopem wskroś lasu, na śmierć na chorągwi, co zdawała mu się wychylać i zagarniać kosą brzozy, stojące z obu stron drogi, aż żółte liście leciały, niby łzy lasu, na trumnę, na odkryte, konopiaste włosy chłopów, na żółte i czerwone chusty kobiet, i opadała mu głowa bezwładnie, i szedł, jak martwy, wielką żałością przytłoczony, a za nim ciągnęły się sznury gromnic, kwitnących złotemi płomieniami, rozpylających zapach przypalonego żarem lipcowym pszeniczyska, gdy na nie deszcz krótki upadnie, i płynął głęboki, pełny uroczystości i namaszczenia śpiew:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całem sercem szczerze ufa Jemu.

Pieśń tak mocno brzmiała w ciszy powietrza, aż brzozy drżały, a stare dęby, co poskręcane dziwacznie, narosłe guzami gałęzie wznosiły, niby zaciśnięte pięści, wgórę, szumiały rudemi liśćmi; długie, zielone jemioły trzęsły się, a zżółkłe trawy, jałowce, kiście poskręcanych paproci, drobne leszczyny szemrały smutnie, i las cały, okryty bladawem złotem i purpurą jesieni, słuchał tej pieśni, zadumywał się, pił ją wszystkiemi porami i, jakby przepełniony żałością, co owiewała idących, zaczął wtórować swojemi głosami, rozbrzmiewać cichym pogwarem i hukaniami; kołysał się wolno, niby łan zbóż olbrzymich, przystawał na chwilę wyprostowany, i wtedy leciał głęboki tajemniczy pokrzyk, aż dzięcioły kuć przestawały, wrony zrywały się z wrzaskiem i krążyły nad lasem przestraszone, a pieśń przycichała na mgnienie, i wtedy rozległ się ostry stuk kół wozu o kamienie, i świst bata nad koniem, i ciężkie westchnienia modlitwy orszaku.

Jankę przepajał smutek spokojny, w milczeniu przypatrywała się twarzom idących i głowom — twarde były, kanciaste, a świeciły jakąś kamienną rezygnacją, podobne w tonie do tej szarej ziemi, po której szli i jak ona senni i spokojni, podobne były do tych dębów rosochatych ich mocne postacie, bo miały tę samą siłę i spokój roślinny. Błękitno-siwe ich oczy miały barwy kałuż wody, porozlewanej na drodze, i tego nieba, co jak nieobjętą szklaną taflą wisiało nad nimi. Janka myślała, że gdyby tak zaskrzepli w tym lesie, toby byli podobni grabom, dębom, że rozpłynęliby się na łonie tej pramatki swojej i zginęli bez śladu, tylko na wiosnę przybyłoby młodych pędów, i te pnie ludzkie zazieleniłyby się, i żyły dłużej, silniej i wolniej.

— Wszystko zpowrotem do ziemi! — myślała, patrząc na trumnę — tak, wszystko — i przypatrywała się ze szczególną uwagą Świerkoskiemu, który siedział na przedniem siedzeniu i, skulony, złamany we dwoje, z dłońmi w rękawach, patrzał ponuro; usta mu drżały nerwowo, co chwila wciągał nozdrzami powietrze, spoglądał jakiemś ostrem, nienawistnem spojrzeniem na trumnę i zginał się jeszcze bardziej, i słuchał z zabobonną trwogą pieśni, co się rozwłóczyła po lesie pasmem jakby białego fioletu, przesyconego perłami łez, próśb, ufności — tych robaków ludzkich, którzy kładli w te rytmy odwieczne proste swoje dusze.

— Amis! Amis! — zawołał cicho na psa, biegnącego obok bryczki. Pies wskoczył mu na kolana, zsunął się do nóg i zwinięty w kłębek leżał cicho. Przyciskał jego łeb do nóg, bo tak mu się pusto i smutno zrobiło w duszy, jakby umierał. Dźwięk jego głosu rozbił milczenie, jakie panowało pomiędzy nimi. Zaleska nachyliła się do Janki.

— Wie pani! tam, w lesie, zdaleka tylko, niechby szła orkiestra i grała szopenowskiego marsza, tylko cicho, a przejmująco. Co za tło! śpiew chłopów, trumna, chorągiew, las

uschnięty, świece zapalone — szeptała cicho i sinawa od pudru twarz zarumieniła się, oczy strzeliły artystyczną ekstazą. — Byłby cudowny efekt, cudowny! prawda?

— Tak, operowy efekt! — odpowiedziała gniewnie Janka, bo ją rozdrażniło zapytanie; nie chciała mówić teraz, kiedy cisza i milczenie były dobroczynne, ten głos zabrzmiał przykrym dysonansem w tej harmonji.

— Operowy! tak. Trumnę zarzucić kwiatami, konia ubrać w czarną kapę i pióropusz, czarne płaszcze dać chłopom, przybledzić im twarze, cudownie, cudownie! — szeptała upojona i zaczęła pocichu nucić drugą część marsza żałobnego.

Janka odwróciła się od niej niechętnie, patrzyła na dziada, co ścieżynką, wijącą się nad drogą pomiędzy drzewami, utykał na kulach, śpiewał tylko ostatnie słowa i biegł tak szybko, aż wielkie torby, wiszące mu na plecach, obijały się o skurczoną na kuli nogę i o kije, któremi się podpierał, i dymiły obłokiem wstrząsanej mąki.

Przed karczmą, stojącą pomiędzy wsią a lasem, na rozdrożu, stało kilkadziesiąt wozów, naładowanych klocami drzewa, i kupa chłopów, którzy poodkrywali głowy i tępemi spojrzeniami spoglądali na żałobny orszak, a w progu karczmy, przy stoliku, siedział jakiś chłopak i pisał. Stary Grzesikiewicz z bryczki mu dyktował, a zobaczywszy Jankę, uśmiechnął się przyjaźnie i czapką przesłał jej ukłon, a za nim chłopi zaczęli się pochylać z uniżonością i szeptać między sobą.

Zmieszała się nieco temi objawami szacunku, Świerkoski rzucił na nią jakieś groźno-drwiące spojrzenie i pochylił głowę.

Przejeżdżali przez długą wieś o niskich ścianach bielonych, na których rozpłaszczały się słomiane, pokryte zielonym mchem, dachy. Ludzie stawali przed domami, żegnali się, psy wyły pod przyzbami i leciały za wozem, a dzieci w szarych koszulach, bose, w czerwonych rogatywkach na głowach, obsiadały płoty i przestraszonemi oczyma przeprowadzały orszak.

Kościół stał na końcu wsi, w wieńcu ogromnych dębów, i tuż za nim, na zboczu wzgórza piaszczystego, rozkładał się cmentarz, prosty chłopski cmentarz, okopany rowem, zarosły brzozami, złotakiem i akacjami.

Z boku drewnianej bramy, którą trzymały dwa murowane słupy, stał mały powozik, zaprzężony w przepyszne, kare konie.

Chłopi przed bramą trumnę wzięli na ramiona i ponieśli, a ksiądz, który szedł już z nimi od kościoła, zaintonował pieśń łacińską.

— Witowski! — szepnęła Zaleska, spostrzegłszy siedzącego mężczyznę w powozie. Janka spojrzała ciekawie, Witowski odwrócił twarz i spojrzenia ich zbiegły się na chwilę i utonęły w sobie. Fala krwi płomieniem zalała jej serce; przeszła szybciej do grobu, nad którym już postawiono trumnę i śpiewano.

Ceremonja się skończyła prędko, spuścili trumnę na sznurach do dołu i na białe wieko zaczęli zsypywać ziemię.

Jance zrobiło się zimno, strasznie zimno. Patrzyła przerażonemi oczyma w ten dół zasypywany. Roch, z zaciętemi ustami, zmarszczony, sypał ziemię z gorliwością, baby śpiewały jakąś rozpaczliwą, lamentującą pieśń, co gryzła wprost serce; Stasio odwrócił się i obcierał ukradkiem łzy, a Świerkoski, oparty o jakiś krzyż, przejmującym wzrokiem patrzył na świeży grób i drżał cały ze wzruszenia.

Wiatr szumiał po cmentarzu i zamiatał na świeżo oklepane, żółcące się piaskiem mogiły, poczerniałe liście; Amis skomlał krótko i boleśnie, a stado wron na dębach przy kościele wieszało się z wrzaskiem i łączyły swoje głosy z jękliwem zawodzeniem kawek, kołujących nad szpiczastym, czerwonym dachem dzwonnicy, a nad tem wszystkiem wyciągał czarne ramiona krzyż, stojący w środku cmentarza, z którego patrzyły miłosiernie przebaczające oczy Chrystusa.

Na krańcach, ponad lasami, co otaczały wieś kołem zamkniętem, na seledynowych przestrzeniach, zaczęły wykwitać różowe blaski zachodu i rozpurpurzać całą jedną stronę nieba. Mrok już się słaniał zaledwie dostrzegalny po gąszczach, co stanęły, niby w miedzianych blaskach ognisk, w łunach zachodu.

Janka opuściła towarzystwo i poszła w głąb cmentarza, ku grobowcowi w formie piramidy Cestjusza, co się bielił przez wysmukłe, niby cyprysy, drzewa jałowców. Drzwi do grobowca były uchylone, stał w nich lokaj czarno ubrany. Nade drzwiami złocił się napis:

„Grób rodziny Witowskich z Witowa", a z boku drzwi, na marmurowej tablicy, świecił szereg imion i dat śmierci, cala litanja istnień dawno rozproszonych we wszechświecie.

Janka uklękła i zaczęła się modlić, bo imię „Anna", wyryte na samym końcu tablicy, przypomniało jej matkę, którą straciła w dzieciństwie i pamiętała bardzo słabo, niby jakiś dźwięk, słyszany w przelocie, jakby przez ścianę, i którego w zupełności nigdy sobie przypomnieć nie mogła.

Z kaplicy wyszła młoda kobieta w czarnym stroju, lokaj ujął ją pod rękę i ostrożnie sprowadzał po schodkach. Janka podniosła się i ze zdumieniem patrzyła na nieznajomą, bo tak pięknej, tak dziwnie pięknej twarzy nie widziała przedtem. Była to olśniewająca twarz blondynki najjaśniejszej o najczystszym tonie włosów, jakby ze lnu, owal przecudny, dziewczęcy prawie, nos rzymski i usta wprost arcydzieło, jako rysunek, oczy szafirowe ogromne i promienne, o długich i wypukłych powiekach, oprawione w zupełnie czarne, długie rzęsy, świeciły jakoś ostro. Nieznajoma szła wolno, z automatycznością stawiając kroki, i utkwiła oczy w Jance z uporem krótkowidzów. Cała jej twarz była tak jasna, uduchowiona i ześrodkowana w oczach, jak postacie Rossettiego.

Jankę porwało to spojrzenie. Nieznajoma przeszła, a ona wciąż patrzyła w te oczy, które jej zapadły w pamięć, i aż się cofała, jakby przed głębią.

— To Witowska, siostra tego, co siedzi w powozie — informowała Zaleska, która jej szukała, bo mieli zaraz odjeżdżać. — Prawda, jaka piękna, a tak dziwnie patrzy, tak dziwnie, że uklękłabym przed nią, nie wiem sama dlaczego.

W bramie cmentarza spotkały Witowskiego, obrzucił Jankę wzrokiem i podprowadził siostrę do powozu; poczuła na swojej twarzy jakby lodowaty cień.

— Kobiety tak piękne są niepotrzebne na świecie — powiedział Świerkoski, gdy już siadali na bryczce.

Chłopi obstąpili ich, i Roch, a za nim Walek, stary gospodarz, zaczęli dziękować za honor, jaki zrobili, biorąc udział w pogrzebie.

— Panienko! panienko dobra, że i rodzona lepszaby nie była! żeby Jagna mogła, toby pewnie z kontentnością sama podziękowała za dobroć i za honor — mówił Roch z rozrzewnieniem.

— Prawda, jak i to prawda, że tam jej duszyczka trzepie się z ukontentowania, kiej te ptaszki! — dokończył Walek poważnie, wskazując kawki, kołujące nad dzwonnicą.

— Zostańcie z Bogiem — żegnała ich wzruszona Janka.

— Panu Bogu oddajem i dziękujem — rozległ się chór głosów, i wszystkie głowy się pochyliły.

Odjechali prędko, bo wieczór nadchodził.

Gromada ludzi ruszyła od cmentarza, Roch szedł naprzód z Walkiem, drapał się kłopotliwie po głowie, gdy przystanęli przed karczmą, ale ozwał się dość energicznie:

— Ludzie krześcjańskie, gospodarze i te wszystkie, co z Bukowca, wstąpcie ano na rozgrzywkę.

— Dobrem sercem prosimy, co Bóg dał, to se zjemy i wypijemy — dodał Walek i ruszył pierwszy do karczmy.

Roch przyniósł z wozu węzełek z chlebem i serkami. W karczmie znalazł się przetak jeden i drugi, a stara Krakalina, która na wszystkich pogrzebach, weselach i chrzcinach prym trzymała, bo umiała zaśpiewać piosnkę nabożną, albo i wesołą, i wiedziała, co robić przy każdej uroczystości, jak okowitę przygotować ze smalcem, zajęła się krajaniem chleba i serów, a poczęści i ugaszczaniem.

Obsiedli długi stół na krzyżakach, i Walek, z butelką w garści, zaczął przepijać do bratów.

— Ludzie krześcjańskie, Polaki kochane, na wypominek ś. p. Jagny — zaczął uroczyście, odlewając wódki w kąt.

— A światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków amen! — odpowiedział poważny chór głosów i wszystkie głowy się pochyliły, i kilkadziesiąt pięści grzmotnęło się w piersi, i kilkadziesiąt głębokich, ciężkich westchnień uderzyło w Rocha, co siedział ze spuszczoną głową i zamedytował się o swojej doli sierocej, podniósł głowę, przetarł kułakiem oczy i ryknął płaczem:

— Nima już Jagny, nima! O biedny ja sierota, biedny! — Oparł głowę o stół i płakał.

Głosy zaczęły się podnosić, bo butelka krążyła wciąż wkółko; zrzucali z siebie żałość, przygnębienie, smutek i zaczęli się wyżalać jedni przed drugimi i przepijać do siebie, przegryzając łzy, pocałunki i wspominania chlebem i serem.

Przy wielkim kominie, na którym, staroświeckim obyczajem, paliły się szczapy drzewa i rzucały krwawe blaski na ciemną izbę, siedział dziad i głosem drżącym i płaczliwym odmawiał nieskończone pacierze za umarłą.

Za drewnianemi kratami stojący szynkwas rozjaśnił się nagle zapaloną lampką, w świetle wyjrzały z cieniów wielkie beczki z wódką, rzędy flaszeczek „słodkiej" na półkach i zwoje kiełbas, wiszących na drążku.

— Pijcie, braty, pijcie! — zapraszał wciąż Walek i do wszystkich razem, i do każdego zosobna przepijał, łamał chleb, maczał go w soli rozsypanej na stole, zjadał i znowu zapraszał. Krakalina zachęcała kobiety, co się wstydliwie odwracały, przysłaniały zapaskami i piły okowitę. Gwar coraz żywszy przepełniał karczmę.

— Napij się, Rochu! Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął, co poradzić, bracie, co? Miałeś ty kobietę, mieli ją ludzie, miał ją świat, a teraz ma ją święta ziemia, bo i dla niej trza.

Napij się, Rochu, bo już tak być musi, kiej jest.

— Pij, Rochu! żałość to kiej mróz, ino gorącością wypędzisz — dogadywała Krakalina.

— Gorącością! juści, że ino gorącością — szepnął Roch i wypił, przegryzł chlebem i wyciągnął rękę po drugi kieliszek. — Gorącością, juści, że ino gorącością.

— Co poradzić! ani pieniędzmi, ani grontem, ani płakaniem się nie wyprosisz od śmierci, oho! Kostucha przychodzi kiej złodziej, i kiej złodziej z obory bydlaka, tak ci ona pocichu grzeszną duszyczkę z człowieka wyprowadzi! Nalejcie no, Walek.

— Wyprowadzi! juści, że wyprowadzi — powtarzał płaczliwie Roch i pił znowu; przypomniał sobie, że piętnaście lat temu ukradli im krowę, której zapomnieć i odżałować nie mogli. — Wyprowadził ścierwa! I zamek był, i pies zły był, i myśma z nieboszczką w chałupie były, a ścierwa wyprowadził — żalił się na starą krzywdę. — Trzysta złotych, jak nic, była warta. A cośma się naszukali, nieboszczka i na mszę dawała, i do policji chodziła, i kiej kamień we wodę. Jagna to ta dokumentniej wie... — Obejrzał się, jakby u żony szukając potwierdzenia, ale Jagny nie było, i taka go żałość przejęła, że z całą pasją bólu, co go gryzł, jak pies, zaczął rwać sobie włosy i tłuc głową o ścianę, i krzyczeć o swojem sieroctwie, o krowie, o trzystu złotych.

Odciągał go Walek, otoczyli go kołem i pocieszali, jak kto mógł, brali go w ramiona, całowali.

— Nie płacz, nie pomstuj! nie skarż się, sieroto Rochu! — pocieszała Krakalina — już ja ci żonkę wyswatam taką, co i krowę mieć będzie, i szmat, i grontu, abo spłatę gospodarską, że się pocieszysz, sieroto. — Napiła się do niego wódki i poszła z jednym kieliszkiem do dziada, co coraz głośniej i żałośliwiej mówił pacierze.

— Pijcie i wy, dziaduniu, a mówcie za duszę ś. p. Jagny i wszystkie duszyczki w czyszczu zostające.

— Bóg zapłać! Pani gospodyni, jeszcze kusztyczek, bom zziąbł kiej pies i pacierza w zębach utrzymać nie mogę.

— Naści, robaku, pij!

— Rochu, mówię ci, nie płacz, nie narzekaj, bo grzech — zaczął wolno Walek, nalewając kieliszek pod światło bijące z komina. — Robotna była kobieta, z jednego zrobiła dwa, abo pieńć, a że cię ta kiej nie kiej sprała kijaszkiem, abo i czem miętkiem, a że ta pomstowała o bele co, prawda, ale to była ino kobieta, człowieku krześcijański! Napij się, robaku, i odpuść wszystkie krzywdy, bo już na Boskim sądzie ona, z janiołami teraz ona, we weselu teraz ona, i siedzi se, jak ta największa dziedziczka, ino na złocie, ino na srybrze, a niech jej Pan Jezus da wieczne odpocznienie. Napij się, robaku.

— Krześcijański pogrzeb miała, gospodyni na włóce nie miałaby lepszego, dobryście chłop, Rochu.

— Nie miałaby lepszego! juści, że nie miałaby lepszego — powtarzał sennie Roch, oparł się o stół, bo wódka taką gorącością biła mu do głowy, że karczma zaczynała się z nim chwiać, i bał się, że skoro się puści stołu, to wpadnie w komin.

— Niech będzie pochwalony! — powiedział stary Grzesikiewicz, wychodząc z alkierza, gdzie kończył rachunki z pisarzem leśnym; karczma należała do niego, i zaraz za nią cięto w lesie poręby.

— Na wieki! — odpowiedzieli chórem i kłaniali mu się do nóg, a kobiety całowały go w zatłuszczony rękaw.

— Co to, pochowałeś żonę, Rochu?

— Pochowałem, jaśnie Pietrze, dziedzicu — szepnął Roch i chciał mu się w pas ukłonić, ale szybko uchwycił się stołu, żeby nie runąć na ziemię.

— Na każdego mizeracja przyjdzie, abo dopust Boży — rzekł uroczyście Walek.

— Prawda! Pijta gorzałkę, a ulży wam. Matka! garniec okowity dla gospodarzy — krzyknął do karczmarki i oglądał się za stołkiem. Karczmarz przyniósł mu drewniany fotel z alkierza, wysłany pierzyną, i przysunął go do komina. Grzesikiewicz prawie się w nim położył, nogi wsparł o łupkę drzewa, leżącą przy ognisku, i tak się rozgrzewał. Chłopi stanęli kupą i nieśmiało pili w jego ręce; nie odmawiał, jego czerwona twarz apoplektyka po kilku kieliszkach zrobiła się sina, oczy zaszły mu mgłą, ale się rozochocił ogromnie.

— No mówta, a co to gęby wam pozamarzały? — zawołał, bo milkli onieśmieleni jego obecnością i odsuwali się nieco w ciemny kąt karczmy.

— Jaśnie Pietrze, dziedzicu, naród się waguje trochę, bo jakże to! jaśnie Pietr, dziedzic, i my proste chłopy, to cosik nie pasuje — szeptał chytrze Walek.

— Głupiś. Pijcie do mnie, Krakalina. Albom to nie wasz, czy co, abo mi to ty, Franek — zwrócił się do chłopa, stojącego trochę w cieniu — tydzień temu nie zapłacił piętnaście rubli kary za dąbka, he! Widzisz go! jucha chłop, kupił ściółki, a uciął sobie dąbka.

— Na rozworę, ino na rozworę, jaśnie Pietrze, dziedzicu — tłumaczył się dosyć markotno Franek i splunął z żałości za piętnastu rublami.

— Na rozworę! a obrobiłeś go jucho na przyciesie, co? Już się nie tłumacz. Mówię wam ciągle: zboża brakuje, przyjdź, jucho, dam, pożyczę, ale odlasu wara! Potrzeba ci drzewa, zapłać! A ukradniesz, to do sądu i ostatnią krowę wezmę, kożuch ci sprzedam, a swojego nie daruję. Tniesz mi las, to jakbyś mnie po łbie siekierą ciął. Matka! pół garnca gorzałki dla chłopów! jak Boga tego kocham, dla sąsiadów!

Chłopi wypili, ale zmroziła ich wesołość ta przemowa, zaczęli się po jednemu wynosić, bo każdy miał coś na sumieniu i niejeden już siedział w kozie przez niego i płacił kary za las, przy którym wszyscy mieszkali, a Grzesikiewicz nikomu nie przebaczał. Las był jego czułą struną i chociaż i poił ich nieraz, i ugaszczał chętnie, obawiali się go i nienawidzili, i pocichu odgrażali się, że mu połamią kości; drwił z tego, bo zawsze jeździł z rewolwerem i parobkiem, który sam jeden mógł poturbować z dziesięciu.

— Co, wszyscy poszli? Juchy chłopy — szeptał sennie, bo go ogień rozprażał, wódka biła mu do głowy. — Juchy! żebym za łeb nie trzymał, to miałbym wróbla... albo patyk złamany... Pochowałeś żonę, Rochu? — zapytał Rocha, drzemiącego pod ścianą.

— Pochowałem, jaśnie Pietrze, dziedzicu, juści, że pochowałem.

— Pij gorzałkę, a ulży ci. Matka! nalej kieliszki.

— Pochowałem! — ciągnął dalej Roch sennym, nieprzytomnym głosem — jakom ino na wyrobku, ale gospodarski pochowek sprawiłem; i ksiądz był, i chorągiew była, i bractwo ze świecami było, i państwo ze stacji było; i wódka, i chleb, i ser, i wszyćko, wszyćko! — a jakem biedny sierota! Niema cię, Jagna, niema! — zaczął płakać cicho i kiwał się na wszystkie strony.

— Panienka była?

— Była, jaśnie Pietrze, dziedzicu, była. Jak to słońce — wskazał na ogień w kominie — tak i ona dobra jest dusza, u nieboszczki przede śmiercią była, doktora sprowadziła, wina słodziuśkiego sama przyniesła.

— Pij gorzałkę, pij, chłopaku, ulży ci — wołał ukontentowany Grzesikiewicz.

Roch wypił, chociaż już był zupełnie nieprzytomny. Kołysał się na środku karczmy i wytrzeszczonemi, zamglonemi oczyma to patrzył w ogień, to na dziada, co się wyciągnął pod ścianą i z głową na torbach spał. Chciał mówić jeszcze o Jance, ale mu znowu na język wrócił pogrzeb.

— I jakom tylko na wyrobku, ale gospodarski pochowek sprawiłem, jak się patrzy. Trumna to była z całe pół łokcia za duża. Prawdę rzekłem, jaśnie Pietrze, dziedzicu, prawdę, całe pół łokcia za duża, ale niech tam ta nieboszczka kochana ma domowinę galantą, po gospodarsku. Bidowała całe życie, to niechta teraz ma wygodę swoją i kontentność swoją, niech tam...

— Pochowałeś żonę, Rochu? — pytał wkółko Grzesikiewicz i drzemał dalej.

— Pochowałem, jaśnie Pietrze. „Jakoś rzekł, Panie! Ty obrona moja!" — zaśpiewał nagle jękliwie, bo mu się przywidziało, że idzie za trumną, i tak jak stał z czapką w garści i wyciągniętą ręką, jakby podtrzymywał trumnę, wyszedł z karczmy i szedł ku stacji tą samą dróżką, co kilka godzin temu.

— Pochowałeś żonę, Rochu? Matka, nalej gorzałki sąsiadom — zawołał przez sen Grzesikiewicz, ale cisza orzeźwiła go nieco, obejrzał się po izbie. — Walek! do domu.

Parobek z pomocą karczmarza wciągnął go na bryczkę. Grzesikiewicz, pomimo że zupełnie był pijany, siedział sztywno na siedzeniu i tylko na wybojach kiwał się; jechali tą samą drogą, co i Roch szedł, bo słychać go było, jak rozpłakanym, sennym głosem śpiewał:

„O ostry kamień nie ugodzisz nogą"

Grzesikiewicz przejechał obok niego, nie widząc nic, bo spał.

Roch zataczał się, uderzał o przydrożne drzewa, a szedł coraz prędzej, bo w jego sennym, bezprzytomnym mózgu tliła się myśl, że musi wracać na służbę. Czapkę wciąż trzymał w ręku, przystawał, przewracał się o kamienie i wyboje, podnosił i szedł.

Blady księżyc świecił nad lasem i zalewał głęboki wyręb, jaki tworzyła droga, lśnił zielonawem światłem na żółtych liściach brzóz i rozlewał po lesie senność wielką i ciszę, bo ani wiatr, ani ptactwo, ani żaden szelest nie mącił uroczystego milczenia, tylko Roch mruczał:

— Prawda, we weselu teraz ona, i jako największa dziedziczka ino na złocie, ino na srybrze se siedzi i z janiołami! — powtarzał zdumionym głosem Walkową przemową. — Jaśnie Pietrze, dziedzicu, Bóg zapłać, Bóg zapłać!... — schylał się, jakby chciał kogo objąć za nogi. — Gospodarski pochowek! pół łokcia trumna za duża... dwadzieścia cztery i złotych dwa, i groszy dwadzieścia, i cztery chleby, i sześć serków, i trzy garnce gorzałki! Gospodarski pochowek — gadał nieustannie, jakoś instynktownie trafił do stacji i zaraz na korytarzu dworca przewrócił się pod ścianą, i zasnął.

X

— Panie Świerkoski, poślij pan przez swojego robotnika list do Osieckiej, bo piszą, że pilny, a mój Roch po wczorajszym pogrzebie jeszcze nieprzytomny.

— Sam go zabiorą, bo tam z panem Babińskim idziemy wieczorem. Panie Stanisławie, prędko pan będzie gotów?

— O szóstej schodzę ze służby, to jest za godzinę. Wstąp pan do mnie do mieszkania.

Świerkoski poszedł do domu, rzucił się na łóżko w tym swoim pustym pokoju i zawołał:

— Franek!

Wbiegł chłopak, który był jego lokajem, kucharzem, praczką i stangretem.

— Herbaty! zdejm mi buty i naszykuj ubranie na wizytę.

— Trzeba dzisiaj stanowczo pomyśleć: Zosia czy Orłowska? — myślał, leżąc. — Osiecka mówiła, że trzy tysiące w dzień ślubu. Trzy tysiące! ogromnie mało. Policzmy. — Wyjął notes i ołówek i zaczął stawiać różne cyfry, obliczać. — Ogromnie mało — splunął pogardliwie. — Nie, nic z Zosi, niema co myśleć... nędza. Pomyśl, Hipciu! Podoba ci się, co? Hi! hi! hi! — śmiał się cicho i urągliwie, że zadał sobie takie głupie pytanie. Nie cierpiał kobiet, bo dla niego kobieta była synonimem rozrzutności i słabości. — A Orłowska? — snuł dalej. — Bogata, podobno trzydzieści tysięcy! Śliczna cyfra! — Pisał kilkakrotnie tę cyfrę, lubował się szeregami zer, kreślił je z miłością. — Idjota, który niedługo zdechnie, albo zwarjuje! — pomyślał pod adresem Orłowskiego. — Cham przeszkodą — szepnął nienawistnie i splunął, jakby w twarz Grzesikiewiczowi. — Będziesz, Hipciu, całe życie parobkiem, bo chamy ci zabiorą tysiące! — Zerwał się z łóżka, usiadł przy oknie, pił herbatę i rozmyślał długo.

— Od dzisiaj zacznę się starać o Orłowską! Zacznę robić czułe miny! Hi! hi! hi!.. — Przejrzał się w lusterku, pogładził włosy i śmiał się długo i głośno, aż Amis zaczął skakać mu do piersi i szczekać; kopnął go, pies zawył z bólu i skrył się pod łóżko. Świerkoski się uspokoił i przebrał się bardzo prędko.

— Kamienie dobrze idą, zarobię dosyć. Wygram choćby jedną główną, ożenię się z Orłowską, zsumujmy razem. — Policzył i zapatrzył się w cyfry. Zatarł radośnie ręce. — Piękna cyfra. Hipciu, postaw na niej. Tak, ona może wygrać. — Zapisał ją sobie w notesie i poszedł do Stasia, do małego domku przy stacji.

— No, chodź pan, a to niby panna, tak się pan stroisz.

— Nie panna, ale do panny. Jeszcze zdążymy. Ubierać się powinno wolno i z namysłem.

Staś z całą systematyczną powolnością rozebrał się z watowanego szlafroka; mył, wycierał, zlewał perfumami i oglądał każdą część garderoby po kilka razy, zanim ją włożył na siebie. Ustawił lustra tak, aby się mógł w nich obejrzeć ze wszystkich stron, przymierzał z tuzin krawatów, bardzo starannie ułożonych w pudełkach. Próbował kołnierzyków różnych fasonów, później cały rząd butów, aż wreszcie skończył się ubierać.

— Herbatki z araczkiem napijecie się, prawda? — zaproponował, wycierając sobie brwi i włosy perfumami.

— Spóźnimy się i zajdziemy na dziesiątą.

— Jeszcze czas, wypijemy herbatki. Mama mówi, żeby zawsze przed wyjściem na powietrze zimne pić gorącą herbatę, bo to ociepla żołądek, zabezpiecza od przeziębień. Wiesz pan, możeby wziąć żakiet zamiast surduta, co? — zapytał, przeglądając się w lustrach.

— Jak Boga kocham, nie wiedziałem, że w tem jest jaka różnica.

— Ha! ha! nie wiedziałeś pan, to zabawne. Chyba pójdę w surducie, bo to wieczorna wizyta; tak, surdut dystyngowaniej wygląda, ale jakiego koloru rękawiczki?

Wyciągnął całe pudełko z rękawiczkami, przewracał, oglądał i nie mógł się zdecydować.

— Amis! chodźmy sami, bo ja muszę wcześnie wrócić, żeby się wyspać.

— Zaraz będę. Jedziesz pan gdzie rano? — Wciągał jasno-perłowe rękawiczki.

— Tak, jadę do Krosnowy, namawiać chłopów do wożenia kamieni.

— Dobrze idzie interesik, co? — zmienił perłowe na żółte.

— I... niech psy biorą takie interesy a nie ludzie.

— Orłowski mówił, że to świetny interes.

— Idjota! co on tam wie? Widzi zarobki, a nie widzi strat.

— Powiadał, że gdyby nie odradzała mu córka, to wziąłby tę dostawę sam.

— Ugryzłby! a jakże! — syknął ze złością — zresztą co może wiedzieć taka gęś!..

— Panna Janina gęś! Panie Świerkoski, to jest wcale niestosowne określenie panny Janiny — mówił Staś poważnie i zmienił rękawiczki żółte na czerwone. — Bardzo nawet niewłaściwe, bo takiej rozumnej i pięknej kobiety nie można nazywać gęsią...

Świerkoski przekrzywił twarz i drwiąco patrzył na Stasia.

— Rozumne, dobre, piękne, anioły, ideały i tak dalej! Amis! ty, piesku, jesteś lepszym i rozumniejszym od wszystkich panien na świecie! — szeptał, głaszcząc psa.

Staś oburzył się, ale dobrawszy rękawiczki, pozamykał szafy, kufry, walizy, pozasuwał szuflady, pochował i poukładał wszystko na swojem miejscu, i dopiero wyszli.

— Grzegorzu! — mówił do dróżnika przejazdowego, stojącego przed domem. — Powiedzcie żonie, aby naszykowała ciepłej wody, jak powrócę.

— Co panu po ciepłej wodzie?

— Wycieram się zawsze przed spaniem wodą i kamforą, albo lekki masaż sobie robię, to mi bardzo służy.

— A może pan polecisz wygrzać sobie łóżko i pantofle.

— No teraz ja powiem: chodźmy! — zawołał energicznie Stasio, który zwykle długo się wahał, namyślał, szykował, ale gdy już coś postanowił, to szedł naprzód niepowstrzymanie.

Staś milczał, podkręcał wąsów i układał w myśli jutrzejszy list do mamy.

— Podoba się panu panna Janina? — zapytał Świerkoski.

— Podoba mi się bardzo, ale... widzi pan, nie rozumiem, jak mogła panna z naszej sfery wstąpić do teatru. Grzesikiewicz miał się z nią żenić, stary ma pieniądze, nic nie rozumiem.

— Ma bzika, przecież córka swojego ojca.

— Wuj Felcio to samo mówił, chociaż i ci Grzesikiewiczowie to zupełne prostactwo.

— To są chamy, najczystsze chamy, dorobkiewicze, hołota, ot, co oni są, panie Babiński.

W milczeniu już doszli do Zacisza, bo Stasia zraził ostry, nienawistny ton Świerkoskiego.

W przedpokoju Stasio się rozebrał, obciągnął, przejrzał w lusterku, przyczesał włosów, zapiął rękawiczki, ruszył się kilka razy, próbując, czy grzbiet dobrze się wygina w ukłonach, i dopiero weszli do stołowego, bo tam się świeciło.

Osiecka, Zosia i jakaś pani siedziały przy herbacie.

Świerkoski przywitał się i usiadł, a Staś kłaniał się, nie śmiejąc postąpić kroku, aż go Osiecka przyprowadziła przed nieznajomą i zarekomendowała:

— Pan Babiński, moja siostrzenica, Tola!

— Zosiu! nalej herbaty panom. Mieliście panowie śliczny pomysł, przychodząc do nas, będzie nam, biednym samotnicom, weselej trochę, bo teraz takie długie wieczory, że wprost końca nie mają. Jakże zdrowie, panie Stanisławie?...

— Dziękuję pani dobrodziejce, dzisiaj jestem zupełnie zdrów. — Porwał się, aby odebrać z rąk Zosi filiżankę, i w tym ruchu ręce ich się spotkały, zarumienili się oboje.

Staś usiadł, pił herbatę i patrzył na nią z rozkoszą, jak się przesuwała cichutko i z niezrównanym wdziękiem. Świerkoski przysiadł się przy Osieckiej, która po przeczytaniu listu, przezeń przyniesionego, zbliżyła się do niego i dosyć tajemniczo zaczęła rozmawiać.

— Może zagracie sobie państwo w warcaby? — zwróciła się do Stasia i Zosi.

— Pan u nas dopiero piąty raz, prawda? — pytała cicho Zosia, rozstawiając warcabnicę na maleńkim stoliczku.

— Dopiero, ale ileż razy więcej się wybierałem przyjść! — zarumienił się po same białka.

— I czemu pan nie przychodził?

— Obawiałem się być natrętnym, to znowu...

— Natrętnym! pan! panie Stanisławie? Ciocia tak często wspominała o panu. — Spuściła oczy, przygryzła usta i rozstawiała po polach kamienie.

— Doprawdy nie zasłużyłem. Pani wychodzi?

— To trzeba się zasłużyć. Nie, pan zaczyna grę — dodała prędko, podnosząc na niego błękitne oczy i bardzo ładną twarzyczkę, o stanowczych i nieco za wąskich ustach. Koralowy fartuszek okręcał jej wysmukłą, gibką kibić.

— A pani mi pomoże się zasłużyć? — zapytał, nieśmiało spoglądając.

— Biję odrazu dwa kamienie panu; ach, jaki pan nieuważny, jaki nieuważny! Umyślnie podstawiłam i złapałam pana.

— Skoro pani jest tak podstępna, będę się teraz strzegł i miał na baczności.

— Nie ustrzeże się pan! Otóż i mam znowu: miał pan do bicia, nie bił, biorę chuch! — zaczęła się śmiać serdecznie, ale tak cichutko, żeby Osiecka nie zwróciła uwagi.

— Widzę, że z panią przegram.

— Trzeba się bronić.

— No, kiedy już nie widzę wyjścia.

— Trzeba się nie dać, bronić do upadłego, walczyć.

— Zosiu! nalej mi herbaty! — zagrzmiała Osiecka, uderzając pięścią w stół.

— Gramy dalej, posuwałam ostatnia, teraz na pana kolej — powiedziała Zosia, podawszy herbatę.

— Kuzynka chora, prawda? — zapytał Staś, ze współczuciem patrząc na Tolę, która bladą, schorzałą twarz oparła na poręczy krzesła i drzemała.

— O, to bardzo nieszczęśliwa, bardzo nieszczęśliwa! — szepnęła Zosia i pochyliła się nad warcabami, aby ukryć łzy; musnęła włosami czoło Stasia. Cofnął się, zmieszany i drżący. Grali w milczeniu. Amis siedział przy nich i rozumnemi oczyma wpatrywał się w Zosię, która co chwila głaskała go i dawała po sucharku.

Zegar cykał monotonnie, i w okna uderzał wiatr, a chwilami z obór i z chlewów dochodziły głosy stad i żórawie u studzien skrzypiały przeraźliwie. Cisza senna i nuda panowały w mieszkaniu.

Osiecka wykręciła się bokiem do lampy, oparła o stół, aż trzeszczał, i pochylona nieco nad skręconym we dwoje Świerkoskim, któremu tylko oczy błyskały dziwną żółtością, opowiadała ciągle; musiała wspominać ś. p. męża, bo po kilka razy wyciągała chustkę z rękawa, aby obetrzeć oczy, ale zapominała i mówiła znowu.

— U pani Zaleskiej będzie pani w niedzielę?

— Mówiła ciocia, że pojedziemy na preferansa, tak, przypominam sobie, że mówiła.

— To przyjść można? Aha, nareszcie, zabieram pani trzy jednem biciem.

— Mogę przyjść do Zaleskich w niedzielę? — zapytał prosząco, a ciszej.

— Skądże ja mogę dawać panu pozwolenie! Bywa pan tam codziennie, tylko u nas raz na miesiąc — powiedziała jakby z wyrzutem.

— A mógłbym tutaj bywać codziennie?

Zosia się zarumieniła, przymknęła oczy, aby ukryć radość, i, posuwając kamień, odpowiedziała:

— Chce pan, naprawdę?

— Bardzo! bardzo! — powtórzył, chcąc wziąć ją za rękę.

— A zrobi pan to wszystko, o co poproszę?..

— Wszystko, pod warunkiem, że teraz pani zrobi to, o co poproszę.

— Dobrze.

— Proszę mi podać rączkę.

Podała mu nieśmiało, wziął ją delikatnie i gorąco ucałował.

— Panie Stachu! bo się pogniewam, tak nie można — broniła się surowo.

Puścił jej rękę nieco zaambarasowany, czuł, że się posunął za daleko.

— Pani mi daruje, ale przysięgam, że się to nigdy nie powtórzy — prosił pokornie, głęboko zmartwiony, bo Zosia, z namarszczoną brwią, odsunęła się nieco dalej.

— Nigdy!... — powiedziała przeciągle ze zdumieniem.

— Słowo daję, nigdy — przyrzekał poważnie. Zapiął dwa guziki, odpięte od surduta, musnął wąsiki, wyprostował się na krześle i grał w milczeniu, ale w tem wyprostowaniu czuł, że mu się jakiś guzik oberwał, sponsowiał i bał się ruszyć z miejsca. Zosia była i zdziwiona, i zła na jego naiwność, grała niedbale, pozwalając mu wygrywać, chociaż coraz bardziej fuszerował, bo go niepokoił ten oberwany guzik coraz bardziej.

Skończyli partję. Zosia odsunęła stolik, posprzątała ze stołu nakrycia, wzięła swoją nieśmiertelną kanwę z kwiatami i zaczęła wyszywać, nie spoglądając nawet na Stasia, który, sztywny, onieśmielony, z rozpaczą prawie, że ją obraził, zaaferowany tym guzikiem, siedział nieruchomy i myślał, jakby tu zawiązać przerwaną rozmowę i odwrócić uwagę od siebie. Przysunął się nieco, rozpiął surdut, nachylił się ku Zosi, ale nie śmiał się odezwać, tylko błagającemi spojrzeniami obrzucał jej twarz pochyloną nad kanwą. Zosia udawała, że nic nie spostrzega, a uśmiechała się złośliwie. Siedzieli w tem kłopotliwem milczeniu dosyć długo, aż Staś, zrozpaczony, że nie mógł rozpocząć rozmowy i że szelki wpijały mu się coraz głębiej w ramię, powstał i zaczął się żegnać. Podniósł się i Świerkoski, zamienił jakieś tajemne słowa z Osiecką i wyszli.

W milczeniu powracali. Staś czuł się oczarowanym i zgnębionym, nietyle Zosią, która mu się podobała bardzo, ile własną dzisiejszą wymową i śmiałością. Rozpiął palto, bo mu gorąco było, wyprostował się dumnie i rzucał rozpalone, miłosne spojrzenie w noc i w rzadko płonące na linji światła przejazdów.

— Śliczna dziewczyna, muszę napisać o tem mamie. A jakie to musi być dobre! Panie Stachu! Panie Stachu! — powtarzał z rozkoszą i tak się rozmarzał, że nie pamiętał, czy przy rozstaniu pożegnał się ze Świerkoskim, który prędko szedł, pogrążony w rozpamiętywaniu tego, co słyszał od Osieckiej pod uroczystym sekretem.

Na stacji pusto było, w oknach Orłowskich płonęło światło, a z poza heljotropowych zasłon buduaru Zaleskiej płynął potok dźwięków.

Świerkoski, zaszedłszy do siebie, zbudził Franka, kazał mu gotować herbatę i, nie przebierając się, poszedł do saloniku swojego. Porozpalał świece i wielką lampę, stojącą w rogu na kolumnie, pod czerwonym, niby krew, abażurem. Usiadł na pluszowym, wykwintnym foteliku i zaczynał się rozkoszować komfortem, jaki go otaczał. Franek wkrótce postawił mu herbatę na małym, złoconym stoliczku. Świerkoski ze skrytki, misternie

ukrytej w biurku, wyjął dobre cygaro, zapalił, otoczył się kłębem wonnego dymu, popijał herbatę, przyglądał się salonowi i jakby się rozkoszował przedsmakiem przyszłości.

— Hipciu! ożenisz się z Orłowską! Tak, z pewnością. — Jakiś zły uśmiech wykrzywił jego trójkątną twarz, aż mu białe, długie zęby błyskały z pod wąsów i szczękały z zadowolenia. — Śliczna panna! Hi! hi! hi!... kochany robaczek, ślicznieńki, niewinnieńki! hi hi! hi!... — wydobywało mu się z zaciśniętego radością gardła, niby bulgotanie indycze, a twarz mu promieniała dziką, zwierzęcą radością. — Hipciu! będziesz panem, umiej tylko czekać — szeptał, splatając na kolanach długie, jak u szympansa, ręce. — Tak, ożeni się, rzuci służbę, wyprowadzi się do Warszawy, puści się w wielkie interesa, powygrywa na loterji i — miljony! miljony! miljony! — szeptał z upojeniem i przeciągał się ociężale z rozkoszy, dziwnie drażniącej.

— Hipciu, ostrożnie! — ostrzegał sam siebie. — Ach, to ona miała kochanków! Skąd ta Osiecka się dowiedziała? Grzesik się ucieszy, skoro się dowie o tem! A chamie jeden, łajdaku, dobrze ci tak, masz już dosyć! — śmiał się cicho, chodząc po pokoju. Miał teraz w sobie, w tej trójkątnej, bronzowej twarzy, w żółto płonących oczkach, coś wilczego; zataczał koła tak samo jak wilk, z wyciągniętą szyją, z wygiętym grzbietem, miał postawę węszącego żer, co dwa kroki podrzucał się nerwowo, przysiadał na krzesłach i fotelikach, gładził aksamity i jedwabie i szeptał: — Twoje, Hipciu! twoje! — Amis! chodź, synku! — Pies rzucił się do niego. — Spokojnie, spokojnie, dobry piesek, dobry! — głaskał go, a pies lizał mu rękę i twarz. Świerkoski szybko wydobył z kieszeni rzemień i uderzył go z całej siły przez grzbiet. Amis zwinął się w kłębek i upadł na dywan. — Widzisz, synku, bez poufałości.

XI

Rano, po załatwieniu się z kamieniami, Świerkoski był już na stacji około jedenastej. Stasio był na służbie, i Zaleski, który łaził po telegrafie w skwaszonym humorze i co chwila wyglądał przez szyby, nie mogąc poradzić nudzie, wyszedł na peron i wkrótce już trenował się na rowerze. Świerkoski złożył się we dwoje i siedział na kanapce nieruchomo, tylko oczy ustawicznie biegały mu po podłodze, a Stasio, w przerwach pomiędzy jedną a drugą depeszą, pisał list:

„Droga mamusiu! Koszyczek odebrałem, za co serdecznie dziękuję. Cielęcina była znakomita. Z resztek kazałem zrobić potrawkę dróżniczce z białym sosem i kaszką. Wczoraj byłem ze Świerkoskim u pani Osieckiej. Panna Zosia była taka ładna i taka jakaś życzliwa dla mnie, że z żalem odchodziłem do domu, ale musieliśmy wcześnie odejść, bo Świerkoski ma dostawę kamieni, więc rano wstawać musi. Graliśmy w warcaby i pili herbatę, do której podali ciastka z serem, ale się bałem jeść, bo ser na noc za ciężki do strawienia. Była tam siostrzenica Osieckiej, Tola, chora. A żeby mamusia wiedziała, jaka ta Zosia ładna i jaka dobra! Będę tam częściej chodził, bo mi się już nudzą przewracania oczu Zaleskiej, a Orłowscy przyjmują tylko Grzesikiewicza, wie mama, tego bogacza-chama, co to pisałem o nim, że się z p. Orłowską żeni. Może mi mamusia kupi nowe szelki, tylko jedwabne, miękkie, bo te, co mam, tak mnie wczoraj uwierały w ramię, że porobiły mi się czerwone pasy, aż je wycierałem spirytusem. Było mi bardzo przyjemnie przez cały wieczór, tylko pod koniec pocałowałem pannę Zosię w rękę, rozgniewała się i guzik mi się oberwał przy szelkach, więc się nieco strapiłem. W niedzielę zobaczę się z nią, to mamie napiszę o wiele obszerniej. Całuję mamie rączki". — Zapieczętował śpiesznie, bo Orłowski zły i mroczny jakiś wszedł, nie odzywał się do nikogo, trzaskał drzwiami i później chodził wielkiemi krokami po swoim pokoju.

— Może naczelnik ma dużo do pisania, to mógłbym pomóc — powiedział Świerkoski, wchodząc za nim. Orłowski przystanął, błysnął groźnie oczyma, targnął brodą i głucho rzekł:

— Bez łaski! Jest nas dwóch, przysięgam Bogu, to wystarczyć powinno, za cóżby płaciła Dyrekcja?

Świerkoski zżymnął ramionami i wyszedł. Orłowski zamknął drzwi za nim, pisał raporty, porządkował kasę i sprawdzał rachunki i, zrobiwszy całą, codzienną czynność, przygotowawszy kasę i papiery do wysyłki, zaczął odpieczętowywać nadesłane ekspedycje

i czytać. Po przeczytaniu; bo były adresowane na jego ręce, napisał w nagłówku czerwonym ołówkiem:

„P. o. ekspedytora, do wiadomości i zastosowania się".

— Roch! zanieś to do ekspedycji. — Roch zabrał papier i najspokojniej położył go na drugim stole. — A ten list zanieś panience. — Orłowski zdjął czerwoną czapkę, włożył zwyczajną, służby ruchu, z czerwonymi wypustkami, zatarł ręce, przygarbił się nieco i przesiadł do tamtego stolika. Przeczytał uważnie słowa, napisane przed chwilą przez siebie.

— Dobrze, panie naczelniku, uważam! — odpowiadał chwilami, unosząc się i pochylając, jakby słuchał polecenia. — Zaciągnę tylko do dziennika i otworzę kasę, bo niedługo osobowy przychodzi. — Skończył wkrótce, otworzył okienko, uporządkował stempel do biletów; przechodził przez pokój na palcach, przesuwał się ostrożnie, aby nie robić najmniejszego szelestu. Od kasy kilkakrotnie spoglądał na biurko swoje, z pewną dziwną usłużnością i pokorą w oczach, i wtedy przychodziła mu myśl, że trzyrublową karę zapłacił niesłusznie, wzdychał lekko. Gdy pociąg dochodził, kasę zamknął, przemienił czapkę, naciągnął rękawiczki i wyprostowany, wspaniały, niby wódz na przeglądzie armji, chodził po peronie.

Janka ze zdziwieniem odebrała list, nie miała pojęcia, kto mógł pisać do niej. Rozerwała kopertę i zobaczyła podpis „Głogowski". — A! Głogowski! — szepnęła uradowana. — List był krótki:

„Panno Janino! Przypomina też pani sobie, w tej chwili czytania, moją osobę?" — Uśmiechnęła się i z pamięci wyłoniła się jej jasna, nieregularna, o ostrych rysach, szarych oczach, twarz, zakończona rozczochraną czupryną. — „Uciekłem kilka dni temu z ostatniej kondycji i już trochę trafem, trochę, że chciałem, dostałem miejsce, wcale dobre, w domu jednej okropnie głośnej autorki. Mieszka ta sława o trzy mile od Bukowca. Mam pakować mądrość we łby jej jedynie żywych utworów. Przyjeżdżam w niedzielę do Bukowca, otóż, bez względu, jak mnie pani przyjmie: dobrze, czy psami, widzieć panią muszę. Pamięta pani, że nas łączą węzły zacnie zawartej przyjaźni? Ogromnie jestem ciekaw stron tamtych i pani. Pisanie kończę, bo obiecuję wiele powiedzieć osobiście. Całuję pani ręce z szacunkiem dawnym i z dawną życzliwością. Przyjadę wieczorem o siódmej, tak mnie objaśnił rozkład".

Odczytywała list po kilka razy i jakby wchłaniała z tego krótkiego szeregu wierszy jakąś szczególną siłę życia, która ją przenikać poczynała dreszczem. — Głogowski — wymówiła głośno, aby się upewnić niejako, że to prawda, że nie śni w dalszym ciągu, nie marzy, w tem biernem, apatycznem poddaniu się losowi. — Głogowski! a! — Budziła się w niej gwałtownie dawna Janka, dawna natura dzika i nieposkromiona w żądzach szerszego lotu, dusza szarpiąca się w jarzmie szarego, prowincjonalnego bytu, pełna fermentu gwałtownego.

Przypomnienia teatru obsiadły jej mózg, wyłaniały się z ciemnych komórek myśli, gdzie czaiły się i czekały na sposobną chwilę, otaczały ją rojem barwnym, skrzącym blaskami, szalonym; taki zamęt miała pod czaszką, że, aby ochłonąć, otworzyła lufcik i patrzyła chwilę na ojca spacerującego po peronie i na pociąg stojący, ale cofnęła się prędko. Co ją to wszystko obchodziło! Dusiła się właśnie w tej samotności. Ubrała się i, nie mówiąc nic Janowej, poszła do lasu.

— Głogowski! — powtarzała, bo ten dźwięk zawarł w sobie cały świat; rozglądała się po lesie, a myślą podążała tam, w tę przeszłość niedawną, której nie było nigdzie, prócz w pamięci. Widziała teatr, kolegów, przedstawienia, publiczność; cały szereg zdarzeń, nanizanych na łańcuch czasu. — Spałam! spałam! — szeptała, rozglądając się zdumionym wzrokiem po lesie. — Co ja tutaj robię? Poco jestem? — Trzy tygodnie w Bukowcu, to był sen; tak, teraz się budziła, przebudził ją ten list przyjaciela. Myśli jej biegły w świat, jak te liście buków, co, niby płatki krwi, leciały na ścieżyny, wieszały się kolczastych głogów, chwiały się na nagich gałęziach olch i jak te obłoki, które, zbite w bezładną gromadę, zmieszane, niby stado burych gęsi, uciekały przez przestrzenie, gnane wichurą.

Obejmowała dumnem spojrzeniem władczyni las, co szumiał dokoła tajemniczo i trząsł koronami hardo, i jakby mocował się z wichurą, co prześwistywała pomiędzy gałęziami, biła w korony i wżerała się w gąszcze. Tylko teraz już nie widziała lasu, nie łączyła z nim

swojej duszy, nie czuła w sobie tego tętna, nie szarpała się pomiędzy temi olbrzymami, co ją otaczały ponurą, straszną ciżbą; przyszła do niego, bo szukała odosobnienia, bo miała w piersiach jakiś krzyk, w oczach jakiś ogień, w mózgu jakiś szał i chciała się niemi nacieszyć, chciała wyładować z siebie ten gwałtowny przypływ energji. Nie miała jeszcze żadnej idei, nie sformułowała żadnej myśli o przyszłości, wystarczyło jej teraz marzenie i poczucie, że czuje, jak kiedyś, że jest znowu gotową do walki, do zdobywania świata! Cieszyła się własnem istnieniem.

— Dzieńdobry pani!

Przebudziła się i zadrżała. Przed nią stał Grzesikiewicz, konia prowadził za uzdeczkę i przyjaźnie wyciągał rękę, i uśmiechał się, szczęśliwy z tego niespodziewanego spotkania, a ją przeniknął ból dziwny, żal jakiś i smutek. Opadły jej skrzydła, w miejsce snów — Grzesikiewicz! Przez krótką chwilę nienawidziła go głęboko, ale zapanowała nad sobą, uśmiechnęła się jakoś po komedjancku.

— Pan do nas jedzie?

— Tak, wybrałem się trochę wcześniej, i szczęśliwy traf pozwolił mi spotkać panią.

— Wyszłam się przejść. — Czekała, że może będzie tak delikatnym, że ją przeprosi i odjedzie sobie, ale Andrzej nie myślał o tem.

— Mama się wybiera w niedzielę do państwa.

— O, proszę, będziemy z ojcem bardzo radzi — odpowiedziała chłodno.

— Pani jeszcze nigdzie nie wyjeżdżała?

— Nie, dopiero w niedzielę może się wybiorę do kościoła po raz pierwszy. Chciałabym zobaczyć trochę więcej ludzi. Czuję się już zupełnie zdrową.

— O, wygląda pani prześlicznie — rzekł, z zapałem.

Wydał się jej głupim z tym banalnym komplementem; spojrzała na niego ostro.

— Może za prędko idziemy, pani się zmęczy!...

— Nie, lubię chodzić prędko.

— Przyślę w niedzielę państwu swoje konie, dobrze?

— Dziękuję, ale ojciec już zamówił w Zielonce — odpowiedziała i z pewną przyjemnością zauważyła, że sprawiła mu tą wiadomością przykrość.

— Odwiedzi pani mamę?

— Może... — powiedziała wolno, cofając trochę głowę, bo pochylił się ku niej zbyt blisko, odsunął się zmieszany, bo uderzyła go oczyma, niby szpicrutą, aż pokręcił wąsów z zakłopotania. Weszli do mieszkania, ponieważ Orłowski był, zostawiła mu Andrzeja, a sama poszła do saloniku i po raz pierwszy po chorobie zagrała jakiegoś marsza, ze wściekłą brawurą.

Grzesikiewicz patrzał otwartemi drzwiami na nią, nie mógł jej dzisiaj poznać. Wczoraj była taka dobra, słodka, cicha, a dzisiaj!!! Co się tu stało? — zapytywał siebie z niepokojem. Przestała grać i wzięła udział w rozmowie, ale ton jej głosu był niby stal, ostry i zimny.

— Wie pan, spotkałam Witowskiego na cmentarzu.

— Mówił mi ojciec, że panią widział jadącą za pogrzebem. Jakże się pani podobał?

— On, taki sobie, ale Witowska prześliczna kobieta.

— Także nie mniejsza warjatka, niźli jej brat.

— Dlaczego? — zapytała szorstko; nie cierpiała tego drwiącego tonu, jakim mówił o Witowskich.

— Pierwsze, że się jej zdaje, iż ślepnie.

— Niedość na tem; musi być tego pewna, skoro tak twierdzi, a zresztą samo zdawanie się jest cierpieniem.

— I... bogata! głowa przewrócona, brak jej zajęcia i wymyśla sobie różne urozmaicenia.

— Ale co to przeszkadza komu, co robi? — zapytała dosyć niegrzecznie. — Co pan nazywa przewróconą głową? — zapytała prędko rozrumieniona irytacją.

— Mogła wyjść zamąż, nie chce; urządziła połowę pałacu zupełnie na sposób klasztorny i, niby mniszka, spędza dnie całe na modlitwie; założyła ochronę dla zwierząt, he! he! he! bardzo ładna menażerja!

— To są jej osobiste, dajmy na to, wady, ale co pan wogóle nazywa przewróconą głową?

— Nie umiem pani tego zdefinjować krótko, ale dałem jeden przykład, dobrze ilustrujący przewróconą głowę; dam teraz drugi: pani Stabrowska, literatka powiatowa, zamiast pilnować gospodarstwa, męża, dzieci, bawi się w pisanie głupich wierszyków i jeszcze głupszych artykułów, mających zreformować świat. Albo to nie jest typowa, przewrócona głowa?

— Kretyni! — pomyślała Janka, odpadła ją chęć pytania, dyskutowania, już ją nawet nudził ten temat, miała tylko ochotę powiedzieć mu, że jest bałwan i głupiec.

— Czy to Stabrowska z Bonar? — zapytał Orłowski.

— Tak! Śliczny majątek, ale się wszystko rozłazi, bo gospodarstwo prowadzi się prawie po literacku, corocznie przystosowują nowe systemy gospodarowania, a przytem, jak żyją z sobą! — Janka wyszła, a Andrzej nachylił się i pocichu opowiadał różne drastyczne i dosyć skandaliczne szczególiki, jakie kursowały po okolicy o Stabrowskich.

— Ci, co was przerastają o piędź, są przewrócone głowy, wszyscy jesteście głupcy i idjoci. Nienawidzicie tych, którym nie wystarcza codzienne życie, codzienne plotki, bydło robocze! — myślała po wyjeździe Grzesikiewicza, który odjeżdżał smutniejszy i żebrał spojrzeniem litości. Pożegnała go ceremonjalnie.

Po jego wyjściu Zaleska przysłała heljotropowy liścik i wkrótce sama przybiegła, rzuciła się Jance na szyję i obsypywała ją gradem pocałunków.

Janka się zdziwiła, nie rozumiejąc powodów tej nagłej czułości.

— Ależ pani zagrała tego marsza prześlicznie. Czytałam w buduarze książkę, słyszę fortepian, przyznam się, że wyjść chciałam do kuchni, bo myślałam, że pani gra, ot tak sobie, jak wszystkie panny, po domowemu. Zdumiona byłam, posłuchawszy. Pani masz talent; co za siła uderzenia, co za ekspresja. Ledwiem się doczekała wyjścia narzeczonego pani.

— Pan Grzesikiewicz nie jest moim narzeczonym — odpowiedziała, niemile dotknięta.

— Niech się pani na mnie nie gniewa, to powiedziałam, co w całej okolicy mówią. Mnie się nawet nie zdawało to prawdą, bo przecież byłabym coś od pani usłyszała. Muszę zaraz iść, bo się dzieci kąpią, a służąca pojechała po sprawunki; ale poproszę bardzo o zagranie czegokolwiek, moja droga panno Janino, bardzo proszę. A! nie jest pani narzeczoną. Dobrze? zagra pani?

Janka uległa prośbom i zagrała. Grała długo; Zaleska chodziła cicho po pokoju, przystawała, stukała nogą w podłogę, gdzie pedał wychodził za słabo, wybijała takt ręką, szeptała — forte! forte! — uderzała rozłożonemi palcami w powietrze, niby w klawisze, siadała gwałtownie na fotelu, ale, nie mogąc wytrzymać, zdenerwowana, trochę rozczarowana i tem uradowana, przerwała jej grę nowym wylewem czułości.

— Ma pani talent, ogromne uczucie, indywidualizuje pani muzykę, brak tylko pani szkoły i techniki, gra pani jest intuicyjną. Boże, muszę iść, bo tam dzieci w kąpieli! Tak, ta jedna fraza pyszna. Uderzyła w klawisze i powtórzyła ją kilka razy — pyszna!

— O, niech mnie pani nie chwali; talentu nie mam, o tem wiem; czuję tylko, co gram.

— Gdyby się pani chciała uczyć, to przytem, co pani posiada, przy swobodzie i środkach, zaszłaby pani daleko.

— Dokąd? — zapytała Janka spokojnie.

— Na estradę, do rozgłosu, do sławy! — odpowiedziała uroczyście.

— Znam tę gorączkę i te marzenia, paliła się we mnie, ale już wygasła.

— Nie pragnie pani wrócić na scenę?

— Nie, wystarczy mi wspominanie teatru na całe, najdłuższe życie.

— Jakto, wyrzekła się pani myśli o sztuce, nie pragnie pani sławy, oklasków, tego boskiego upojenia sztuką, tego zdenerwowania występu, tego szału, tego... — wołała patetycznie Zaleska.

— Nie, niczego już z tego wszystkiego nie pragnę — odpowiedziała smutnie, i to uświadomienie zabolało ją bardzo, poczuła w sercu jakąś próżnię, a w myśli zniechęcenie do życia.

— Ach! żebyś pani wiedziała! Na popisach to nic — ale po skończeniu konserwatorjum zaproszono mnie do wzięcia udziału w koncercie. Skończyłam konserwatorjum

ze złotym medalem, przyniosę go pani pokazać. Panno Janino, nigdy tego koncertu nie zapomnę. Grałam szopenowskie mazurki, o te — uderzyła pierwsze takty. — Nigdy tego nie zapomnę. Umierałam z rozkoszy. Dostałam bukiet i wieniec. Czy pani nic nie słyszy? — zdawało mi się, że Hela krzyczy... Krytyka, pokażę pani, co napisali o mojej grze. Cóż z tego? zmuszono mnie wyjść zamąż, środków nie miałam do dalszego kształcenia, a brakowało mi tylko techniki. Teraz ją mam, zdobyłam sześcioletnią pracą, czekam tylko sposobności — przerwała, uśmiechając się łzawo do przeszłości, czy przyszłości. — Zapomniała o dzieciach, o mężusiu, nawet kuzyna nie wspominała, wstrząśnięta zapałem. Miała oczy pełne łez, grzywka się jej rozwiała, podkreślenia oczu rozmazały łzy, nie pamiętała o niczem, marzyła głośno o triumfach i sławie. Zniknęła jej dziecinna wesołość, oczy błyszczały ogniem, rosła jej dusza i obnażała się, pokazywała swoje wnętrze. Rzucała pioruny oczyma, jakby stały przed nią całe tłumy słuchaczów. Uśmiechała się omdlewająco, upojona muzyką, którą słyszała dusza, olśniona brawami, wstrząsana dreszczem ekstazy.

Janka słuchała i patrzyła, ale ten chłód i próżnia, jakie poczuła we własnem sercu, przeszkadzały jej odczuwać zachwyty i uniesienia Zaleskiej. Wydawała się jej wysoce śmieszną, z trudem powstrzymywała uśmiech litości. Miała ochotę przerwać jej brutalnie jaką uwagą ostrą, ale żal się jej zrobiło i słuchała tych nieskończonych wynurzeń coraz niecierpliwiej.

— Laboga pani! tam dzieci cosik krzyczą! — zawołała Janowa, wpadając do pokoju.

Zaleska zatrzymała się na środku pokoju, zbladła, zaczęła spoglądać naokoło błędnym wzrokiem, później spuściła oczy. Mówiła coś bez związku, kręciła się wkółko, jakby nagle straciła przytomność, nie wiedziała, co zrobić ze sobą, wreszcie łzy strumieniem popłynęły z jej oczu, zakryła twarz rękoma i uciekła.

Po kilku minutach przysłała Rocha z heljotropowym liścikiem, prosiła o paski czystego płótna na bandaż i trochę maści diachilowej. Janka posłała i zaraz sama poszła odwiedzić ją, ale przede drzwiami usłyszała podniesiony głos mężusia:

— Co to jest! Włóczysz się po sąsiadach! Psiakrew, żeby dzieci zostawiać same w kąpieli, potopiłyby się jak szczenięta, a ona tam rajcuje z tą komedjantką. Dosyć już tego. Człowiek nie może spać, nie może jeść, obiadu nigdy na czas niema, a ja muszę dzieci pilnować, bo żonusi podoba się chodzić z wizytami, a wszystko zostawiać na Bożej opiece.

— Henryczku! mój najdroższy, mój jedyny, wybiegłam tylko na chwileczkę, bo miałam pilny interes.

— Siedzieć w domu i pilnować domu! Wszystko idzie do góry nogami. Trzeba ci było wziąć ze dwadzieścia tysięcy posagu, to mogłabyś robić, coby ci się podobało, miałby cię kto wyręczyć, byłoby za co.

Janka cofnęła się, nie chciała więcej słyszeć, wystarczyło jej odgłosów małżeńskiego szczęścia. Zamknęła nawet drzwi od salonu, bo przez cienką ścianę przenikał krzykliwy głos Henia, odgłos rozbijanych sprzętów i płaczliwy, pokorny, błagający głosik żonusi.

Do niedzieli, to jest przez całe trzy dni, nie widziała Zaleskiej; przysłała ona tylko kilka pachnących bilecików z zapytaniami o zdrowie i w przypiskach skarżyła się domyślnikami i wykrzyknikami na los i życie. Wieczorem grywała po dwie godziny dłużej, niż dawniej.

— W niedzielę przyjedzie Głogowski! — powtarzała sobie Janka ustawicznie.

XII

Nareszcie nadeszła niedziela, tak wyglądana przez Jankę. Denerwowało ją oczekiwanie Głogowskiego, bo się jej zdawało, że z jego przyjazdem jej położenie zmienić się musi, że on przywiezie z sobą coś takiego, czego pragnęła w marzeniach, jakieś niedosnute dobro, oczekiwane z gorączką od chwili przeczytania listu. Głogowski rozrastał się w niej, w głębokościach tej pustki, w jakiej żyła, stroiła go w idealne cechy, prawie bohatera, wyolbrzymiając go wysokością własnej duszy, chciała mieć nadczłowiekiem, żeby go móc uwielbiać, bo, jak każda żywotniejsza natura, musiała mieć przed sobą fetysza, musiała mieć jakiś cel woddali, do któregoby można iść, modlić się, któregoby można czuć się własnością.

Powiedziała ojcu o jego przyjeździe. Orłowski się uradował.

— Wtedy... chciałem go zobaczyć, ale nie było go w Warszawie. Winniśmy mu bardzo wiele. Poczciwy człowiek, i żeby nie on... — przerwał i schwycił się za brodę...

— Idealnie dobry człowiek. Jestem mu winna kilkadziesiąt rubli; pożyczył mi w takiej chwili, kiedy byłam już bez grosza.

— Oddam mu natychmiast. Taką biedę tam miałaś? — mówił cicho, nie śmiejąc spojrzeć na nią, aby się nie obraziła pytaniem.

— Dosyć tego było, więcej nawet, niźli człowiek unieść może.

— Czemuś nie napisała? co? — krzyknął gwałtownie, ale podniósł ręce do góry, jakby chciał przyciszyć ten ostry dźwięk, i dodał z goryczą i żalem — gdybym był wiedział, gdybym...

— Gdyby!.. Wykreślmy ten wyraz z naszych rozmów. W tym dźwięku są zamknięte wszystkie najsroższe nędze ludzkie, przez to „gdyby" świat się szamoce w męce. — Gdyby! — myślała już, blednąc i przypominając przeszłość, stanęła przy oknie i zatkała usta chustką, aby nie rzucić głośno przekleństwa na to „gdyby". Przyciszała się siłą i ubierała śpiesznie, bo Orłowski przynaglał; konie, zaprzężone do jakiegoś odwiecznego powozu, czekały już przed stacją.

Wpół godziny później jechali do miasteczka, oddalonego o milę od stacji. Zdaleka było już widać masę domków niskich, usadzonych bezładnie, z kościołem w pośrodku, co się nad gontowe, szare dachy wznosił potężną masą gotyckich murów i błyszczał złotym krzyżem na wysmukłej wieży.

Drogą błotnistą, pełną wyboi i kałuż, wlokło się dużo wozów chłopskich, bryczek i powozów; wąską ścieżyną, biegnącą nad przydrożnym, w połowie zawalonym rowem, wpoprzek zagonów, obsianych żytem, szły rzędami czerwono ubrane kobiety, z trzewikami w rękach, niby długą, czerwoną wstęgą, jaskrawo drżącą na tle zimnej zieleni zbóż. Orłowski kłaniał się powozom, kapelusze się uchylały i z poza szyb karet, albo z pod bud powozów wychylały się kobiece twarze i ciekawe spojrzenia obrzucały Jankę. Umyślnie odwróciła głowę, bo ją irytowały te spojrzenia, i kiwała głową chłopom, co ich witali uśmiechami życzliwemi, ukłonami i tem nieśmiertelnem: — Pochwalony! Wjechali w błotnistą uliczkę, obstawioną nędznemi, pozapadanemi w ziemię domkami, zachlapanemi błotem, aż po małe, przekrzywione okienka. Żydzi, brudni i oberwani, Żydówki w obłoconych sukniach, w rudych perukach, nędzne i brzydkie, snuli się pomiędzy chłopami i wydzierali sobie z rąk kury i gęsi, przynoszone na sprzedaż i zapełniające ulicę krzykiem. Wozy stały przed szynkami z wyprzężonemi końmi, pomiędzy któremi trzoda chlewna uwijała się, szukając pożywienia. Jeden potok błota tworzyły niebrukowane uliczki; błoto wpływało do czarnych sieni, zalewało podłogi nędznych sklepików, czerniało na szybach okien, oblepiało ludzi i zwierzęta, unosiło się w oparach ciężkich, co się snuły nad domami razem ze smugami brudnych dymów.

Na wielkim rynku, obstawionym kilku jednopiętrowemi domami z cegły nietynkowanej, gdzie znajdowała się poczta, sąd, apteka i kościół, było trochę suszej; kilkadziesiąt niedołamanych drzewek czerniło się nad chodnikiem z cegieł i osłaniało wielką studnię kołową, obok której rozsiadły się stragany handlarzy. Sterty bułek żółciły się na stolikach, zwoje kiełbas piętrzyły się razem z połciami słoniny, czerwone i żółte chustki powiewały na kramach, niby chorągwie, buty żółte, białe, krakowskie kapoty, niebieskie spodnie, stłoczone razem, wisiały długiemi rzędami i kołysały się na wietrze. Poza murem cmentarnym, okalającym kościół, pomiędzy wielkiemi, szaremi modrzewiami, bieliły się krzyże i nagrobki marmurowe, tworzące kamienny, rozpadający się już w gruzy las. Na cmentarzu kobiety wiązały chustki, wdziewały trzewiki na bose nogi, a kilkunastu mieszczan w czarnych kapotach, wygniecionych całotygodniowem leżeniem w skrzyniach, w czapkach ze lśniącemi daszkami, z wielkiemi książkami do nabożeństwa pod pachami, rozmawiało półgłosem; witali uniżenie Orłowskiego, bo mieli ciągłe stosunki z Bukowcem.

Bocznemi drzwiami, przez zakrystję, weszli do wielkiego, poklasztornego kościoła; Orłowski został we drzwiach, a Janka poszła do olbrzymich stall, wspaniale rzeźbionych w dębie i inkrustowanych jesionem, w których niegdyś gromadzili się na modlitwy wspólne zakonnicy. Stalle zajmowały z obu stron całą długość prezbiterjum i wznosiły się aż po wąskie, gotyckie okna, trzema kondygnacjami miejsc. Janka usiadła najniżej, blisko ołtarza, tam, gdzie siadywała dawniej.

Było jeszcze dosyć wcześnie, ławki stały prawie puste, tylko pod olbrzymiemi nawami kościoła kłębił się coraz gęstszy tłum ludzi. Po prawej stronie kobiety, niby cały łan maków ponsowych, poprzerastałych żółtemi jaskrami i chabrami, zajmował pół kościoła, aż po wręb niskiej, przypłaszczonej, bocznej nawy, z której przez kolorowe szyby gotyckich okien wpływały smugi słońca i refleksami szyb malowały głowy i ramiona, kładły szmaragdowe plamy na wygolone, surowe i kanciaste twarze chłopów, krwawiły rubinem jasne włosy, zalewały fioletem białe kapoty i czerwone kamizele, iskrzyły się barwnym, brylantowym pyłem na metalowych ozdobach pasów, kierezyj i kołnierzy.

Wielki żyrandol, wiszący przed prezbiterjum, obwieszony szlifowanem szkłem, błyskał, niby tęczą, całą gamą barw, jakby się okrył chmurą różnobarwnego pyłu, w którym płonęły złote płomienie świec pozapalanych.

Szmer modlitw, oddechów, kaszlu, ruchów, bił w ołtarz wielki i oblewał Jankę denerwującem ciepłem; ludzie się kołysali, niby wielki łan zbóż, biernie poddając się naporowi ustawicznie napływających wielkiemi drzwiami.

Stalle zapełniały się zwolna.

Janka z ciekawością i z pewnem uczuciem przyjemności spostrzegła twarze, znane tylko z widzenia, i osobistych swoich znajomych. Spostrzegła po drugiej stronie sędzinę Zakrzewską, przyjaciółkę matki swojej, ukłoniła się jej z uśmiechem radości. Sędzina przez pince-nez na długiej, szyldkretowej rączce patrzyła na nią długo, ale się nie odkłoniła, szepnęła tylko jakieś słówko do ucha sąsiadki i z pogardliwym ruchem głowy wskazała Jankę. Odczuła boleśnie ten ruch i to ironicznie-litościwe spojrzenie, jakie jej rzucano, odwróciła wyniośle głowę do kazalnicy, bo ksiądz zaczął mówić. Przez prezbiterjum, zapchane córkami i żonami mieszczan i oficjalistów dworskich, szła dobra znajoma Janki, p. Łomiszewska, znana z języka, energji i czterech córek, które, niby źle dobrana fornalka, szły wprost ku niej. Podniosła się nieco, aby je przeprosić i przywitać się. Łomiszewska, spostrzegłszy ją, cofnęła się, zagradzając sobą córki i usuwając wtył ostentacyjnie ręce.

— Chodźmy, tutaj dla nas niema miejsca.

— Ależ, mamo, tutaj zaraz kilka wolnych.

— Nie, nie będziecie siedzieć przecież obok jakiejś cyrkówki!... — szepnęła tak głośno i pogardliwie, że wszystkie oczy zwróciły się na Jankę.

Janka zatrzęsła się z oburzenia i gniewu tak silnego, że było mgnienie niepowstrzymanej chęci rzucenia książką w twarz Łomiszewskiej; oprzytomniała jednak, usiadła ciężko, zapatrzyła się w ołtarz i słuchała melodyjnego głosu księdza i tych szeptów, co za nią i obok niej zaczęły się krzyżować. Panie przyglądały się jej impertynencko.

— To ta, w tym zielonym kapelusiku?

— Tak, twarz jakby z miedzi pobielanej.

— Ale, naprawdę, piękna.

— Brwi ma malowane i usta.

— To ona się truła?

— Gazety o tem pisały.

Przycichły, bo ksiądz, w religijnej ekstazie, wyciągnął z ambony ręce do ołtarza i wołał ogromnym głosem wiary i ufności: „Powinniśmy tylko tego Pana prosić, słuchać: tego Pana się bać, temu się zasługiwać". — I mówił ciszej, a tysiące oczu i tysiące ust rozchylonych wznosiło się ku niemu, i wszystkie serca, stopione w jedno serce tłumu, drżały w głębokiej ciszy kontemplacji, stalle tylko ciągnęły przerwane na chwilę rozmowy.

— Podobno ten zawiadowca zupełny warjat!

— Lodzia musi się z nią znać, a o ile sobie przypominam, były na jednej stancji i razem chodziły do szkoły, była nawet u państwa, tak, przypominam sobie.

— Tak, niestety, i nigdy tego nie odżałuję.

— Ja swoich dziewczątek nie oddam do szkół publicznych, gdzie byle kto umieszcza swoje dzieci.

— Dlaczego uciekła z domu?

— Proszę pani, różnie mówią... — szept stał się niedosłyszalny.

— Daję pani słowo, mówiła mi onegdaj Głębińska, siostra Grzesikiewicza.

Janka już nic nie słyszała więcej, miała dosyć, te słowa zalewały jej duszę bólem i smagały, niby żelaznym prętem; podniosła głowę i słuchała, chciała słuchać przynajmniej, kazania.

— „Błogosławieni pokornego serca! — mówił ksiądz — błogosławieni wierzący, błogosławieni ciszę w sercach bliźnich czyniący, błogosławieni spełniający przykazanie, bo oni miłują ludzi i dobrze im czynią; są oni, jako ci pasterze i pracownicy, którzy po dniach pracy uznojeni, ale czystego serca, przychodzą do drzwi Pana swojego odebrać zapłatę za trud żywota. I zaprawdę, powiadam wam, Pan wypłaci wszystkim podług ich zasług". Unosił się, klękał na kazalnicy i mówił na zakończenie gorącą, przejętą łzami prośby o łaskę i upamiętanie, modlitwę. Westchnienie przeciągłe i palące, niby wicher sierpniowy, przeleciało po kościele, lud się zakołysał gwałtownie, jak las uderzony przez wichurę, oczy się rozełzawiły, jęk wyrwał się ze wszystkich piersi, ręce się podniosły wgórę, serca korzyły się, a czoła biły o posadzkę, i wielki rytm modlitw i płaczu drgał pod sklepieniami.

Janka powtarzała zbielałemi ustami te modlitwy, byle tylko zapomnieć o tych szeptach, które spadały na nią, niby deszcz ukropu, i przepalały ją niesłychaną goryczą. Nie czuła już gniewu, ani nienawiści, tylko głęboki żal trząsł jej sercem, tylko zdawało się jej, że wszystkie oczy przewiercają jej czaszkę, że cały świat z szyderstwem, pogardą, nienawiścią woła:

— Zdaleka od niej! wyklęta!

Łzy zalewały jej serce, ale siedziała prosto i wzrokiem zimnym, rozeszklonym wielkim bólem, patrzyła przed siebie.

Zaczęła się suma, ale Janka modlić się nie mogła; patrzyła na Witowską, którą lokaj prowadził do fotelu, stojącego obok ołtarza, ale Witowska szarpnęła za rękaw lokaja i usiadła obok niej.

Witowski z Andrzejem stali we drzwiach i spoglądali na nią, stara Grzesikiewiczowa siedziała w środku prezbiterjum, na krześle, umyślnie dla niej przyniesionem, i modliła się z roztargnieniem, bo co chwila spoglądała w jej stronę z nieokreślonym wyrazem miłości i podejrzliwości.

Msza ciągnęła się uroczyście, organy snuły jakąś poważną psalmodję, pełną przejmujących akcentów, głosy śpiewaków, co niby girlandą głów bramowali balustradę chóru, płynęły pod sklepienia uroczystą, namaszczoną powagą. Słońce świeciło przez okna i zalewało cały kościół blaskami, w których snuły się błękitnawe pasma dymów, płynące z trybularza. U ołtarza, wpośród obłoków kadzideł, wpośród świateł i blasków, siwy, stary ksiądz drżącym głosem śpiewał modlitwy. Westchnienia, szepty modlitw, ciche jęki dusz rozmodlonych zlewały się z barwami, z muzyką, z mrocznemi głębiami naw bocznych, z rozpalonemi spojrzeniami, kłębiły się i uderzały potężnym szumem w wielki ołtarz, niby falą, i cofały się do drzwi głównych, i wypływały w blady, złotawy dzień październikowy, co się roztaczał nad ziemią i lasami.

Janka patrzyła w murillowską Madonnę, której kopja była w ołtarzu, ale myślą nie była przy niej, nie widziała nic z tego, co ją otaczało, zatapiała się we własnem wnętrzu, i wszystkie krzywdy, jakich doznała, przypominały się, wyłaziły z ciemnych głębin pamięci i zobojętniały ją na wszystko, zalewając serce spokojem prawie kamiennym.

Nie czuła już żalu nawet, tylko reszta goryczy sączyła się, niby z rozbitej czary złudzeń, i padała po kropli na serce.

— Dlaczego? Za co? — myślała. — Cierpiała tak wiele w życiu, i za te wszystkie szamotania, za zawody spotyka ją pogarda ogólna! — Czyż nie ma prawa do szczęścia? Co ja takiego zrobiłam? — i wodziła oczyma po kościele i głowach ludu, po stallach, pełnych znajomych i znanych twarzy, i uczuła się bardzo samotną i jakby obcą pomiędzy niemi; zrozumiała, że niema żadnej spójni pomiędzy jej duszą a tamtemi duszami. Czuła się na jakiemś morzu, które ją z obojętnością żywiołu zalewało i spychało w głąb. Była poza kołem tego życia, jakiem żyli wszyscy, ale tego nie mogła zrozumieć, jak i nie wiedziała, czem zawiniła wobec nich.

Organy na chwilę umilkły i chóralny śpiew przycichnął.

Ksiądz złotą, promieniejącą monstrancją zrobił krzyż nad klęczącymi i zaintonował:

Święty Boże, Święty mocny!

i schodził po stopniach ołtarza:

Święty, a nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!

Zerwał się potężny śpiew ze wszystkich piersi, niby orkan huczał, a ksiądz szedł pod baldachimem w obłokach dymu i niósł wysoko, złotem lśniącą i rubinami, monstrancję; lud szedł za nim, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, serce przy sercu i śpiewał prawie jednym głosem; rzędy świec migotały złotemi światłami, dzwonki ostre dźwięki dorzucały do tej ogromnej harmonji, co jednoczyła wszystkie dusze i wielkim głosem wiary płynęła w świat. Procesja wyszła na cmentarz i obchodziła kościół, prowadzona przez śpiżowe, radosne głosy dzwonów, i tylko do kościoła zupełnie pustego, przez grube mury, wdzierał się przyciszony, odległy śpiew:

Święty Boże, Święty mocny!

— Święty, a nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami! — śpiewały echa w pustych nawach, jakby przez tych Serafów i Świętych, których roje pokrywały ściany i stropy kościoła.

— Zmiłuj się nad nami! — powtarzała Janka, nie ruszając się z miejsca, i piła ten śpiew chciwie, i myślała równocześnie, że w świecie niema zmiłowania nad nikim, że wszyscy ci, którzy idą z tym śpiewem na ustach, że ci wszyscy, których zobaczyła wchodzących zpowrotem w wielkie drzwi, rozśpiewanych, ogromnych uniesieniem, silnych ekstazą, zalewających kościół, niby niezmożoną niczem falą, są jej wrogami.

Przycisnęła się do ławki ze strachem bezwiednym, bo cała ta masa ludzka szła prosto na nią; rozpłomienione oczy, dymy kadzideł, lśnienie złota, dźwięki organów, usta porozchylane w śpiewie, głuchy łomot nóg, wszystko to splątane w jakiś kłąb groźny toczyło się ze straszną siłą. Przymykała oczy, bo jej się zdawało, że to morze uderzy w nią i zaleje, jak nędzne źdźbło, że ją rozdepcą, niby marnego robaczka, który śmiał stawiać czoło temu prądowi. Po nabożeństwie wychodziła prawie ostatnia, gdy ją Grzesikiewiczowa ujęła pod ramię życzliwie i dreptała obok niej, szepcąc cichutko ostatnie słowa pacierza.

Na cmentarzu całe towarzystwo okoliczne stało porozdzielane na grupy i rozmawiało z ożywieniem. Chłodnawy wiatr zawiewał nagiemi gałęźmi modrzewi i świstał smutnie. Zanosiło się na deszcz.

— Chciałam usiąść przy pani, ale już miejsca nie było — szeptała stara.

— O, przeciwnie, bo było dosyć miejsca — odpowiedziała spokojnie, uśmiechając się tak blado, że ten uśmiech miał wyraz odpowiedni w smutku rozwleczonym w przyrodzie jesiennej.

— Będziecie w domu wieczorem? bo my się z Jędrzejem wybieramy do państwa.

— Będziemy i będę pani bardzo wdzięczną za odwiedziny, bardzo! — Głos jej zmiękł, bez namysłu podniosła rękę starej i pocałowała. Była jej w tej chwili bardzo wdzięczną.

Towarzystwo rozstępowało się przed niemi, gdy szły do furtki, rozmowy milkły, kilka pań, umyślnie prawdopodobnie, zbliżało się do Grzesikiewiczowej z powitaniami, ostentacyjnie nie spostrzegając Janki. Przechodziła dumnie pod tem kaudyńskiem jarzmem spojrzeń i pogardy, zimnym wzrokiem wodząc po ich twarzach i nie odpowiadając na ukłony kilku młodych ludzi, którzy z pewną nieśmiałością uchylali kapeluszy.

Andrzej z Witowskimi szedł za niemi i widział wszystko.

Odprowadziła starą do powozu, pożegnała się z Andrzejem, który z kapeluszem w ręce, wobec wszystkich, całował ją w rękę; czekała jeszcze na ojca, który w sąsiednim sklepie kupował różne rzeczy, kiedy głos łagodny i rozradowany zawołał ztyłu:

— Janka!

Odwróciła się szybko, zelektryzowana tym dźwiękiem.

— Helena! Ty tutaj? Skąd?

— Co za radosna niespodzianka!

I dwie, jeszcze ze szkolnych czasów, koleżanki i przyjaciółki ucałowały się serdecznie.

— Mieszkasz w tej okolicy? — zapytała Janka.

— Odniedawna, w Rozłogach, jeśliś kiedy słyszała o nich. Mieszkamy tutaj dopiero kilka miesięcy; ale ty, ty wciąż w domu? w Bukowcu?

— Powiedz: znowu w domu, znowu w Bukowcu. Co tam! pomówimy obszerniej później, tymczasem zabieram cię do nas.

— Nie, bo jedziemy wprawdzie do Bukowca, ale na stację i pierwszym pociągiem do Warszawy. Zpowrotem z całą przyjemnością wstąpimy. Boże, to już coś z pięć lat nie widziałyśmy się!

— Tylko pięć! Dawno wróciłaś z Paryża?

— Cztery lata temu, byłam tam rok tylko.

— Miałam do ciebie żal i mam go do dzisiaj, żeś ani słóweczkiem nie zawiadomiła mnie o sobie, a ja nie wiedziałam, gdzie cię szukać. Zapytywałam się o twój adres, przed rokiem, Haliny, ale i ona nie wiedziała.

— Usprawiedliwień pewnie że nie znajdę, ale przebaczyć mi musisz, tymczasem. Panna Orłowska, mój mąż — przedstawiała wysokiego blondyna, który nadszedł, bardzo przystojnego i bardzo pospolitego. — Jedź z nami do stacji, to pomówimy o tem.

— Dobrze, zaczekajcie, pójdę ojcu powiedzieć o tem.

W kilka sekund była już zpowrotem, czuła się bardzo uradowaną ze spotkania z przyjaciółką.

— I co robisz? — spytała Helena, kiedy już jechali, obserwując ją drobiazgowo.

— A cóżby! Jestem panną na wydaniu! — rzuciła ironicznie Janka.

— Niezabawna pozycja, to prawda.

— O, przepraszam cię, Helu, ale swobody widzę nie oceniasz dostatecznie.

— Doskonałe grunta! — zaczął Woliński, zbudzony milczeniem, jakie zapanowało.

— Znacie się już państwo z okolicą? Dzisiaj w kościele była prawie w komplecie.

— Prócz najbliższego sąsiedztwa, nikogo. W tym kościele byliśmy dzisiaj po raz pierwszy, bo to nie nasza parafja i dosyć daleko od nas. Wstąpiliśmy po drodze, jadąc do kolei.

— Jechałam z planem, że jeśli cię znajdę w Bukowcu, to cię zabiorę, choćby siłą, do nas.

— Nie odmawiam i nie przyrzekam. Mama żyje, zdrowa?

— O, żyje, dziękuję.

— Czy ten pan, co cię w rękę całował, jest... — pytała żywo, zmieniając temat rozmowy.

— O nie, nie! To tylko bardzo dobry znajomy — zaprotestowała energicznie Janka.

Umilkły obie i z zakłopotaniem spoglądały na siebie.

Nie wiedziały, o czem mówić z sobą, były sobie już zupełnie obce i nieznane prawie.

Dojechali do stacji. Wolińscy nie mieli czasu na odwiedziny, bo pociąg zaraz przyszedł, obiecali tylko solennie, że za powrotem wstąpią.

XIII

Do pociągu, którym przyjeżdżał Głogowski, było jeszcze kilka godzin.

Jankę teraz, gdy została sama, opadły przypomnienia niedawnej sceny w kościele i z taką siłą ją żarły, że poszła do fortepianu, starając zagłuszyć się i utonąć w muzyce.

Przybiegła wkrótce Zaleska i siedziała w milczeniu, z podziwem przypatrując się jej bladej twarzy i oczom posępnie świecącym; była także w kościele razem z Osiecką i Zosią, i słyszała, co mówiono o niej. Po kilka razy zaczynała mówić, pragnęła pocieszyć, ale ten posępny spokój, w jaki zapadła Janka, powstrzymywał ją i onieśmielał; siedziała długo i, nie mogąc się doczekać końca gry, wyszła cicho.

Janka roztapiała się w dźwiękach, improwizowała jakąś dziką fantazję, pełną burzy i piorunów, która orkanem zrywała się ze strun i biła ostremi rytmami w jej duszę.

Później chodziła po ciemnem mieszkaniu i wyglądała co chwila na sygnały, czy podane. Myśli jej były niby węże ogniste, gryzły i oślepiały, niby błyskawice, wijące się w mrocznych przestrzeniach krwawemi biczami.

Pociąg przyszedł wreszcie. W świetle latarni powozowych dojrzała Głogowskiego. Wzruszenie ją ogarnęło. Słyszała, że idzie z ojcem po schodach, że już jest w przedpokoju, i ruszyć się nie mogła z krzesła; dopiero usłyszawszy głosy, podniosła się i wyszła naprzeciw.

Głogowski, tym tak dobrze znanym ruchem, wyciągnął do niej ręce.

— No! niech zdechnę! niech zdechnę teraz, kiedy oczy moje widziały panią w zdrowiu — wołał, całując ją po rękach i bijąc się w piersi. Jasno-szare oczy promieniały radością,

rozwichrzone, jasne włosy trzęsły się i spadały na czoło bezładnie, a usta i cała twarz tak mu się śmiały szczerą, dziecinną radością, że i Jankę przeniknął nastrój radosny.

— Zaraz na peronie przedstawiłem się panu Orłowskiemu, no i jestem. Moi drodzy! — zawołał do Rocha — dowiedzcie się, czy są już konie od państwa Stabrowskich.

— Ależ... przysięgam Bogu, że pana tak zaraz nie puścimy, musi pan zostać choćby do jutra — protestował Orłowski.

— Musi pan zostać, bo tak chcemy — odezwała się po raz pierwszy do niego Janka.

— Stwierdzam gwałt, na osobie wolnego obywatela popełniony, ulegam przemocy i zostaję. Powiem jedno, czego szanowny pan dobrodziej za złe mi wziąć nie zechce, bo o pannę Janinę jestem spokojny: otóż jeść mi się chce tak cacanie, że... — rozkrzyżował ręce komicznie.

— Czekaliśmy umyślnie na pana z obiadem i natychmiast podadzą.

— Panie! — zaczął poważnie Orłowski po wyjściu Janki, biorąc go za ręce. — Winienem ci więcej niż wdzięczność, bo życie córki i swoje; bo gdybyś był nie podał depeszy o chorobie Janki, nic byłbym nie wiedział; nie pojechałbym, onaby umarła i jabym nie żył. Chciałem dawno podziękować panu za jego dobroć, a że nie mogłem, czynię to teraz całą duszą i proszę: rozporządzaj mną w zupełności, pozwól sobie czem wywdzięczyć.

— Niech... — powstrzymał się. — Jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo podziękowań, to słowo honoru daję, że, chociażby pieszo, w tej chwili uciekam.

— No, to pozwól się pan chociaż ucałować.

— O, to, to i owszem, tego możemy używać!

Ucałowali się serdecznie.

— Zrobiłem tylko to, co zrobić byłem powinien. Ludzie poto żyją w jakimś statku, aby pomagać sobie, jest to najczystszy egoizm, bo co dzisiaj zrobię Piotrowi, to Piotr dla mnie jutro, uważa pan dobrodziej? Ależ to piękny krajobraz! — zawołał, przystępując do okna i patrząc na lasy, oświecone księżycowem światłem.

Orłowski przyglądał mu się bacznie; jakieś przykre podejrzenie, które napróżno chciał stłumić w sobie, niepokoiło go. Przez cały obiad prawie się nie odzywał, tylko z chciwością chwytał ich spojrzenia i słowa, śledził uśmiechy, słuchał ze skupieniem, ale nie mógł złapać nic podejrzanego, bo w ich zachowaniu się była tylko wielka przyjacielska zażyłość, pełna szacunku i życzliwości.

— Niedługo byłem w Radomskiem — opowiadał Głogowski. — Mój chlebodawca zaczął mi mówić:

„Niech siada, niech weźmie, niech uważa na synków". Skończyłem z nim w ten sam sposób, powiedziałem:

„Niech zapłaci, niech zdechnie, niech sam uczy synków" — i wyjechałem. Teraz siedziałem trochę w Warszawie.

— A pan nie urzędował nigdzie? Przecież byłoby wygodniej dostać jaką posadę, chociażby na kolei; mógłby pan siedzieć w Warszawie i równocześnie oddawać się literaturze, toby jedno drugiemu nie przeszkadzało.

— Dwa razy już próbowałem posad. Na pierwszej byłem dwa miesiące, a że się tak zdarzyło, iż w tym czasie pisałem jakiś dramat, więc zapomniałem trochę o biurze i nie byłem coś z miesiąc. Sztukę skończyłem, ale z posady mnie wybębniono. Drugi raz dostałem się na kolej i wytrzymałem całe dwa lata, bom sobie powiedział: basta z literaturą, nawet w domu nie miałem jednej ćwiartki białego papieru, nie nosiłem notesu, ani biletów wizytowych, ba, nawet nie miałem czystych mankietów, że mi się bazgrać nie chciało. Chodziłem do biura niby zegarek, pracowałem usilnie, idjociałem tak wzorowo, że w końcu dwóch lat zrobiono mnie jakimś małym naczelnikiem. Urządziło się dla oblania nominacji wspaniałą bibkę, piliśmy bruderszaft, całowaliśmy się z dubeltówki, później mówiliśmy z kolegami sobie ty, jednem słowem w moim oddziale panował raj, bywało u nas weselej, niż na maskaradzie. Raz woła mnie mój naczelnik i bardzo delikatnie daje mi do zrozumienia, że nie powinienem się poufalić z podwładnymi, że brak mi powagi, że powinieniem trzymać się więcej po naczelnikowsku, no i t. d. Uśmiałem się szczerze.

— Przysięgam Bogu, ale pański naczelnik miał zupełną rację.

— Tak, ale i ja miałem pewne racje, aby się śmiać z tego.

— Ciekawy jestem rozwiązania.

— Zaraz nastąpiło — mówił wesoło, wstał i chodził dookoła stołu, bo pięciu minut nie mógł wysiedzieć na jednem miejscu. — Któryś z kolegów napisał humorystyczną scenę na ten temat, bo im opowiedziałem, i umieścił w jednem z pism. A że wiedziano o moich dawnych stosunkach z literaturą, przypisano to przestępstwo mnie. Naczelnik śmiertelnie się pogniewał i ubliżył mi publicznie, nie pozostałem mu dłużnym, w następstwie czego posłałem mu grzecznie kartkę, ale on postarał się o dymisję dla mnie zamiast odpowiedzi. — Roześmiał się serdecznie i nerwowym ruchem wichrzył czuprynę, i szybciej biegał dookoła stołu.

Orłowski, zirytowany, zaczął mu tłumaczyć idee zwierzchności:

— Nie można inaczej, przysięgam Bogu, nie można. Trzeba cugle trzymać w garści i batem jeśli nie bić, to świstać przynajmniej, bo inaczej cała buda stanie, i nikt jej później z miejsca nie ruszy.

— Być może, że tak potrzeba, ale ja nie chcę, aby nade mną bat świstał i sam nim świstać nie chcę.

— Musi pan być jednym lub drugim — powiedziała Janka, i przypomniały się jej dawne, nieskończone z nim dysputy.

— O, za pozwoleniem, jest jeszcze galerja, są widzowie, którzy przypatrują się hecy i którzy się tem bawią lub nudzą. Otóż ja często jestem tylko takim widzem, ale szelmostwo... — potarł czoło i rozgarniał włosy. — Nie mogę długo się przypatrywać obojętnie, no i zawsze głupstwo zrobię, uważa pani dobrodziejka.

— Tak, to niebezpiecznie, skończy pan pod kołami, bo albo w pociągu, albo zdaleka od niego — zawołał energicznie Orłowski, chwytając brodą zębami, i rzucił się w gorącą dyskusję.

— Proszę panienki, państwo z Krosnowy przyjechały — zameldowała Janowa.

Orłowski wyszedł z Janką. Głogowski tylko chodził dalej naokoło stołu i myślał:

— Co to jest, to nie ta dawna Orłowska! Spokojna, zimna, uroczysta, jak bogata panna na wydaniu; czyby ją choroba tak przemieniła! Do djabła, niech zdechnę, ale mi ją skleili na inny fason, na podły fason.

Nie miał już czasu więcej myśleć, bo go Orłowski zabrał i wiódł przedstawić Grzesikiewiczowi. Już zdaleka szeptał: bardzo mi przyjemnie — szastał nogami i rzucał głową, jak koń ściągany zbyt mocno mundsztukiem.

Grzesikiewiczowa siedziała na fotelu uroczyście, odrzuciła nieco przydługi tren swojej mantynowej, błyszczącej i twardej, jak blacha, sukni, żeby się nie wygniotła, poprawiła starannie czarny, koronkowy czepek na głowie, sprawdziła, czy tkwią w uszach olbrzymie kolczyki bursztynowe, w formie gruszek, które się opierały już o ramiona, i bardzo cicho mówiła do Janki, bo jej wrodzona nieśmiałość spotęgowała się jeszcze obecnością Głogowskiego i tym świątecznym strojem, w jaki ją Józia zmusiła dzisiaj się ubrać.

— Nie mogliśmy wcześniej przyjechać, bo Józia była.

— Dlaczego mąż nie był łaskaw?

— A bo widzi panna... przyjechał ten Witowski, i zabrał go ze sobą. Ja się go zawsze tak boję, że uciekam, bo to wygląda kiej czysty antychryst, więc i starego nie zatrzymałam. A to ten djabeł podobno... — nachyliła się i szeptała pocichu, rzucając przeciągłe spojrzenia na Andrzeja, który czuł się nieco skrępowany obecnością Głogowskiego i spoglądał na niego niebardzo przyjaźnie.

— Gdzieś musiałem widzieć tego śledzia! — myślał, podkręcając wąsów.

— To mięso jest mi skądś znane, ale skąd? — snuło się Głogowskiemu.

Zaczęli spoglądać na siebie z niechęcią.

Orłowski przysiadał się do nich kolejno i rozpoczynał rozmowę, ale się nie kleiła, bo Głogowski zadumywał się, a Andrzej nieznacznie patrzył na matkę, która coś żywo opowiadała Jance i wskazywała go brodą, a zresztą, był jeszcze głęboko wzburzony kościelną sceną, bo to, co usłyszał na konto Janki od znajomych — a nikt mu nie szczędził szczegółów i uwag, bo nie zdradził się ani jednem drgnieniem, jak bardzo go to obchodzi — darło poprostu wnętrzności jakby sierpem. Patrzył teraz co chwila w jej twarz, szczególniej dzisiaj piękną i rozjaśnioną, i uspokajał się nieco, ale znowu ten Głogowski! Co za jeden, skąd się oni znają? Niepokój w nim rósł i niechęć. — Może konkurent? — myślał, i tak go ta myśl ugryzła, że się raptownie zwrócił do niego.

— Skąd ja pana znam? — zapytał Głogowski prosto, uprzedzając.

— Nie wiem i nie będę z pewnością myślał o tem — odpowiedział Andrzej szorstko.

— A, pamiętam! Był pan latem u panny Janiny w Warszawie. Przyszliśmy całą bandą po nią, bo jechaliśmy na majówkę, pan zaraz wyszedł.

— Tak, ale ja pana sobie nie przypominam — mówił z pewną złością; ale uderzony tem przypomnieniem, przysunął się bliżej i spojrzał mu w oczy. — Pan zna pannę Janinę z teatru?

— Tak, i z teatru, i z za kulis, i z domu — mówił wolno Głogowski, bo mu się wydał dosyć zabawnym sposób, w jaki go traktował Andrzej.

— Pan jest aktorem? — zapytał Grzesikiewicz twardo, i spojrzał na niego pogardliwie.

— Cofnij pan ten uśmiech nieskończonej pogardy, bo, niestety, nie mnie się należy, nie jestem aktorem, jestem tylko dotychczas dramatopisarzem, uważa pan dobrodziej?..

— Daruje mi pan, nie chciałem ubliżyć, słowo honoru na to daję, ale na wspomnienie aktorów teatru nie mogę się powstrzymać, aby nie poczuć nienawiści i wstrętu.

— Pan musi potężnie kochać i potężnie nienawidzieć — szepnął Głogowski, ciekawie przypatrując się jego silnie sklepionemu czołu i rysom ostro ciętym.

— Tak, tak, tak!.. — odpowiedział Andrzej przez zaciśnięte zęby, i oczy strzeliły mu takim silnym płomieniem woli, i taka moc rozbłysła mu w twarzy, że Głogowski aż zadrżał z radości, iż spotkał taki piękny okaz; przysunął się bliżej, żeby porozmawiać obszerniej i obmacać mu nieco duszę.

— Daruje mi pan zapytanie: dlaczego aktorów i teatru pan tak nie lubi?

— Bo cierpiałem i jeszcze cierpię przez nich.

— Więc tylko z czysto osobistych pobudek; to zmienia dosyć znaczenie.

— Nie, panie, to nic nie zmienia. Ponieważ coś robi mi źle, więc to coś nienawidzę całą duszą.

— Ale dla drugich to samo może być dobrem.

— To drugich obchodzi, dla mnie jest złem, więc jest złem — powiedział z naciskiem.

— Jędruś! — zawołała stara.

Jędruś poszedł do matki i zaraz wyszedł do przedpokoju po chusteczkę, której stara zapomniała w kieszeni okrycia.

— Pyszny okaz nieuspołecznionego jeszcze bydlęcia, pierwotniaka! pyszny! — myślał Głogowski z zadowoleniem, bo nienawidził ludzi zlepionych z kompromisów. — Jedna bryła, być może, że tylko glina, ale czysta, bez wiórów we łbie.

Andrzej usiadł na dawnem miejscu zpowrotem, ale nie mówił nic, patrzył na Jankę, której Janowa przyniosła heljotropowy bilecik. Przeczytała go, szepnęła coś potakująco Janowej, ale podniosła się i przystąpiła do ojca, który siedział jakiś zmieniony, oglądał się często dokoła, przecierał czoło, gryzł brodę i zapadł w zamyślenie.

— U Zaleskich są goście: Osiecka, Zosia i Świerkoski. Zaleska mi to pisze i prosi o pożyczenie nakrycia, ale przyszła mi myśl: możeby wszystkich zaprosić do nas, byłoby weselej; jak ojciec uważa? — szeptała cicho.

— Dobrze, zaraz pójdę ich prosić; bardzo dobrze, urządzimy sobie preferansa.

— Ile razy pan Głogowski powiedział panu: niech zdechnę? — zagadnęła, zatrzymując się przed Andrzejem.

— Doprawdy, że nie zauważyłem.

— Oho! niech zdechnę już umarło! Odzwyczaiła mnie od niego narzeczona.

— Ma pan narzeczoną, no, no...

— Miałem, miałem, ale piękne sny trwają krótko! — śmiał się Głogowski.

— W mieście, to tam pannów nigdy nie zbraknie — powiedziała Grzesikiewiczowa sentencjonalnie, poprawiając suknię i obmacując czepeczek i kolczyki.

— Rzeczywiście tak jest, tylko niema się komu z niemi żenić.

— Bo te miejskie mężczyzny, to ino tak na urwisa, aby ino zawrócić głowy, a tak do ożenku, to ich nima.

Andrzej zagryzał usta do krwi ze złości i dawał oczyma matce znaki, żeby przestała mówić, a Głogowski przysiadł się bliżej, bo chciał więcej usłyszeć. Stara zamilkła, bo wchodziło całe towarzystwo Zaleskich. Wszyscy się znali z sobą, więc tylko Głogowskiego wziął Orłowski pod rękę i przedstawiał.

— Głogowski! — mruknął dramaturg przed Osiecką, która padła na fotel i sapała niby lokomotywa.

— Głogowski! — i spojrzał ciekawie na Zosię, zarumienioną i dygocącą po pensjonarsku.

— Głogowski! — uścisnął wąską, obciągniętą w lapisową rękawiczkę, dłoń Zaleskiej.

— Głogowski! Głogowski! — szepnął już ze złością Zaleskiemu i Świerkoskiemu. Kiwnął się raz jeszcze do próżni, puścił ramię Orłowskiego, splunął i stanął przy fortepianie obok Janki. — Co, mógłbym być lokajem, grzbiet mam wygimnastykowany — szepnął. — Wie pani, że z powodu tych przedstawień, których nienawidzę, zerwę z ludźmi, bo czuję się wtedy, jak się czuć musi małpa, oprowadzana na obroży i ustrojona w sukienkę. Ta bułeczka, to ładna — wskazał nieznacznie na Zosię.

— Panno Janino, może pani nam co zagra! — prosił słodko Zaleski, pochylając się przed nią, aż pokazał cały przedział włosów, od czoła do karku.

— Przy pani Stefanji nie ośmieliłabym się nigdy.

— Zbyt łaskawą jest szanowna pani, doprawdy, że dobrze mówię, iż zbyt łaskawą. — Pochylił się znowu w ukłonie, wykręcił się, musnął wąsików, wyciągnął mankietki, poprawił krawatu i posunął się do Zosi.

— To małpa, stworzona na amanta ogródkowego. Stroi takie miny, jak Wawrzek albo Władek; przypomina pani sobie?

Janka skinęła głową; spojrzała gdzieś przed siebie i odeszła.

— Panowie, a możebyśmy tak partyjkę preferansa urządzili — proponował Orłowski.

— Jeśli panowie tego, to ja i wszem — zamruczał Świerkoski, który w czarnym surducie, sztywny i z miną psa od dwóch dni głodnego, siedział przy Zosi i patrzył na Jankę.

— Ja nie gram zupełnie — powiedział Głogowski.

— Więc... ja, Świerkoski, Zaleski i może pani dobrodziejka — zwrócił się do Osieckiej.

— Owszem. Po śmierci ś. p. mojego męża, to jedyna rozrywka jego biednej, samotnej wdowy... a może i pani zagrałaby z nami?

— O nie; ja nawet kartów nie znam.

Popowstawali wszyscy mężczyźni, bo w sąsiednim, Orłowskiego pokoju, szykowano stolik i zapalono świece. Świerkoski swoim cichym i krętym chodem spacerował po pokoju, liczył wszystkich, kombinował jakieś cyfry, latał oczyma ustawicznie to za Janką, która się krzątała po ojca pokoju, za Andrzejem, rozmawiającym z Zaleskim, to za Głogowskim, który stał na środku saloniku z rękoma w kieszeniach i odrzuconemi wtył ramionami, z przegiętą nieco głową, i przypatrywał się Zosi, szczebiocącej do Zaleskiej.

— Któż dzisiaj pełni służbę, bo widzę tutaj wszystkich — mówiła naiwnie Zosia.

— Pan Babiński z mężusiem, ale do dwunastej zastępuje go sam.

— Prawda! zapomniałam, że tu jest jeszcze pan Babiński.

— Jakże się mają wnuczki pani dziedziczki? No, tak, pani dziedziczki.

— Nie widziałam ich, jak łoni, kiej przeszłego roku — poprawiła się — moja pani Józia miała list od nich niedawno; a no, cóż, są zdrowe, uczą się...

— Prawda, jaka to miła osoba ta panna Janina?

— A juści, że prawda, moja pani, a to daleko szukać takiej panny, bo to i figurna, i piękna, i uczona. Prawdziwa pani.

— Ale i pan Andrzej jak malowanie — cedziła wolno Osiecka.

— Przecież, a dobry! Takich synów to mało na świecie.

— Słyszałam, że się żeni? — badała dalej, dyskretnie się uśmiechając.

— Czasby mu było, ale poczekać jeszcze może... — wywinęła się stara.

— Zmieniłem rower, kupiłem teraz sobie Brensbora; jak dziedzic przyjedzie, to pokażę.

— Aha, to pan niby tego, kołuje... — zapytał Głogowski, wykreślając palcem kółeczko w powietrzu, na wysokości czoła Zaleskiego.

— Trenuję się, panie — poprawił z naciskiem. — Brałem udział w tegorocznym rekordzie Warszawa — Radom, przyjechałem czwarty, bo nie byłem dobrze przygotowany i rower miałem podły, ale na przyszły rok będę pierwszy z pewnością.

— Nic dziwnego, kto ma takie obiecujące nogi! — drwił spokojnie Głogowski.

— Prawda! Zobaczno pan ręką muskuły, stalowe, jak żonusię kocham. — Nachylił się i z dumą obszczypywał sobie łydki. — Zobaczcie, panowie.

— Wierzymy, że to są pierwsze polskie nogi, ale do pana, jako do specjalisty, zwrócę się o informację: poco te treningi, wyścigi i rekordy pan robisz?

— Zostanę championem, pierwszym jeźdźcem na Królestwo Polskie! Zdobędę medal...

— Tak, to ładne, ale co dalej?

— No, będę championem, to niedosyć? — odpowiedział z politowaniem nad jego głupotą Zaleski.

Andrzej odwrócił się nieco, bo Głogowski najpoważniej uścisnął mu rękę i rzekł prawie wzruszonym głosem:

— Panie! pozwól, abym ja pierwszy powinszował ci tego zaszczytu, jest to dla mnie prawdziwy zaszczyt powitać w panu championa nietylko Polski, ale następnie i świata całego. Panie... jakże to?.. — mówił, biorąc go za metalowy guzik munduru.

— Zaleski! Henryk Marjan Zaleski!

— Panie Henryku Marjanie Zaleski! wytrwaj pan w tak wielkim zamiarze, nie zważaj pan, że filisterja i ludzie, którym trochę brak tutaj — stuknął się w czoło — drwią z tej kołowacizny, nazywają to bezcelową zabawką, marnującą czas i zdrowie, że niektórzy doktorzy higjeniści wystąpili przeciw temu sportowi w imię zdrowia, że kobiety są przeciwne temu z jakichś swoich tajemnych racyj, drwij z tego, panie Henryku Marjanie Zaleski, i idź prosto przez przeszkody do szampjonowania, na sławę kraju i rodaków.

— Panie... panie... doprawdy, że nie dosłyszałem...

— Głogowski! Pafnucy Symforjan! — wygłosił powolnie Głogowski i rzucił szybkie spojrzenie na Jankę, która, usłyszawszy te imiona, wybuchnęła śmiechem i odwróciła się śpiesznie.

— O, panie Głogowski, najtrudniej jest usłyszeć mądre słowo zachęty. Dziękuję panu, bardzo dziękuję, a jeżeli pan kiedy zawadzi o Bukowiec, to bardzo proszę do nas na herbatkę, pogawędkę i przekonanie się o mojej jeździe.

— Ja bo miałem już przyjemność nietylko oglądać — rzekł złośliwie Andrzej, oglądając sobie rękę, zalepioną jeszcze plastrem.

— Panie dziedzicu dobrodzieju, wypadki chodzą po ludziach, tak, dobrze mówię, trafiają się wypadki i ludziom... ale przepraszam... — skłonił się, musnął wąsików, wyciągnął mankietki, poprawił krawat i poszedł do żonusi.

— Ależ go pan wypatroszył, niby zająca. Cały się pokazał.

— Panie, ludzi zawsze można wywrócić niby surdut, podszewką nawierzch.

— Pan się tem bawi?

— Nie, ja to obserwuję, to moja specjalność, uważa pan dobrodziej?

— Mężusiu! Henieczku! Kto to ten pan Głogowski?

— Nie wiem, żonusiu, wiem tylko, że to człowiek bardzo rozumny, bardzo światły, że tak powiem. Zaglądałaś do dzieci?

— Anusia przecież tam jest i pilnuje — powiedziała niechętnie.

— Proszę cię, żonusiu, idź zaraz i przekonaj się, czy śpią! — szepnął twardo i despotycznie, uśmiechając się jednocześnie z niezrównaną słodyczą.

— Panowie! stół gotów! — wołał Orłowski, trzaskając kartami.

— Gdybym miała syna, to sama wybierałabym mu żonę, bo już mój ś. p. mąż mówił, że i najlepiej wychowane panny mogą... uważa pani, no mówię, że mogą wyprowadzić w pole mężczyznę. Mój ś. p. mąż znał się na tem, idę... idę... no idę... — powiedziała głośno i ze złością, podniosła się z fotelu i poszła do kart, aż się podłoga gięła pod nią.

— Panno Janino, kto jest ten pan Głogowski? Bo mężuś mówi, że bardzo rozumny...

— Literat: dramaturg i powieściopisarz — objaśniła ją Janka i poszła dalej, uśmiechając się.

— Literat! — szepnęła, poprawiając sobie odruchowo grzywkę, w subtelne kółeczka opadającą na czoło. — Dramaturg! — uśmiechnęła się czarująco. — Powieściopisarz! — przysłoniła oczy rzęsami i usiadła przy Głogowskim, który zaczął właśnie przeglądać album, leżący na stole, i przypatrywał się fotografji Janki.

— Prześliczna twarz, ma w wyrazie coś muzycznego — szepnęła, poprawiając sobie pierścionek.

— Dobre określenie! — odpowiedział żywo. — Tak, jest w tej twarzy coś rytmicznego. Pani zapewne uprawia muzykę?..

— Trochę, o ile można ją uprawiać na wsi; jest to jedyna moja przyjemność.

— Prawdopodobnie wielka.

— O, nadzwyczajna! Czyżby bez muzyki możebnem było wyżyć w Bukowcu, wpośród ludzi obojętnych na cele wyższe, na przyjemności subtelniejsze, na sztukę. Podziwiam pannę Janinę, że ona może tutaj wytrzymać, pomimo, iż jest wolna, bo ja muszę, mnie trzymają obowiązki... — westchnęła lekko.

— Mężuś, dziateczki! — westchnął współczująco.

— Jedynie marzenie o sztuce, nadzieja trzyma mnie na powierzchni tego życia okropnego. Pan, jako poeta, jako artysta...

— Siedem pik, bez atu!

— Ręka!

— Siedem trefl!

— Ręka!

— Siedem kierów.

— Przejdę się, ręka! — strzelały słowa licytacji z pokoju karcianego.

— Istotnie, kto ma nadzieję, ten ma wszystko. — I w dalszym ciągu oglądał album, a Zaleska szarpała palce z niecierpliwości i nie mogła znaleźć tematu rozmowy, którą koniecznie chciała prowadzić; wreszcie po długiej pauzie zaczęła:

— To pańska nowela p. t. *Zacisze*, prawda?

Głogowski skinął głową niechętnie, nie lubił rozmawiać o swoich pracach.

— Prześliczna! Uwierzy mi pan, że płakałam serdecznie nad tą biedną Zośką, płakałam. Jest w tym obrazku szopenowska melancholja i smutek. Wyobrażałam sobie autora, że musi mieć jasne, bujne włosy, jak pan, że musi być dobry, smutny i cierpiący.

— Na żołądek i nerki — wtrącił cicho. — Spotkał panią pewien zawód, bo nie jestem dobry, a jestem bardzo wesoły i niecierpię melancholji — mówił ironicznie.

Patrzyła na niego szeroko otwartemi oczyma i z głęboką przykrością słuchała objaśnień.

— Panno Janino! — zwróciła się Grzesikiewiczowa do Janki, która usiadła przy niej na chwilę. — Czem jest ten pan? — wskazała Głogowskiego.

— Literat, pisarz — tłumaczyła cicho.

— Pisarz? ze dwora jakiego, czy z kolei?

— Nie, to, widzi pani, taki pisarz, co układa i pisze książki...

— Naprawdę taki, co to książki pisze!... Ale on na pobożnego wcale nie wygląda...

— Do nabożeństwa książek nie pisze — mówiła już zniecierpliwiona jej naiwnością.

— A ino jensze, takie do uczenia, co się to Jędruś w klasach uczył...

— Nie, powieści, dramata, krytyki...

— To niby takie historje, kiej o Magielonie! Aha, rozumiem! To pewnie i gazety pisze?

— Pisze — zakończyła krótko. — Pani Zofjo! zaziębi się pani! — zawołała do Zosi, która otworzyła lufcik i wychyliła głowę na peron, bo Staś, nie mogąc zejść ze służby, co parę minut wychodził z kancelarji, spacerował pod oknami i uśmiechał się słodko ku niej. Zamknęła lufcik i siedziała przy klawjaturze, przeglądając nuty, ale tak blisko szyby, że bez trudu widziała przez nią Stasia.

— Proszę odkryć karty!

— No cóż wielkiego, bez trzech leży pan Świerkoski.

— Ś. p. mąż mój zawsze mawiał...

— Panie Zaleski, pan mnie poderwałeś, wyszedłeś pan w dziesiątkę, a powinieneś był w ósemkę.

— Panie Świerkoski! Pozwoli szanowny pan dobrodziej, ale ja wiem, w co wyjść powinienem.

— Panie Zaleski!... — syczał coraz ciszej Świerkoski i trzęsła mu się cała twarz, a żółtawe oczy tryskały prawie iskrami i przebijały Zaleskiego.

— Muzyka, to archanielskie skrzydła duszy! — deklamowała przyciszonym, rozemdlonym głosem. — To szybowanie w przestworzach szczęścia...

— Z mężusiem i dziateczkami! — odpowiedział prawie głośno Głogowski. — Może pani nieco rozwinie tych skrzydeł, chciałbym bardzo usłyszeć grę pani.

— Dobrze... ale... — spojrzała niespokojnie w stronę mężusia, usiadła przy fortepianie i zaczęła delikatnie trącać klawisze, ale przestała.

— To chyba później, teraz czuję się tak jakoś zdenerwowaną.

Wrócili do stołu, Janka usiadła przy nich, i rozmawiali. Zosia znowu wyglądała lufcikiem. Grzesikiewiczowa co chwila dotykała czepeczka i kolczyków, poprawiała suknię i nadstawiała pilnie uszu na ich rozmowę, bo spojrzenia, jakiemi Głogowski obrzucał Jankę, któremi się porozumiewali, gdyż Zaleska wygadywała niezmiernie śmieszne dzieciństwa, intrygowały ją i niepokoiły, usposabiając niechętnie do niego. Chciała iść i zawołać Jędrusia, powiedzieć mu, żeby siedział przy pannie; ale na myśl, że musi się podnieść i przejść przez pokój, że wszyscy będą patrzyli na nią, dała spokój i siedziała nieruchomie.

— Licytowałam bez atu! Jak ś. p. męża kocham, bez atu, no, kiedy mówię, że bez...

— Ale przysięgam Bogu, że nikt tego nie słyszał.

— Tak! tak! nikt tego nie słyszał! — rozległ się drewniany głos Świerkoskiego.

— Szanowna pani dziedziczka dobrodziejka zapomniała, tak, dobrze mówię, nie uważała za stosowne powiedzieć, że bez atu — tłumaczył uprzejmie Zaleski, pociągając mankietki.

— Co mi pan będziesz gadał: zapomniałam! Mój panie, ja więcej lat grywam w karty, niźli ich pan masz, i gram dobrze; mówił mi to jeszcze ś. p. mąż, a panowie mi zarzucają omyłkę, no tak, jeśli mówię omyłkę, to omyłkę! Ś. p. mąż mój...

— Daruje pani, gramy dalej i niebardzośmy ciekawi, co o tem myślał ś. p. mąż pani — powiedział szorstko Andrzej. — Kto gra, musi ulegać kontroli. Panie Zaleski, weź pan kurę od pani Osieckiej.

— Dobrze, zabierzcie, piszcie, tylko szanujcie imię ś. p. męża, który...

— Jedziemy! ośm w pikach! podać sygnał! — zawołał Orłowski, grzmotnął pięścią w stół, aż podskoczyły lichtarze i popielniczki. Osiecka zamilkła, połykała łzy i przez łkanie jakieś szepnęła łzawo:

— Przejdę się, panie Orłowski! wistuję! ale się pan położy!

— Zobaczymy, zobaczymy — szeptał Orłowski, wybijając nogą jakiś takt, i uśmiechał się do kart, trzymanych w ręku, szarpał brodę, rzucał z pod binokli drwiące spojrzenie i bił karty o stół z siłą.

Zapanowała chwila zupełnej ciszy, tylko szelest kart i sapanie Osieckiej rozlegały się po mieszkaniu.

Andrzej, który po rozdaniu był wolnym, przyszedł i usiadł na chwilę.

— Pani się dzisiaj nie nudzi, taka ożywiona twarz, jak dawno nie widziałem.

— O tak, jest to pierwszy dzień w Bukowcu, w którym się czuję zupełnie dobrze.

— Powinniśmy być wdzięczni panu Głogowskiemu, bo to jego zasługa...

— Dlaczego ironja dźwięczy w pańskim głosie? Opowiem panu kiedy, jak wiele mi zrobił dobrego ten człowiek, więc nic dziwnego, że się uradowałam, zobaczywszy go.

— Głównie, że pani przypomina teatr, tamte czasy...

— Panie Andrzeju, jeśli chce pan usłyszeć, to powiem krótko: teatru obecnie nienawidzę, a tamtych czasów nie przeklinam, ale patrzę na nie, jak na smutną szkołę, jak na tragiczną lekcję życia. Powiedziałam całą prawdę; wierzy pan?

— Wierzę i dziękuję pani z całego serca! — szepnął uszczęśliwiony.

— Panie Andrzeju! — zawołano.

Dotknął się jakimś pieszczotliwym ruchem jej ręki, rzucił na nią jedno z tych głębokich spojrzeń, jakie zamykały całą jego miłość i poszedł...

Janka patrzyła za nim i także poszła do jadalnego pokoju, pilnować nakrywania stołu.

— Zazdrosny jest, ale ja się przed nim zaczynam już tłumaczyć, dlaczego? — myślała, a w sercu nie miała ani gniewu, ani obojętności zupełnej, ale wdzięczność jakąś słodką za jego dobroć.

— Panno Janino, czy ja z panią kilku słów swobodnie nie zamienię dzisiaj — mówił półgłosem Głogowski, wsadzając głowę we drzwi. — Niech mi pani przy stole wyznaczy

miejsce przy sobie, honorowe, jako gościowi! — cofnął się, bo Zosia chciała przejść do stołowego. Zeszła aż na korytarz stacyjny i pod drzwiami kancelarji zaczęła głośno wołać:

— Rochu! Rochu!

Staś, usłyszawszy wołanie, wyszedł. Zapłoniła się i z najniewinniejszą minką pytała:

— Chciałam, aby Roch poszedł i zobaczył, czy koń nasz ma jeszcze obrok w opałce. Pan na służbie? Myślałam, że pan gdzie wyjechał!...

— Tak mi służba nieszczęśliwie wypadła, że nie mogę być u Orłowskich.

— Wierzę, że pan żałuje, bo jest tam i pani Zaleska, a panna Janina cudownie dzisiaj wygląda.

— Panno Zofjo! — zawołał z wyrzutem, biorąc ją za rękę.

— Do widzenia, do widzenia. Roch pewnie jest na peronie. — Ścisnęła mu dłoń i uciekła.

— Może Roch po kolacji opatrzy naszego konia, trzeba go będzie napoić — mówiła w kuchni.

— Napoić! e... a juści, że sie juchę napoi! Gospodarna panna, ho! ho! gospodarna! — szeptał Roch.

— Przecie, taka szlachetna panna, a sama myśli o koniu — powiedziała Janowa.

Zosia cichutko prześlizgnęła się do saloniku, gdzie już wszyscy po skończeniu preferansa kłócili się i rozmawiali.

Świerkoski tylko, z talją kart w ręku, został przy stoliku i sprawdzał półgłosem:

— Biję asem, daję młódkę, daję dziesiątkę — przebija mi waletem atutowym; daję damę kier, biję ją siódemką atutową — dobrze; daję ósemkę, zrzuca mi obcego asa... — nie tak — łupię królem atutowym, przebija mi asem, gwałtu! Leżę bez nóżki ze sześciu!

Położył karty, obszedł stolik parę razy i znowu medytował zirytowany przegraną, i odszedł dopiero do kolacji, która bardzo była gwarną, ale wszystkie głosy przenosił i pokrywał bas Osieckiej, która przez stół do Andrzeja liczyła na palcach karty i wyjścia, i przekonywała, że dobrze grała. Świerkoski temu przeczył półgłosem, Zaleski uśmiechał się dyskretnie, podkręcał wąsiki, wyciągał mankietki i obcierał co chwila serwetką różowe usta. Podawał mechanicznie obok siedzącej Zosi wszystko i prawił jej w przerwach komalimenty, z których dziewczyna śmiała się do rozpuku i rzucała ciekawe spojrzenia na Jankę, siedzącą nieco dalej, pomiędzy Grzesikiewiczową a Głogowskim, z którym ciągle mówiła pocichu, o ile mogła, bo co chwila podnosiła się, by dyrygować Rochem, który w odświętnym, szarym mundurze z czerwonemi wypustkami, czysto wymyty i wygolony, pełnił rolę lokaja. Andrzej, pomimo że dzisiaj szczególniej jakoś pamiętała o nim, siedział naprzeciwko i chwytał oczyma ich szepty. Zazdrość cicha gryzła go boleśnie, ale się zmuszał do rozmowy z Orłowskim, który był dziwnie roztargniony, podnosił się, odbierał z rąk spoconego Rocha półmiski, obnosił je sam, siadał, oglądał się dokoła, słuchał rozmów, czasem mieszał się do nich, ale nic nie rozumiał, co mówią. Zdawało mu się ciągle, że ktoś mówi mu do ucha, i męczył się tem, że nie mógł zrozumieć, skąd ten głos pochodzi. Zaleska, siedząca obok niego, patrzyła melancholijnie w zapalone świece, przelotnie spoglądała na Głogowskiego, czasem uśmiechała się do mężusia i bezwiednie przebierała palcami po serwecie.

Po kolacji porozdzielali się, i zaczęła się gwarna i bezładna rozmowa. Zaleska usiadła do fortepianu i długo grała.

— Ależ pani gra wprost znakomicie! — powiedział Głogowski, gdy skończyła i usiadła przy stole.

— Cóż z tego, kiedy muszę siedzieć w Bukowcu.

— Powinna pani koniecznie wystąpić publicznie, w Warszawie.

— To są moje dawne marzenia, dotychczas, niestety, niespełnione.

— Doprawdy, przyznam się szczerze, ale nie spodziewałem się spotkać z takim talentem w Bukowcu.

— Ja dawno czuję, że mam talent, dawno! — i zaczęła mu opowiadać o swoim występie, o owacjach, o kwiatach; powtarzała słowa krytyków muzycznych, mówiła, ile ma lat i ile dzieci, że lubi kolor heljotropu, takież perfumy i pralinki, które jej kuzyn przysyłał z Warszawy. Skończyła tem, że znowu usiadła do fortepianu, zagrała jakąś piosenkę

Tostiego i śpiewała niewielkim, ale dosyć wyrobionym głosem. Posypały się brawa i podziękowania.

— Panie Zaleski, zaśpiewaj pan, wiemy, że pan ma piękny głos — prosiła Janka, prośbę poparli wszyscy, prócz Świerkoskiego, który nie mógł darować przegranej i chodził teraz po saloniku, liczył meble, świece i ludzi, kombinował różne cyfry i zapisywał na mankiecie, zresztą dosyć brudnym.

Zaleski, po zwykłej serji wymawań, rozpiął guzik munduru na piersiach, pogładził wąsiki, wyciągnął nieco mankietki, wyprężył pierś, stanął w postawie bohaterskiej obok fortepianu i huknął barytonem *Starego kaprala*.

— Dobry głos, zupełnie sceniczny! Powinieneś się pan uczyć i iść na scenę, karjera pewna — powiedział mu Głogowski zupełnie na serjo, gdy skończył śpiew.

— Słyszysz, mężusiu, co pan Głogowski powiedział, a pan, jako literat i krytyk, zna się znakomicie i mógłby ci swoim wpływem w prasie wiele pomóc.

Zaleski czuł się wniebowziętym z zadowolenia i śpiewał jeszcze kilka piosenek, żeby pokazać siłę głosu Głogowskiemu.

Po północy zaczęli się szykować i podnosić do rozejścia. Świerkoski wyniósł się najpierw, bo zobaczył Rocha w stołowym, więc wykombinował, że w przedpokoju nie będzie, a on nie potrzebuje dać mu na piwo za podanie palta.

Osiecka, już w kapeluszu i okrywce, zaczęła płaczliwie lamentować.

— Kto mnie z panów odwiezie, tak ciemno dzisiaj, że się boję sama, a stangreta nie wzięłam, no, tak, kiedy mówię, że nie wzięłam, to nie wzięłam! — zakrzyczała, czerwieniąc się z irytacji, chociaż nikt jej nie przeczył. — A możeby pan Babiński! — dodała, usłyszawszy wporę szept Zosi. — Ale, prawda, pan Babiński na służbie.

— Ja go natychmiast zastąpię, to będzie paniom służył — powiedział Zaleski.

Grzesikiewiczowa ucałowała Jankę serdecznie i bardzo usilnie zapraszała do siebie.

Andrzej był niewyraźny, czuł jakiś żal do Janki, gniewał go jej humor, bo wiedział, że on nie był jego sprawcą.

XIV

Głogowski miał spać w pokoju Orłowskiego. Wkrótce cała stacja utonęła w ciemnościach i w śnie, tylko Stasio siedział na przedniem siedzeniu bryczki razem z Zosią i powoził wolno, bo noc była ciemna i pełno wybojów i korzeni na leśnej dróżce.

— Pan się pogniewa, że go tak fatygujemy? — zapytała pierwsza, bo Staś milczał uporczywie.

— O, przeciwnie, jestem uradowany, jestem bardzo szczęśliwy, bardzo... — umilkł znowu.

— Co panu jest, panie Stanisławie? — zapytała szeptem, biorąc go pod rękę, bo siedzenie było tak wąskie, że co chwila obawiała się wylecieć.

— Zmartwiony jestem, bo mama napisała mi taki list... — urwał, cmoknął na konia.

Osiecka, rozwalona niby w fotelu na swojem siedzeniu, chrapała.

— Pamięta pan, że mi pan obiecał wszystko zrobić, o co poproszę.

— Pamiętam, wio kary, wio! — uderzył konia batem bardzo energicznie.

— Otóż, ja teraz proszę o powiedzenie mi swojego zmartwienia.

— Nie, nie śmiałbym, nie mógłbym nawet, nie...

— A jeżeli mnie to obchodzi bardzo, bardzo... — szepnęła słodko, przyciskając się do niego ramieniem.

Stasia przeszedł dreszcz, chciał się odsunąć, bo jej oddech palił mu twarz, ale nie było gdzie się usunąć. Milczenie zapanowało pomiędzy nimi. Las szumiał tajemniczo w czarnych głębiach. Księżyc rzucał złotawe blaski na mchy i lśnił arabeskami fantastycznego rysunku na czerwonych korach sosen, chmury leciały szybko przez szare sklepienia i co chwila przysłaniały światło.

— Pani się na mnie gniewa? — zapytał po długiej chwili.

Nie odpowiedziała.

— Pani się gniewa? — powtórzył płaczliwie i ujął ją za rękę. Wyrwała mu ją energicznie.

Staś posmutniał i pokornym głosem błagał o przebaczenie. Nie powiedziała mu nic, tylko gdy stanęli przed domem, dotknęła się ustami jego ucha i szepnęła, ściskając mu rękę:

— Przyjdź pan jutro, wieczorem.

Staś wracał na służbę oszołomiony. Stał długo pomiędzy szynami i patrzył na rozświetlone okna Zacisza; coś się w nim rozrastało potężnie, jakiś zachwyt i szczęście przepełniały go całego.

Zaleski spał na kanapie okryty mundurem, aparat milczał. Staś zmienił kamasze na zielone, haftowane złotem pantofle, chodził po kancelarji i nie mógł jeszcze pojąć, co się z nim dzieje. Zażył laurowych kropli, bo serce biło mu przyśpieszonem tętnem, wyjął z kieszeni dzisiejszy list matki i przeczytał go raz jeszcze:

„Mój synu! Odpisuję natychmiast, bo twój ostatni list przeraził mnie poprostu. Co to za panna Zofja? Skąd ją znasz? Jak dawno? Gdzie mieszka? Kto są jej rodzice? To jest najważniejsze, a tego mi nie piszesz, tylko same głupstwa, że ci się *bardzo podoba*. Mój Stasiu, nie jesteś już dzieckiem, więc bądźże mężczyzną. Powinieneś już wiedzieć, co ci się podobać powinno. Pamiętaj, że niema nic niebezpieczniejszego nad młode panny. Każda z nich myśli tylko o jednem, aby się jak najprędzej wydać zamąż, aby złapać jakiego bądź głupca, i potrafią one tak mężczyznę obałamucić uśmieszkami, słówkami, spojrzeniami, że ani się spostrzeże, kiedy już wpadł po szyję. Możesz mi wierzyć, ja się trochę znam na tem, żyję dosyć dawno i patrzę, a ty jesteś niedoświadczony dzieciak. Gdybyś uprawiał mały flircik z Zaleską, gdybyś się jej starał przypodobać, nie miałabym nic przeciw temu, bo mężatka nie może grozić małżeństwem, i przez nią mógłbyś mieć protekcję jej męża! Gdybyś się umizgał do zawiadowcówny, to także nic złego, bo to córka zwierzchnika, panna z naszej sfery i bogata; ale jakaś tam pierwsza lepsza zrobiła do niego oko, a ten już pisze: „podoba mi się ogromnie". Piszę w rozżaleniu, że ośmieliłeś się, nie zapytawszy pierwej matki, zwrócić uwagę na dziewczynę, której ja nie znam. Stasieczku, jeśli mnie kochasz, to bywać u tych pań przestaniesz, wierzę, że tak uczynisz dla matki, która cię tak bardzo kocha i prosi o to. Szelki ci posyłam i z twego listu widzę, że gdyby cię nie uwierały, to możebyś się był oświadczył, ty zapaleńcze. Załączam kawałek pasztetu, bardzo dobry, i cały placek z serem. Na pewno u tej panny takiego ci nie podadzą do herbaty!

„Ostrożnie, drogie dziecko, z pannami ubogiemi i nieznanemi, jak z ogniem. Wuj Feluś całuje cię. Posyłam ci sześć jedwabnych chusteczek; kupiłam, bo mi się bardzo podobały".

To był powód, dlaczego się tak hamował w rozmowie z Zosią. Rozmyślał nad tym listem od rana. Wahał się, postanawiał już więcej nie widzieć Zosi, ale ile razy przypomniał dźwięk jej słów ostatnich i dotknięcie jej ust, drżał ze wzruszenia, łzy zapełniały jego wypukłe oczy, łzy radości — i wtedy zapominał o mamie, o wuju Felciu, o wszystkiem. Czuł, że nie jest w stanie oderwać myśli od niej, że nie potrafi zastosować się do życzeń matki — a równocześnie przesuwał mu się przez pamięć jej cień. Matki, której od dziecka ślepo nawykł słuchać, która prowadziła go przez życie krok za krokiem z największą troskliwością i usuwała przed nim przeszkody wszystkie i cierpienia, i która dostarczała mu nietylko rad, jak ma żyć i postępować, nietylko szelek, placków z serem i pasztetów, ale była gotowa stręczyć mu kochanki, byle go tylko nie wypuścić z opieki i nie stracić nad nim władzy. Rozumiał cały ogrom jej miłości, ale miłość do Zosi brała chwilami górę, budziła się w nim samodzielność, wyprostowywał się z energją, chciał nawet list przedrzeć i właśnie przez bunt robić wszystko naprzekór swej matce, ale skończyło się na tem, że list przeczytał raz jeszcze, ucałował go i poddał się biernie losowi. Przyjmował i wysyłał depesze ze zwykłą mechaniczną bezmyślnością, zapisywał do dzienników czas przyjścia i odchodzenia pociągów. Wydawał polecenia Karasiowi, ile wagonów ma podstawić pod rampę do naładowania, i chwilami tylko wzdychał, wpatrując się w omglony, szary, jesienny poranek, i w szeregi błyszczących od rosy, bronzowych wagonów, któremi Karaś manewrował po linji; słuchał gwizdawki parowozu, stuku sztosujących buforów, świergotu wróbli pod magazynem. Dobrze mu teraz było, bo myśleć nie potrzebował, bo to życie dokoła, pokratkowane na godziny, wymierzone, czynne, w którem szedł ze służby na odpoczynek, z odpoczynku na służbę, trzymało go silnie swoją otoczką przepisów i obowiązków.

Wyjrzał na podjazd, czekały tam konie na Głogowskiego, dał o tem znać do Orłowskiego przez Rocha, zdał służbę i poszedł spać.

Głogowski pił śpiesznie herbatę. Orłowski poszedł na osobowy.

— Trzeba zaraz jechać. Mówiliśmy o tem i owem, ale, panno Janino, czy ta przyjaźń nasza, jaką zawarliśmy w Warszawie, trwa jeszcze?

— Co do mnie, to jeśli przyjaźń daję komu, daję na zawsze.

— Dziękuję. Ja się także nie zmieniłem, a powiem przytem otwarcie, że dawniej nie wierzyłem w przyjaźń mężczyzny z kobietą, ale teraz wiem, że to istnieje, chociaż jest to nie moją zasługą, bo wyraźnie mi było wzbronione kochanie się w pani, a?

Uśmiechała się, podnosząc na niego oczy.

— I nie kocham pani tak, jak się kocha kobiety; ja panią uważam za wielką dla mnie duszę, za drogą dla mnie głowę, za inteligencję pokrewną, której los mnie obchodzi, która związana jest z mojem ja niezliczonemi nićmi wspólnych wrażeń, ideałów, pragnień i wstrętów. Powiedziałem wstęp, aby się teraz zapytać: czy mogę wszystko wiedzieć, co się pani tyczy, o wszystko pytać?

Nie odpowiedziała, tylko skinęła mu potakująco głową, ale uchwycił, że jakiś cień przemknął po jej oczach, wpatrzonych w niego.

— Otóż, niech mi pani powie, co teraz z sobą pani robić myśli? — zapytał prosto, i resztę pytań, jakie miał na ustach, połknął, bo ten cień go ostrzegł, że nikt wszystkiego, nawet najserdeczniejszym, nie powie, że każda dusza musi mieć swoje tajemne skrytki, które muszą pozostać zamknięte i niepoznane.

— Nie wiem — odpowiedziała poważnie.

— W Bukowcu pani długo nie wytrzyma, to wiem, ale chybaby pani zamąż wyszła?

— Nie wiem.

— O powrocie na scenę pani nie myśli? — pytał, zdumiony trochę jej odpowiedziami.

— Nie wiem... nie wiem... nie wiem... nic jeszcze nie wiem: co pocznę, dokąd pójdę... Te kilka tygodni przychodziłam do życia, do równowagi, i bałam się samej siebie zapytać jasno: co dalej?.. bo nie znalazłabym odpowiedzi ani w sobie, ani — zrobiła szeroki krąg ręką. — Nie wiem! Wir jakiś mnie porwał i kręci mną dotąd, i nie pozwala wydostać się na prąd, któryby mnie poniósł, chociażby na zatracenie. Wszystko mnie rwie w jakąś dal, ale dokąd? gdzie? poco? nie wiem! — szeptała cicho, oczy jej błądziły po jakiejś próżni i bolesny uśmiech okolił usta drżące od wzruszenia. — Wie pan, wczoraj, w kościele, wszyscy odwrócili się ode mnie z pogardą. Opowiadali sobie prawie głośno takie szczegóły o mnie, że, słuchając, umierałam ze wstydu i bólu, że byłabym spoliczkowała całą tę zgraję i uciekła, gdzie mnie poniosą oczy. O, tutaj jest piekło, piekło! — wołała, przyciskając sobie serce i czoło. — Czegoś pan mi umrzeć przeszkodził?

— Powinienem był. Życie pani nie jest jednak własnością osobistą, to dobro społeczne.

— Obudziłam się w szpitalu po wypiciu tej esencji, myślałam, że już nie żyję. Ojciec klęczał przy łóżku i całował mnie ze łzami, i wtedy cierpiałam niewypowiedzianie za tem zmarnowanem życiem, i przysięgałam sobie, że jeśli żyć będę, to będę żyła dla niego, dla ojca. Teraz, kiedy jestem zdrowa, chciałabym żyć znowu dla siebie. Czuję, że moje serce nie jest zdolne do poświęceń i do ofiar, i do miłości, bo tyle już wyczerpałam z niego, że każda chwila życia tylko do mnie należy, że nic nikomu nie odstąpię. — Zawiesiła głos na chwilę i patrzyła twardo i ponuro w świat, w przestrzeń ogromną, co się roztaczała za oknami.

Głogowski cierpiał, bo te jej gwałtowne akcenta, ta dzika, trochę bezładna mowa, ten chłód, jaki w niej czuł, pomimo ognistych spojrzeń i porywów, przejmowały go bólem współczucia. Czuł, że się szamoce z sobą, że sama nie wie, czego chce, że największym wrogiem jest jej ja własne, buntownicze i bezwzględne, jej temperament szalony, że to wszystko, jak dawniej, fermentuje w niej.

— Odbiegłam daleko, a panu się śpieszy. Chce pan wiedzieć, co będę robiła? Panie, mój ojciec jest bardzo chory, żyje tylko dotąd, dopóki ja jestem przy nim, żyje tylko mojem życiem.

— Pogodziliście się zupełnie?

— Tak. Najlepszy człowiek i tyle już wycierpiał przeze mnie, że nie wolno mi go narażać na nowe cierpienia, boby ich nie przeniósł.

— Czy nie możnaby, jeśli coś pani zechce poczynać, robić to z jego wiedzą i wolą?

— Możnaby. Tylko, co robić? Wrócić do teatru? — zapytała ciszej, i gorzki uśmiech rozkwitnął na jej bladych wargach. — Panie, co ja tam przeszłam, zanim zdołałam targnąć się na własne życie! Nie przypuszcza pan nawet istnienia takich cierpień, nędzy i upokorzeń. Chciałam być kobietą — nie mogłam; chciałam grać, wybić się ponad tłum — nie mogłam; żyć nawet nie mogłam, zepchnięto mnie wdół. Podłość ludzka jest straszna dla takich naiwnych, jaką byłam — jaką byłam — powtórzyła.

— Słyszałem trochę o pani nędzy! — rzekł cicho i smutnie.

— Obrzydł mi teatr, nie czuję w sobie talentu na scenie; po tej chorobie coś się zerwało we mnie, coś zgasło mi w duszy, przyciemnił mi się świat, nawet sama sztuka wydaje mi się chwilami marną zabawką, nędznem odbiciem wszechpiękna.

— Szkoda, bo miałem pewien projekt, który teraz nie warto jest podnosić.

— Powiedz go pan, mów, niech będzie najdzikszy, nie zlęknę się projektowania, marzenie jest jedyną rozkoszą w tem półżyciu mojem, bo na czyn nie mam już sił.

— Chciałem pani zaproponować to: Ja od Nowego Roku wstępuję do lwowskiego teatru, już się umówiłem, potrzebuję być na scenie jakiś czas, wprost dla jej poznania. Załatwiając to, myślałem i robiłem też miejsce dla pani, zgodzono się. Tymczasem, przez dwa miesiące będę uczył dzieci i chcę skończyć swoją sztukę. Projekt, przynajmniej co do pani, zostanie projektem; ale myślałem, że się pani zgodzi. Tam inny świat, ludzie inni, byłoby pani tam lepiej, bo ma już pani pewne doświadczenie...

— O, mam już dosyć doświadczenia, dosyć... — zaczęła się śmiać suchym, histerycznym śmiechem tak gwałtownie, aż Głogowski porwał się z krzesła przestraszony.

— To nie atak histerji, nie! Śmiałam się z siebie samej i żegnałam całą przeszłość głupią, ach, jak głupią, złudzenia młodości i wiarę w ludzi. Mów pan, mów: kiedyś mi pan odsłonił oczy duszy mojej, to przesuwaj przed niemi obrazy, wizje nawet.

Głogowski chodził po pokoju poruszony, ten śmiech i jej słowa nie podobały mu się, widział w nich komedję, albo istotną histerję, spoglądał na nią badawczo.

— Nie patrz pan tak, nie lubię tego spojrzenia, które tylko obserwuje i bada; patrzysz pan na mnie, niby na dzikie, lub bardzo osobliwe zwierzę — zawołała porywczo.

— Patrzę, bo pani nie poznaję; ale wracam do mojego projektu. Układając się z lwowskim teatrem, byłem pewny zgody pani, bo stamtąd otwarta jest droga na cały świat.

— Cudowna bańka mydlana, prześliczna fatamorgana, boję się w nią patrzeć, żeby nie zapragnąć dotknąć się jej ręką, bo cóżby się stało?

— Więc? — zapytał, przystając przed nią i patrząc na zegarek.

— Nie wiem. Wszystkie dawne myśli, wszystkie dawne pragnienia i wszystkie dawne marzenia są we mnie; tylko nie wierzę, żeby mogły dać szczęście. Będę myśleć, co zrobić z sobą. Napiszę do pana, dobrze?

— Tysiąc razy dobrze! Chciałem prosić o to samo. W grudniu muszę już wiedzieć z pewnością, czy pani pojedzie, lub nie.

— Przyjedź pan do nas, przyjeżdżaj często. Pan jeden streszcza mi w sobie cały inny świat, który jest poza Bukowcem.

— Dobrze, jeśli znajdę parę godzin czasu, przyjadę.

— Do widzenia.

— Do widzenia. Niech pani tylko wytrwa w tem, co postanowi.

— Będę chciała...

Odjechał.

XV

W Bukowcu było cicho i sennie; kilka dni po odjeździe Głogowskiego i po wieczorze u zawiadowcy, o którym przez kilkanaście godzin mówiono na stacji, było tak nudnych, tak rozpaczliwie nudnych, że ludzie chodzili apatyczni, bo deszcze, mgły i wilgoć zdawały się przesączać przez skóry i zalewać nudą, szarością i brzydotą mózgi i serca.

Orłowskiemu te deszcze dały się okropnie we znaki, bo go powaliły cierpienia reumatyczne tak straszne, że całe dnie leżał w łóżku, jęczał z bólu i przeklinał cały świat. Janka, aby mu jako tako uprzyjemnić czas, czytywała głośno, ale wkrótce brakło jej świeżych książek. Orłowski kazał jej czytać balzakowskiego Ojca Goriota, którego znał dobrze;

umyślnie, przez jakieś okrucieństwo, chciał, aby czytała, bo czuł, że sprawia jej tem przykrość. Zatykał usta kołdrą, aby nie jęczeć, ale słuchał, nie spuszczając z niej oczu, i ból, i ta smutna historja ojcowskiej miłości, niewdzięczność córek, z taką porywającą prawdą przedstawione, wyrywały mu z piersi chrapliwe złorzeczenia, miotał się po warjacku, siadał na łóżku, przerywał czytanie i wymyślał na dzieci niewdzięczne, ale przed przyjściem osobowego pociągu zmiękł i łagodnym głosem zaczął prosić Janki:

— Moje dziecko, okryj się i przejdź koło kasy, bo jesteśmy pewni, że ten mydłek, Zaleski, nie sprzedaje biletów. Używają tam sobie próżniaki! — huknął się ze złości w nogę.

— Skoro zastępuje ojca, to tem samem odpowiada za wszystko.

— Odpowiada, odpowiada, my tylko odpowiadamy! Janowa, ubranie!.. Pójdę sam!..

— W tej chwili idę! — zawołała, widząc, że był gotów, i poszła zaraz.

— No, no! kasa była zamknięta, on jeździł już na rowerze, a pasażerowie pojechali bez biletów, na szwarc? Wiedziałem, że tak będzie! — mówił, gdy powróciła.

— Przeciwnie. Było kilku pasażerów, widziałam ich odchodzących od kasy z biletami.

— Jutro obejmiemy służbę. Przysięgam Bogu, że oni okpiwają. W nocy słychać było najwyraźniej, że z ekspedycji wyprowadzono rower, tak, Zaleski jeździł. Dzieją się tam hece! — Nie darujemy tego, o, nie! — uderzył znowu pięścią w kolano, bo straszliwie zabolały go stawy. — Raporciki się kropną, aż miło! — uśmiechnął się, chwycił zębami brodę i słuchał czytania w dalszym ciągu, ale już myślą przepatrywał księgi kasowe i dzienniki, znajdował nieporządki, opuszczenia, jakie Zaleski ze Stasiem porobili, i układał surowy raport w myśli.

Janka czytała bezdźwięcznym, znudzonym i podrażnionym głosem; zdenerwowało ją kilkodniowe, nieustanne czuwanie, dziwactwa i kaprysy ojca, które chwilami były zupełnem już warjactwem. Często nie mówił prosto: ja, tylko: my, z jakąś szczególną powagą wypowiadając ten zaimek. Strach ją ogarniał, bo przypomniała sobie dokładnie ten wieczór, w którym sam siebie strofował.

— Skończyła książkę i chciała odejść, czuła się bardzo zmęczoną, senną!

— Nie chodź, chcemy, abyś została! — krzyknął gwałtownie.

Przez te kilka dni jego dawna szorstkość powracała zdwojona. Na Rocha rzucał butami, jeśli zbyt wolno szedł.

Janka usiadła apatycznie.

Janowa właśnie przyniosła rozprażony owies na okłady i, podając go, patrzyła załzawionemi współczuciem oczyma.

— Cóżto? przysięgam Bogu, zdycham już, czy co, że będziesz tu nade mną kwiczeć, stara klępo!

— Panusiu! adyć mi żal, że panusio ma takie bolenie.

— Głupiaś, przysięgam Bogu... to nie mnie boli, słyszysz, to nie mnie, tylko jego...

— Juści, że słyszę, ale wiem, że boli, a możeby z tatarczanej mąki zrobić okłady, abo zawołać takiej znającej! W Krosnowie jest dochtorka, co to ona i od kołtuna, i kiej w krzyzie strzyka, i od łamania w kościach suchego, a możeby wysmarowała tłustością...

— Głupiaś! Janka! wyrzuć tę wiedźmę, bo nie wytrzymam! Szczeka, jak stara suka!

Zerwał okłady z nóg i rzucił Janowej w twarz z wściekłością.

— Idźcie sobie, bo przysięgam Bogu, że... — chciał rzucić lichtarzem, ale gwałtownie chwycił się za kolano i upadł na łóżko z jękiem i przekleństwami.

Janka długo słyszała przez drzwi jęki i rozmowy energiczne; i co chwila huk uderzeń pięścią w ściany, lub łóżko. Zastraszona tą chorobą, napisała do doktora, przypominając mu obietnicę starań o pomocnika dla ojca.

Nie sprzeciwiała się w niczem choremu, pokrywała milczeniem i obojętną twarzą jego ostre, a często obelżywe słowa, bo widziała jego cierpienia; ale w głębi, prócz strachu przed tem, co się z nim stać może, czuła zniecierpliwienie, że się tak długo i wolno wszystko wlecze. Pozostając samą, rozmyślała nad projektem Głogowskiego, przeglądała własną przeszłość i rozpalała się zwolna do myśli o powrocie na scenę; ale straszył ją jeszcze jakiś nieuchwytny cień, nie była to obawa, ale to mgnieniowe uświadomienie, że teatr już jest dla niej dosyć obojętnym; starała się wskrzeszać w sobie dawne wierzenia, ale już nie pragnęła tak namiętnie sceny jak przedtem.

— Panienko, adyć poproszę ślicznie o jedno — prosiła Janowa, całując w rękę.

— Mówcie!..

— Ta historja o tym panu Górze, czy jak tam, co to panienka czytała dzisiaj panu, czy to wszystko prawda? Albo to może ino tak sobie, la uciechy wymyśliły taką historję. Bo jak to być może, żeby taki bogacz dał córkom wszystko, a pochowku nie miał mu kto sprawić? żeby mu obleczenia nie kupiły, żeby ani jedna córka nie przyszła przede śmiercią?.. To widzi mi się, co prawda nie jest. — Mówiła cicho i tak patrzyła w oczy Janki, jakby koniecznie chciała potwierdzenia własnych życzeń.

— To wszystko prawda, tak robią dzieci swoim ojcom, tak! — odpowiedziała Janka, czując jakąś srogą przyjemność w tych łzach, co się polały po twarzy służącej.

— To źle, to nie po Bożemu, to takie dzieci powinni rozedrzeć końmi — powiedziała, boleśnie dotknięta. — Hale, żeby takie dzieci dla swych ojców, to już koniec świata.

— Przecież i po wsiach tak robią z rodzicami. Janowa przecież znała Sochę w Ługach! Dał dzieciom majątek cały i wygnali go, i teraz chodzi po prośbie.

— Znam go — szepnęła cicho — i wiem, że Pan Bóg ciężko te dzieci skarze na swoich dzieciach i dobytku, ale to ino głupie chłopy! Ale żeby taki pan, co tyla pieniędzy miał, co jego córki były kiej królewny i takie uczone, miały tak samo zrobić z ojcem, to mi się nie widzi, nie uwierzę, panienko, to jaże mnie cosik w sercu kole... — i trzęsła głową, nie mogła wierzyć, bo się jej przypominała własna córka, chowająca się u państwa i taka uczona. — Moja Anusia takby nie zrobiła! o, nie! — dodała, obcierając palcem łzy.

Pozamykała drzwi, pogasiła światła i długo klęczała przed obrazem, wiszącym nad łóżkiem, zatopiona w gorących modlitwach za córkę.

Jankę zaczynało wszystko gniewać i irytować: gniewała ją Janowa, że chodziła, niby krowa, trzęsąc brzuchem i rozstawiając szeroko nogi, że wierzyła w swoją córkę; irytował ją ojciec, Roch, że był idjota, Zaleski, że miał głupią minę, Zaleska, że miała jakieś aspiracje serca, a nie pilnowała dzieci — wszyscy i wszystko pobudzało ją ustawicznie do gniewu. Płakała ze złości na deszcz, który kilka dni mżył nieustannie i zalewał brudnemi strugami szyby, bo nie mogła wyjść za stację ani na chwilę, czuła się tak zdenerwowana, że nie przyjęła Grzesikiewicza coś trzy razy. Nie chciała widzieć nikogo. Rzucała w kąt heljotropowe bileciki Zaleskiej, nie otwierając ich. Nudziła się i męczyła tem, że nie mogła się zdecydować na projekt Głogowskiego i nie miała odwagi odrzucić go.

Następny dzień powitała z radością, bo przyszedł pogodny, deszcz nie padał i słońce świeciło. Orłowski z trudem zwlókł się z łóżka i poszedł do kancelarji, i zaraz prawie usłyszała jego głos na peronie. Krzyczał na chłopów, zwożących kamienie dla Świerkoskiego, kłócił się z Karasiem, który najspokojniej siedział na tendrze, machał nogami i pogwizdywał. Poleciał do zwrotnic i z pomiędzy szpic-szyn i odbojowych wydobywał piasek palcami, i z pięściami rzucał się do zwrotniczego, wymyślając za niedbalstwo. Zwrotniczy, wyprężony niby struna, z ręką przy daszku, próbował się tłumaczyć; uderzył go w twarz i poleciał na drugi koniec stacji. Nie przyszedł nawet na obiad, tylko kazał sobie przynieść na dół, do kancelarji, w której się zamknął i pisał całą masę raportów, na wszystkich.

Przed wieczorem, kiedy ziemia trochę obeschła, Janka poszła do lasu.

Dzień był zupełnie ciepły i bardzo cichy.

Las stał nieruchomy, przewiany niebieskawem powietrzem, tylko nad mokradłami tłukły się nisko szkliste opary. W miarę posuwania się w głąb lasu, ogarniała ją coraz większa cisza i uspokajała zupełnie. Szła coraz dalej, nie patrząc, gdzie idzie, i nic nie widząc. Weszła pomiędzy stare, zapadnięte szyby torfowe, ziemia uginała się pod jej stopami i dudniała głucho, strugi czarnej wody, podobnej do tafli polerowanego bazaltu, poplamione rdzawą pleśnią, świeciły tajemniczo z pośród rudawej, poobrywanej ziemi, otoczone żółtemi, umierającemi świerkami i suchemi kiściami paproci, co się czepiały rozpaczliwie starych, zmurszałych pni i ssały nędzny żywot z tych trupów.

Chodziła bez celu. Siadała na kupach zlasowanego, rozkruszonego przez deszcze torfu, zatapiała się w przestrzeniach, jakby bez końca z jednej strony, to patrzyła ku wzgórzom płaskim, przecinającym horyzont pofalowaną, szarawą linją, nad które zsuwało się wolno olbrzymie, bezrzęsne, czerwone słońce; na rude, wyschłe łąki, po których ślizgały się miedziane promienie, niby węże olbrzymie; na szyby, zrównane z ziemią, błyszczące wodą, niby oczyma przekrwionemi; na cienkie smugi dymów, rozstrzępiające się po krzakach,

niby przędza pajęcza; to na las z drugiej strony, który czerniał nagiemi szkieletami olch, a nad nim wrony krążyły stadem wielkiem i krzyczały.

Patrzyła teraz na świat z jakiejś odległości i poczuła gorycz osamotnienia. Uczuła się samą. Widziała dookoła siebie świat wrogi, zły i mocny, i te tysiączne niewidzialne nici, łączące wszystkich ze sobą, które ją oplątywały coraz gęściej i silniej, że nie mogła się z nich wyrwać. Napróżno raz się zerwała, podeptała wszystko, napróżno, bo znowu czuje to ciężkie jarzmo zależności od wszystkiego i prawie wie, że inaczej żyć nie można. Wzdrygnęła się.

Na moczarach sieczono uschłe, żółte trzciny i sitowia, i do niej dopłynął zgrzyt kos ostrzonych osełką. Zgrzyt ten przejął jej duszę zimnem, zmąciło się w niej wszystko i jakaś obawa nieświadoma ściskała jej serce.

Powróciła znowu do wielkiego lasu. Uderzała kijem w pnie spróchniałe, strącała nogami uschłe muchomory, co, jak kapelusze, przekrzywiały się pod drzewami, i szła, szeleszcząc suchemi liśćmi, co pokrywały ścieżki i drożynki.

Las już zamierał; brzozy żółte, jak wosk gromniczny, liście ostatnie roniły, niby łzy wielkie, które spływały na las, wieszały się na czarno-zielonych świerkach, na czerwonych bukach, padały na ziemię szarą, nędzną, zmordowaną jesienią. Pnie sosen świeciły rozpalonym bursztynem od słońca, które długiemi smugami wsączało się zboku i rozpalało krwawemi odblaskami wnętrze lasu, zasypiającego w ciszy.

Nie śpiewały ptaki, nie brzęczały żuki, nie pachniały kwiaty, ani młode pędy drzew, nie tętniało życie młode, wszystko zapadało zwolna w zimową katalepsję i okręcało się w jakąś ciężką zadumę snu i milczenia; stada wron przeciągały wysoko, cicho łopocąc skrzydłami, albo z krzykiem ostrym i bolesnym siadały na nagich drzewach, biły skrzydłami i krakały smutną pieśń jesieni, i znowu całą bandą wzbijały się i wirowały nad lasem w takich wysokościach, że wyglądały na bladem tle nieba, niby kłąb sadzy; czasami wiatr chłodny wdzierał się do lasu, niewiadomo skąd, uderzał w korony, rozszumiał, rozszeleścił, rozgwarzył las i milknął w gąszczach zagajników, tylko olbrzymy kołysały się coraz powolniej i oderwane liście i szyszki leciały na ziemię, a melancholja, pełna spokoju i odrętwienia, i pełna rozdrganych, konających ech, łkań, szmerów i trzasków, rozlewała się po lesie.

Janka usiadła na odwiecznem okopowisku, które kiedyś, przed wiekami, za napadów już niewiadomo jakich nieprzyjaciół, służyło za schronienie, bo zewsząd otaczały je nieprzebyte bagna, dzisiaj w połowie wyschłe i pokryte lasami, lub przemienione w pokłady torfu. Wzgórze było niewielkie, podobne do rozwalonej kopy siana i jakby ocembrowane wielkiemi głazami piaskowca zwietrzałego, który świecił swoją białością, niby ogromne, popękane czerepy jakichś olbrzymów, z pośród niskich krzaków jałowców, porastających wzgórze. Poschłe, popielate dziewanny stały sztywne i martwe, tylko u ziemi patrzyły oczyma ostatnich żółtych kwiatów. Okopowisko było pełne smętku i rumowisk dawno zmarłego życia, jakby zapomniane, umarłe cmentarzysko. Po wsiach szeptano, że tutaj straszy, że widywano w miesięczne noce całe gromady widm, że z prawej strony, gdzie sterczały wielkie, granitowe głazy, obrosłe mchem, zwalone na kupę bezładną i otoczone nieprzebytym gąszczem cierni, malin dzikich i jeżyn — otwierała się ziemia do wnętrza wzgórza, pełnego lochów, bogactw i dusz pokutujących.

Janka położyła się na szczycie, na wielkich białych głazach, leżących w uschłych trawach, niby kamienie grobowe, patrzyła w niebo i zapominała o wszystkiem, przestawała czuć.

Słońce zachodziło; nisko, nad samą ziemią ciągnęły się mgły i mroki, a las cały rozgorzał w ogniach zachodu, stał, jakby oblany miedzią stygnącą, pełen rdzawych blasków, purpury i fioletu. Daleko, z za wzgórz, gdzie chowało się słońce, buchały płomienie słupami, jakby ziemia paliła się z tamtej strony i purpurową łuną okrwawiała pół świata.

Zwolna łuny bladły i zmniejszały się, pomarańczowe zorze przechodziły w żółtawy seledyn, zlewały się z szaro-błękitnym tonem nieba na zachodzie, i gwiazdy, w tym półmroku i półświetle blade, niby lilje; chłód wieczorny wstawał z bagnisk, z wód, z głębin leśnych, i rozpościerał się nad ziemią z mrokiem.

Janka, z rękoma podwiniętemi pod głowę, leżała nieruchomie, wpatrując się w gwiazdy, świecące wprost w oczy. Odpoczywała i jakby nieświadomie piła z nieskończoności moc dalszego istnienia, i jakby się zdawała na łaskę i niełaskę tych strasznych przestrzeni,

w które była zapatrzona, tej przyrody konającej i nocy, coraz mroczniejszy całun rozciągającej nad ziemią. Zanurzała się w ogromie i były chwile, w których czuła, że jej duszę przenika jakieś mroźne tchnienie, jakby unicestwienie, że jej roślinne życie zamiera i rozprzęga się; że te wszystkie napół martwe korzenie drzew i traw, ten cały las, cisza, przestrzenie, mroki — przenikają ją nawskroś i zaczynają z niej wysysać życie...

Oprzytomniała, bo wielkie stado wron zaczęło zataczać nad nią olbrzymie koła. Opuszczały się coraz niżej i niżej, słyszała jakby przytłumiony szum ich skrzydeł; krzyczały cicho, a tak złowrogo, że wzdrygnęła się ze strachu, ale nie poruszyła się nawet. Opuściły się już tak nisko, że czuła na twarzy pęd ich skrzydeł i widziała ostre, twarde dzioby, wyciągające się coraz drapieżniej, okrągłe, żółtawe oczy świeciły niby próchnicą; dreszcz ją przeszedł, zdawało się jej, że już tysiące szpon i dziobów spadło na nią ze wszystkich stron i zatopiły się w jej ciele; ale nie mogła się poruszyć, leżała martwa, jakby zahipnotyzowana tysiącami tych oczu, które wżerały się w nią z chciwością, tym szumem skrzydeł, temi krótkiemi, chrapliwemi krzykami, co ją nakrywały chmurą złowrogą; dopiero, gdy kilka wron śmielszych opadło tuż przy niej na ziemię, i z podniesionemi skrzydłami, z roziskrzonym wzrokiem podskakiwały do jej twarzy, zerwała się na nogi; cała ta czarna banda rozbiegła się na wszystkie strony, poobsiadała drzewa i krakała żałośnie z zawodu. Janka poszła do domu prędko, bo w lesie była już późna noc.

Ale gdy powróciła do mieszkania, gdy usiadła w swoim pokoju, wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem zdenerwowania. Nie wiedziała, co jej jest, dlaczego płacze, ale uspokoić się nie mogła.

— Panienko! La Boga, co panience się stało? O Jezu miłosierny, czego to kochane dzieciątko płacze? — wyrzekała nad nią cicho Janowa, całując ją po rękach i nogach, i sama miała łzy żałości w oczach; a Janka uspokoić się nie mogła, nie mogła powstrzymać łez płynących nieustannym potokiem i płakała tak długo i spazmatycznie, że Janowa już nie wiedziała, co robić: przynosiła jej to wino, to ciastka, to herbaty, to gazety ostatnie, to wody, to wytarła jej twarz spirytusem, zamiast kolońską wodą, bo więcej w niego wierzyła, i wreszcie z płaczem, ulegając nieprzepartej sile sympatji i współczucia macierzyńskiego, zapominając o tem, że jest tylko służącą — usiadła przy niej, wzięła ją wpół i przycisnęła do swojej prostej, poczciwej piersi, i zaczęła najsłodszemi nazwiskami i wyrazami mówić do niej, uspokajać, krzepić.

— Dzieciątko najsłodsze, córuchno przenajmilsza, panienko kochana, adyć nie płacz, adyć nie martwij się, adyć złe przeminie i Matka Przenajświętsza, i Jezus kochany dadzą ci tyle dobra i szczęścia, że będziesz go miała, jaże po grdykę. Nie płacz, królewno, nie płacz... bo świat całkiem przeminie, ale miłosierdzie boskie nie przeminie.

Zaprowadziła ją do łóżka, rozebrała, ułożyła i pookrywała; chodziła koło niej na palcach i, pozałatwiawszy wszystkie roboty w kuchni pośpiesznie, siadła w progu, na małym stołeczku, z pończochą w ręku, i pilnowała jej głębokiego snu, spoglądając na nią z wiernością i miłością psa. Oczy szkliły się jej łzami, ciągle gubiła oczka, ale siedziała, odmawiając długie litanje na intencję Janki; zdawało się jej sercu, że to Anusia. Siedziała tak długo w noc, ale widząc, że Janka się nie budzi i śpi równo i mocno, poszła do kuchni. Postawiła zdjęty ze ściany obraz Matki Boskiej Częstochowskiej na skrzynce i krzyżem leżała przed nim, modląc się gorąco za Jankę i za swoją Anusię, aż wkońcu już za jedną tylko, bo tak się jej zlały w sercu w jedno, że rozróżnić nie umiała.

XVI

Janka rano uczuła się spokojną, wczorajszy płacz wyrwał z niej gorycz tych smutnych dni i zdenerwowania i przepełnił jej serce rezygnacją smutku.

Zaleska heljotropowym liścikiem prosiła o pożyczenie nakryć, bo już dzisiaj z pewnością mieli przyjechać do nich ci wyczekiwani bogaci kuzyni.

Przybiegła zresztą sama w pięć minut po liście.

— Od kilku dni wybieram się do pani. Mam znakomity projekt! Tylko, panno Janino, na miłość boską, ani słowa nikomu, dobrze? — rzuciła się na szyję i ucałowała.

— Sześć par noży i widelców, no, całe naczynie, razem z bielizną stołową. Mężuś po pensję jedzie do Warszawy, to kupi. Nie powie pani nikomu o tym projekcie?

— Jeszcze nic nie wiem — odpowiedziała dosyć szorstko, bo już ją nudziła Zaleska.

— Napisałam do kuzyna, aby się postarał przenieść mężusia do Warszawy, do Dyrekcji; to bardzo wpływowy człowiek, dla nas szczególnie życzliwy — opuściła głowę na chwilę. — Otóż, gdyby się tak stało, to mężuś mógłby w godzinach pozabiurowych brać lekcje śpiewu.

— Poco? — rzuciła niechętnie i prawie z gniewem.

— Panno Janino, on ma wspaniały głos, mógłby zostać śpiewakiem, gdyby się tylko uczył, a ja tymczasem miałabym czas zdobyć sobie rozgłos. Wystąpiłabym najpierw w Towarzystwie Muzycznem, później urządziliby mi koncert w ratuszu, zdobyłabym środki na kształcenie się zagranicą.

— Pani to mówi serjo? — zapytała porywczo, bo ją zirytowała ta głupia pewność powodzenia, ten optymizm względem świata, z którego ona wyszła zdruzgotana rozczarowaniem.

— Zupełnie serjo. Cóż pani w tem widzi niemożebnego? — zapytała zlękłym głosem.

— Proszę pani. Zupełnie nie przeczę, że pani ma talent — nie mogła powstrzymać lekceważącego uśmiechu. — Ale żeby w Warszawie, gdzie tyle swoich i obcych sław walczy ciągle z sobą o powodzenie, mogła się pani wybić nad zwykłą poprawność, w to trudno mi uwierzyć. Zna pani przecież tamten świat; wie pani o tych szalonych trudnościach, jakie trzeba przezwyciężyć, o tej ciężkiej, przeważnie bezowocnej walce, jaką trzeba toczyć, nim się coś zdobędzie — i pomimo to chce pani tam iść! Bo zresztą, przypuśćmy, że kuzyn — podkreśliła to słowo — urządzi pani koncert, który się powiedzie pod każdym względem, bo kuzyn prawdopodobnie wie, jak brać się do tego, ale co później, co dalej?

— Będę pracowała, aby zdobyć uznanie.

— Nie tak będzie, tylko tak, że mąż pani będzie się wciąż uczył, a pani będzie się męczyła, męczyła, męczyła do śmierci — powiedziała głośno i twardo.

— Być może, ale przynajmniej będę się męczyła wpośród tego świata, o jakim marzę i bez którego jużbym dłużej nie wyżyła. — Łzy zaczęły zalewać jej twarz. — Przecież pani wie, jakie życie straszne tutaj, bez celu, tylko byle dzień przepchnąć, a przytem my jesteśmy biedni, bo ta marna pensyjka mężusia zaledwie wystarcza dla niego, i gdyby nie pomoc kuzyna, to jeść nie mielibyśmy co, a liczę, że przy jakiem takiem powodzeniu jego na scenie a mojem na estradzie, będziemy mieli znacznie więcej dochodów, i zresztą już ten kuzyn nasz...

— O, tak, będziecie mieli skarby! O, tak, będziecie mieszkali w jednym pokoju na czwartem piętrze i jadali raz na dwa dni obiady. Znam takie życie, jadłam tę rozkosz, jaką sztuka daje, tak łapczywie, że aż się udławiłam.

— Panno Janino, dlaczego dzisiaj pani tak mówi? Odbiera mi pani siły i wiarę w przyszłość — skarżyła się, cicho łkając.

— Bo panią znam, jesteś pani biednym ptaszkiem, który chce przelecieć ocean, i mówię: utoniesz, bo, o ile mi się zdaje, mąż pani nie ma takiego głosu, z którego możnaby coś zrobić na scenie; jest to głos do saloniku w Bukowcu bardzo dobry, ale nic więcej, jeden z miljona. Żal mi pani, a że mam pewne doświadczenie, chciałam panią ostrzec, bez entuzjazmu, bez złudzeń i obsłon pokazać chciałam pani przyszłość.

— Dziękuję, dziękuję pani, ale pójdę za przeznaczeniem, pójdę — powiedziała mocno, otarła łzy i, nie żegnając się, wyszła.

— Głupia gęś, świat chce zdobywać i panować mu — szepnęła Janka ironicznie. Rozgniewało ją to, że jakaś głupia kobiecina marzy o tem samem, co ona niegdyś i teraz. Nie, nie chciała jej przyznać nawet talentu, chociaż go czuła w niej, bo coś niby zazdrość ostremi szponami szarpało jej duszę. Zaczęła chodzić po mieszkaniu. — Tak, tak bywa na świecie, jakaś tam będzie triumfowała, zdobędzie wszystko, a ona? — myślała — ona, co całe życie włożyła w pragnienia i którą urzeczywistnienie ich kosztowało już tyle łez i rozczarowań, ona zostanie na tej nędznej prowincji, wyjdzie zamąż za tego chama!

Odepchnęła gniewnie krzesło, które stało na jej drodze. Będzie mu rodziła dzieci, chodziła koło gospodarstwa, będzie żyła w tym świecie, który ją w niedzielę spoliczkował; uśmiechać się będzie do tej starej chłopki, do tej swojej pani matki, która razem z jej służącą chodziła kiedyś na pańszczyznę, będzie mówiła: ojcze! temu pijakowi, wycierającemu wszystkie karczmy okoliczne, będzie żoną tego karczmarczyka, tego Grzesika!

Pchnęła znowu jakiś fotel, aż poleciał do przeciwległej ściany. — Ona, ona! tak żyć musi, a dlaczego? poco? Żeby z kluczami u pasa, w przydeptanych trzewikach, chodzić po

chlewach, pilnować udojów, toczyć walki ze służbą, żeby w niedzielę jeździć do kościoła, czasem przyjąć u siebie całą tę bandę głupców i kretynów, to stado gęsi i plotkarek, i żeby się wciąż płaszczyć, wciąż pilnować własnej duszy, wciąż stać na straży własnej przeszłości, by żaden jej odgłos nie doszedł tych poczciwców, bo mógłby jej kto w twarz rzucić: cyrkówka! dawna aktorka! I tak zmaleć, tak zdusić własną duszę, wszystkie pragnienia szerszego życia, wszystkie marzenia, nie mające na celu jedynie koryta, tak znikczemnieć, żeby bez szemrania chodzić w jarzmie codziennego, przemarnego życia!

— To ja mam zrobić? ja mam tak żyć dalej? ja? Nie, nie, nie!... — wołała, unosząc się, porwana buntem duszy, czującej własne siły. — Nie! niech świat się zapada, niech wszystko runie dokoła mnie, wszystko mi jedno, ja pójdę tam, gdzie chcę, żyć będę pełną piersią, gdzie mi nikt nie powie: nie można! nie wypada! nie wolno!

Myśli jej, jak przestraszone przez jastrzębia ptaki, rozbiegły się nagle z tego skupienia i zakłębiły chaotycznie gmatwaniną scen jakichś, obrazów, przypomnień, barw, głosów, chwiała się jej dusza, porywana jakimś potężnym wichrem, i leciała w tamten wymarzony i pożądany świat, pełen słońca, czynów i życia szerokiego i swobodnego.

Usiadła i siedziała długo, rozmyślając zimno.

— Tak, pójdę do teatru, talent mam... muszę go mieć. Odbiorę swój posag, żeby nie zaznać znowu nędzy. Pójdę do teatru. — Mówiła sobie głośno i przez mózg zaczęły się jej przewijać sylwetki poznanych ludzi w Warszawie: tych niby artystów, którzy tworzyli teatr, i tych ludzi, którzy tworzyli publiczność, i te wszystkie nędze, głupie, codzienne ich życia szczegóły, które teraz widziała w ostrem, prawdziwem świetle; te kłótnie nieustanne i intrygi, podłostki, nikczemności całe trzęsawisko, pełne błota moralnego, cały świat histeryków, podłych, złych, do ostatnich włókien, jakiemi ich teraz zobaczyła. A publiczność, te masy Zaleskich, Grzesikiewiczów, Babińskich, Świerkoskich, te masy głupie, dzikie i barbarzyńskie, które tylko w teatrze poszukują żeru dla stępionych nerwów, podrażnienia, uciechy.

— Błazny, manekiny i bydło... Nie, już nic nie wiem! — szeptała zgnębiona tem poznaniem i nie mogła pozbyć się uczucia głębokiej odrazy i pogardy, jaką ją to uświadomienie przejęło do teatru; ale pomimo wszystkiego postanowiła, że wyjedzie. Wszystko jedno, co się stanie, byle się już raz stało, byle stało się jak najprędzej, bo pragnęła wyjechać, nim Grzesikiewicz odważyć się zdoła na oświadczyny. O ojcu nie myślała teraz, ale Andrzeja było jej trochę żal, chociaż sama nie wiedziała dlaczego, czuła się wobec niego jakby winną jakiego przestępstwa.

I tak była temi projektami i myślami pochłonięta, że nazajutrz zrobiła się szorstką i gwałtowną w stosunkach z ludźmi, a ze szczególną niechęcią traktowała Świerkoskiego, który starał się spotykać ją na spacerach, przychodził do nich codziennie po podniesieniu się z łóżka Orłowskiego i przesiadywał wspólnie z Andrzejem całe wieczory, grając w domino z Orłowskim, bawiąc Jankę swojemi dzikiemi z psem sztukami, albo skulony na krześle, zły, milczał cały wieczór, skubiąc brodę i świdrując żółtemi oczyma Grzesikiewicza.

— Wie pani, zarobiłem na kamieniach przez trzy miesiące pięćset rubli — powiedział raz w miejsce powitania, drgającym, rozbitym z radości głosem.

— A ileż pan chce zarobić jeszcze? — zapytała drwiąco.

— Tysiąc, co najmniej, a może być dwa! — uśmiechnął się lubieżnie do tej sumy.

— No, a później na czem pan myśli zarabiać?

— Na czem się tylko da. Będę kupował od Grzesikiewiczów budulcowe drzewo i będę je dostawiał do Warszawy wielkim zakładom ciesielskim. To początek, a później chcę się wziąć do handlu zbożowego; w tym roku Żydzi pozarabiali na nim ogromne pieniądze, czemu ja nie miałbym także zarobić, co?

— Rzeczywiście, czemu! Dlaczego i pan nie miałby zrobić majątku?

— Będę go miał, zobaczy pani! — wsunął ręce w rękawy i patrzył na nią z jakąś dziką, wilczą czułością.

— Rzuci pan wtedy służbę na kolei.

— Tak.

— Powinien się pan wtedy ożenić, żeby te miljony nie pleśniały w skrzyniach — powiedziała wesoło, podsuwając mu szklankę herbaty.

— Ożenić się powinienem prędzej, ożenię się nawet... — mówił wolno i patrzał jej w oczy bardzo czule i bardzo znacząco.

— Ożeń się pan; ale naprawdę co mnie to wszystko obchodzi? — powiedziała bardzo impertynenckim tonem, bo ją rozgniewały i zdenerwowały te żółte oczy, które ciągle czuła na swojej twarzy, jak jakieś oślizgłe, wstrętne pocałunki.

Orłowski, który słyszał tę rozmowę, roześmiał się na całe gardło z poza gazety.

— Świerk, dostałeś prztyczka w nos, co? Trzymajże, bracie! — i śmiał się znowu.

— Tak, dostałem i trzymam, tak! — i przez jakie pięć minut pił śpiesznie herbatę, dmuchał w szklankę, parzył sobie z pośpiechem usta, szczękał zębami po szkle, kopał nieznacznie leżącego u nóg psa i przez zęby syczał cicho i jakby bezmyślnie. — Tak, dostałem i trzymam, tak! — skończył wreszcie i wyszedł...

— Będzie cię jeszcze wszystko obchodziło, aniołku, będzie — szeptał szarpany wściekłością i tak kopnął psa, że Amis zleciał ze schodów. — Przypiłuję ci te śliczne ząbeczki, Hipcio ci je powyrywa, zobaczysz!

Nie przestawał jednak chodzić codziennie do nich. Przysyłał zające, kuropatwy, ryby, które mu znosili jako gościńce robotnicy kolejowi. Nie mogła Janka odrzucać, bo zwyczaj taki panował i na innych stacjach, tylko mu zawsze tak cierpko dziękowała za te prezenty, że Świerkoski trząsł się z gniewu, ale po każdem takiem przysłaniu czegokolwiek przychodził, bo łaknął podziękowań, bo, pomimo tej ostrej formy, sprawiały mu zadowolenie; tłumaczył sobie, że ponieważ przyjmują, więc jest widziany dobrze.

XVII

W kilka dni później przyjechała Helena z mężem z Warszawy.

Woliński zajął się wyładowaniem z wagonów najrozmaitszych przedmiotów, zakupionych w Warszawie, które ładowano na oczekujące już furmanki.

Janka przywitała radośnie Helenę, ale pomimo ich dawnej przyjaźni te pięć lat rozłąki przedzielały ich dusze. Obie były dosyć skryte i za długo żyły w odosobnieniu od siebie, aby teraz mogły się szybko porozumieć, czuły się wobec siebie obco i dosyć obojętnie.

Helena była jakaś smutna. Rozmawiały urywanie, nie mogąc trafić na przedmiot, któryby je zajął i połączył. Dawna przyjaźń była tylko w pamięci, ale nie było jej w sercach. Spoglądały na siebie ukradkowo i z zakłopotaniem, a Janka nawet z pewnym bólem uświadamiała sobie tę obojętność własną i starała się wszelkiemi sposobami wskrzesić dawne uczucia, ale niebardzo jej usiłowania zwyciężały. Wywołały tylko ze strony Heleny również sztuczną serdeczność i wymuszoną, która co chwila gasła, wyczerpana, i siedziały wtedy obok siebie, nie śmiejąc spojrzeć w oczy, z upokorzeniem w duszach i milcząc.

Na stacji wekslowane wagony uderzyły z głuchym szczękiem o siebie. Helena zerwała się z krzesła z nerwowym, bezwiednym krzykiem.

— Jesteś zdenerwowana ogromnie!

— Ach, wstydzę się, ale ta droga tak mnie zdenerwowała... no, mniejsza o mnie, mów mi o sobie...

— Cóż ci powiem?... Moja historja zamyka się w tem: cierpiałam i cierpię.

— Szeroko bardzo określasz, tragicznie, ale to już wada panien, że przesadzają we wszystkiem. Nie żyłyście, a już przeklinacie życie.

— Ja nie przeklinam, mówię tylko: cierpiałam i cierpię. Dawnoś wyszła zamąż?

— Cztery lata temu. Ogromny kawał czasu. Mieszkaliśmy w Lubelskiem, ale dla rozmaitych powodów musieliśmy się przenieść w te strony, coprawda, zamiana nieświetna, bo czujemy się dosyć obco pomiędzy sąsiedztwem, które jest jakieś smutne; zaabsorbowane kłopotami, trochę zaśniedziałe, więc prawie nie żyjemy z nikim, jedynie ze Stabrowskimi, bo do nich najbliżej.

— Stabrowska?... ta literatka?

— A tak, tak, powieściopisarka, nowelistka, poetka, publicystka, tysiąc i jeden jeszcze tytułów możnaby jej dać! — Zaczęła się śmiać.

— Nie znam jej; jeden z moich znajomych pojechał niedawno do nich za nauczyciela do chłopców; musisz znać nazwisko: Głogowski, komedjopisarz i nowelista.

— Głogowski!... czekaj! Był w Paryżu przed pięciu laty?

— Doprawdy, że nie wiem, bo to człowiek który jeśli mówi, to zwykle nie o sobie.

— Blondyn, ostre rysy, wichrowata czupryna, temperament ogromny!... Tak, pamiętam, i wtedy już pisał dramaty, bo graliśmy na Mont Parnasse jego jednoaktówkę, w której miał sam grać jedną z ról, ale w ostatniej chwili, zamiast wejść na scenę, uciekł z teatru z tremy. Później się tłumaczył, że sztuka jest tak podła, iż go mogła publiczność zasypać kaloszami i obwiesić za idjotyzm.

— To ten sam, byłam przy wystawieniu jego sztuki w Warszawie, wygadywał podobnie.

— Więc jest u Stabrowskich? Musimy odnowić znajomość. Znasz go dawno?

— Kilka miesięcy temu poznałam go w teatrze, nawet grałam małą rolkę w jego sztuce.

— Gdzie w teatrze? Na amatorskiej scenie?

— Nie, na prawdziwej scenie, chociaż ogródkowej.

— Ty występowałaś? Ty? Ależ to niemożebne.

— Tak, byłam aktorką przez kilka miesięcy.

— Ależ to niespodzianka dla mnie! Nie, uwierzyć nie mogę; jakto, ojciec ci pozwolił iść na scenę?

— Sama sobie pozwoliłam, niestety.

— I miałaś tyle odwagi? i siły tyle?

— Miałam, musiałam się zdobyć na odwagę, bo nie mogłam już dłużej żyć tutaj. Pomyśl tylko, przypomnij sobie, że każda panna, dochodząc do pewnego wieku, obowiązana jest wyjść zamąż...

— A tak, zdaje mi się, że to jest dosyć naturalne — przerwała Helena.

— Nie o to mi chodzi, tylko, że mogą być panny, które nie chcą szukać mężów, nie chcą urządzać polowań na władców i nie pragną pozostać wdzięcznemi niewolnicami.

— Nawet na to zgoda, tylko niech co innego robią i nie skarżą się na los swój.

— Otóż ja nie chciałam iść zamąż, bo chciałam się poświęcić sztuce — mówiła Janka z zapałem, nie słuchając jej uwag dosyć cierpkich. — Zresztą mnie tutaj duszno i ciasno, nienawidzę przymusu, kłamstwa, konwenansów, pruderji, jakie panuję na prowincji.

— A gdzież ich niema?

— Nienawidzę całej tej ludzkiej zgrai, tej trzody gryzącej się przy korycie, poza którem nic nie istnieje dla nich.

— Aj! jak ostro i strasznie! Być może, że ta zgraja nie jest tak zła, ani nikczemna, tylko trzeba ją obserwować bez uprzedzeń; nie mówmy o tem, to temat do dyskusji obszerny bardzo, za obszerny!... — mówiła, uśmiechając się pobłażliwie. — Długo byłaś w teatrze?

— Przeszło trzy miesiące! — zaczęła jej opowiadać dosyć gorączkowo smutne dzieje tych czasów. Helena słuchała z uwagą i z ogromnem współczuciem.

— No, a teraz co myślisz robić?

— Stoję na rozdrożu i nic nie wiem, co pocznę naprawdę, bo chociaż postanowiłam wrócić do teatru, ale...

Nie dokończyła, bo wszedł Orłowski z Wolińskim, i rozmowa stała się ogólną.

— Musicie nas państwo odwiedzić koniecznie — mówił przy herbacie Woliński. — Chociażby dlatego, abym się mógł pochwalić swojem gospodarstwem.

— Ja to, przysięgam Bogu, nie mogę, bo musiałbym brać urlop, ale Jania, jeśli zechce, to może wkrótce wpaść do państwa.

— Przyjedziesz Janiu, co?

— Przyjadę, potrzebuję, chociażby przez chwilę, odetchnąć innem, świeżem powietrzem...

— Dwór mamy obszerny, park piękny, lasy nie ustępują tutejszym i w okolicy bardzo dużo przystojnej młodzieży.

— Ostatni warunek, jak dla mnie, nie ma znaczenia.

— Nie wyrzekaj się tak stanowczo, Janiu!

— Tak, tak, przysięgam Bogu! — powiedział Orłowski przez zęby, pociągnął brodę gwałtownie i zaciął gniewnie usta.

Helena umilkła, Janka patrzyła w lampę zamyślona, a Woliński szeroko opowiadał o gospodarstwie i ulepszeniach, jakie zamierzał wprowadzić u siebie.

Przyjechał i Andrzej, ale już od progu przeprosił za kostjum niewłaściwy.

— Byłem konno w miasteczku, wracając, żal mi było nie wstąpić, tem bardziej, że całe dwa dni nie widziałem pani — usprawiedliwiał się przed Janką.

Poznajomiła go.

— Ach! to pan kupił Rozłogi; mówili mi faktorowie, że jakiś pan z Lubelskiego i przytem kiwali głowami na rodzaj gospodarstwa, jakie tam pan podobno zaprowadza.

— Tak, zaprowadzam gospodarstwo przemysłowe, bo nie chcę wyjść z kijem i z torbą, jak mój poprzednik. Sąsiedzi trochę podrwiwają ze mnie, nazywają ironicznie reformatorem, śmieję się razem z nimi i wszystko przekształcam.

— To są nieuniknione rzeczy; takąż, a nawet jeszcze cięższą walkę i ja stoczyłem, nawet z własnym ojcem, który dopiero w roku przeszłym się pogodził z moim systemem, bo dostaliśmy złoty medal za nasienie buraczane i srebrny za opasy. Rozłogi znam dobrze. Mój ojciec tam kiedyś trzymał karczmę i tam się chowałem — powiedział zupełnie szczerze, bez cienia afektacji.

Wolińscy spojrzeli zdumieni, a Orłowski zmarszczył brwi i szarpnął gwałtownie brodę.

— Pozer — pomyślała Janka.

— W Rozłogach pierwsze poręby kupował. Tam z lasem będzie około stu pięćdziesięciu włók, co?

— Przeszło — odpowiedział dosyć chłodno Woliński i spojrzał na Andrzeja jakoś zgóry, zpańska; ten ojciec karczmarz, do którego się tak głośno przyznawał, popsuł mu humor. I już do końca, do samego odjazdu, traktował go z subtelną pobłażliwością.

— Śmieją się z niego, ale rutyna zawsze się śmieje z postępu — powiedział Andrzej po ich odjeździe.

— Pan, to już duszę i ciało sprzedał gospodarstwu.

— Ciało tak, ale duszę komu innemu — odpowiedział, patrząc się na Jankę. Zaczęła mu zbyt prędko przysuwać herbatę i tak niezręcznie, że szklanka zleciała i rozbiła się na miazgę o posadzkę.

— To na szczęście tłucze się szkło — zawołał wesoło.

— Ale na czyje?

— Nie wiem, ale myślę, że na tego, komu była przysuwana herbata.

— Jeśli tak, to dodam jeszcze od siebie życzenia szczęścia.

— Życzy mi pani...

— Ja zawsze i wszystkim życzę, aby byli szczęśliwi — powiedziała wymijająco.

Orłowski uśmiechnął się nieznacznie i poklepał kolano Andrzeja, który rozpromienił się niby słońce i tak świecił radością, że Janka się zlękła, bo pomyślała, że może dzisiaj się zechce oświadczyć. Nie odezwała się i z namarszczoną brwią, chłodna i zimna, siedziała dosyć sztywno, nie spoglądając nawet na niego.

Andrzej wyjął z kieszeni papiery i rozłożył je na stole.

— Jeśli to pani nie znudzi, to pokazałbym pewne plany — prosił.

— Owszem. Stawiać pan co będzie? — zapytała obojętnie.

— Nie, przerabiam ten nasz pałac, bo zacznie się walić niedługo — mówił cicho i oczy jego mówiły, że to dla niej się robi. Przyglądała się z początku obojętnie planom, ale wkońcu poczuła dla niego wdzięczność. Tak się pochylił nad planami, że jej puszyste włosy musnęły mu twarz, rozczerwienił się i dotknął ustami jej ręki, spoczywającej na planach; nie usunęła jej, spojrzała na niego przelotnie z jakąś subtelną ironją i pytała dalej o informacje.

— To ogromny dom; myślałam, że tam znacznie mniej pokojów.

— Tak, dla mnie to puszcza, w której samotny ginę. Jak pani uważa, czy mój pomysł przywrócenia go do dawnej świetności nie jest śmieszny?

— Śmieszny nie, uważam tylko, że musi być bardzo kosztowny.

— Bagatela, nie zrujnuje to nas! — powiedział akcentem człowieka, dla którego kilka tysięcy rubli niewiele znaczy.

— Wierzę... — powiedziała przeciągle, a pomyślała: — cham! — i odsunęła się nieco od niego.

— Nawet koszta nie są tak wielkie, bo większość mebli i sprzętów tylko się odnowi; są, a raczej będą do użytku.

— No i potrzeba, żeby tam miał kto mieszkać — wtrącił Orłowski, który, podczas gdy oglądali, chodził dokoła stołu, z rękoma na grzbiecie i przypatrywał się obojgu z różnych stron i uśmiechał się z zadowolenia.

— Przedewszystkiem to — zawołał Andrzej z zapałem i znowu pochylił się, aby pocałować ją w rękę; usunęła tak śpiesznie, że dotknął ustami stołu, a ona zacięła usta, żeby nie roześmiać mu się w oczy, bo miał dosyć zabawną minę.

— Przecież i państwa wystarczy na cały dom: pan, ojciec, mama... — ciągnęła złośliwie.

— Ojciec, ani mama nigdyby w pałacu nie mieszkali, prędzejby zgodzili się na oborę. Niech się pani nie dziwi, całe prawie życie mieszkali po karczmach, po szałasach leśnych, po szopach owczarskich, więc ten pałac ich onieśmiela, robi na nich wrażenie kościoła. Przyznam się pani, że i ja czuję się w nim niebardzo swobodnie.

— A odnawia pan, mebluje, przywraca mu dawną świetność! Więc?...

— To nie dla siebie... tak... przecież zawsze sam nie będę w nim mieszkał, bo... — jąkał się, zwijając plany, i gdyby nie obecność starego, to byłby powiedział otwarcie, że dla niej odnawia, że tylko o niej myśli, że ją kocha jak zawsze i prosiłby, aby została jego żoną; ale Orłowski chodził uparcie. Janka odczuła doskonale, co myśli, i miała ochotę powiedzieć mu także, zgóry, nimby on zdążył wyznać jej swą miłość: — nie, nie pójdę za pana, bo powracam do teatru: — ale pomimo takich chęci, gdy odjeżdżał, pożegnała go serdecznie, a później myślała o nim ze współczuciem.

— Ten mnie kocha naprawdę. Trudno, trzeba go tak trzymać, aby mi się nie zdążył oświadczyć przed wyjazdem. — Chciała sobie oszczędzić przykrości. Po zachowaniu się ojca, który jej ciągle wspominał Grzesikiewicza, po coraz słodszych oczach Świerkoskiego, poznała, że jeśli ma wyjeżdżać z domu, to trzeba to zrobić w jak najkrótszym czasie. Czuła się zupełnie zdrową i zupełnie zdecydowaną do zerwania jarzma powtórnie. Przystąpiła zaraz do czynu. Napisała obszerny list o wszystkiem do Głogowskiego, nadmieniając, że ona może wyjechać chociażby zaraz. Przytoczyła przyczyny, jakie ją zmuszają do tego.

Zakleiła list i dopiero przyszła kwestja, przez kogo list posłać? Rocha nie chciała użyć, bo trzebaby powiedzieć ojcu.

— A ojciec? Prawda! co on powie na mój wyjazd? — pomyślała. — Zgodzi się! Musi się zgodzić, był taki dobry dla mnie. — Uspokoiła się. Zeszła z listem nadół, bo przez okno zobaczyła gromadę chłopów na stacji. W korytarzu spotkała Stasia.

— Czy pan powraca z Kielc? Szkoda, że nie wiedziałam, bo mam mały interes.

— Nie, nie byłem. Idę od pani Osieckiej — odpowiedział miękko.

— Panie zdrowe?

— Panna Zosia zdrowa, dziękuję pani. — Zarumienił się. — Przesyła ukłony, ale panią Osiecką spotkała niemiła przygoda, nie, to raczej wypadek.

Mieszka u niej siostrzenica, melancholiczka, która ciągle chce uciekać; otóż, kilka dni temu, udało się jej wymknąć z domu t. j. uciec. Pani Osiecka przestraszona, żeby chora gdzie nie zabłądziła, bo las i w nocy było, czy nawet wieczorem — zamyślił się — tak, wieczorem — pojechała jej szukać, znalazła, zabrała na bryczkę i powracała tą drogą nad plantem, wie pani? Pociąg szedł, koń się przestraszył świateł, huku i poniósł. Uważa pani, poniósł w lesie. Bryczka się rozbiła, a pani Osiecka szczęśliwie upadła na krzak jałowca, tak mówi, a mnie się zdaje, że na ciernie, i strasznie podrapała sobie twarz. Ja nawet pewny jestem, że jałowiec nie mógł tak podrapać, jest za miękki, tylko ciernie. Szczęściem, że na tem się tylko skończyło.

— O tak, bo mogło się skończyć gorzej. Niechże im pan ode mnie złoży słowa współczucia i życzenie wyzdrowienia.

Stasio, przejęty ważnością swej misji, dziękował bardzo poważnie w Osieckiej imieniu. Janka szła do tej gromady, ale już zdaleka doszedł ją głuchy pomruk klątw i złorzeczeń.

— Złodziej! Powiada: weźta chłopy, zapłacę co zechceta. Przywieźliśwa, a un oszukuje!

— Prawda! Mnie powiada: nie chcesz za furę 40 groszy, to ją sobie zabierz.

— Zabierz! a juści! Ciarach zapowietrzony! Zabierz, a cóżto na barszcz będę kamienie gotował, a moja praca, a wozisko, a konisko się tłukło bez cały miesiąc, a teraz mówi: zabierz sobie!

— Za pierwsze, to jucha zapłacił po ludzku.

— Dla zachęty, mądry on, kiej Żyd! Zapłacił pierwej, a teraz nas krzywdzi.
— Wzięliśta Marcin, to czegój pyskujeta!
— A miałem robić co? Może mu darmo dam kamienie, abo je wezmę do chałupy?
— Oszukaniec, psiamać!
— Ścierwa! a to kiej pies się łasił i skomlał, coby mu tylko wozić!
— Bez to on i teraz gryzie, nie bój się, Wawrzon, myślał on, co robić!
— Ino go zdzielić kłonicą po ty wilczy mordzie, niechby obaczył, co to oszukiwać.
— Poganin zapowietrzony. Mówią, co ino Żydy oszukują, a to swój, i pies taki...
— Jaki on ta swój, obieżyświat!...

Leciały groźby, wyrzekania, klątwy; pięści się zacisnęły, oczy rzucały błyskawice, twarze świeciły posępną, groźną nienawiścią; skupili się, baty zaciskali w rękach, przestępowali z nogi na nogę, drapali się w głowę, spluwali i stali kupą bezradną.

Domyśliła się, że to o Świerkoskim mowa.

Posłała przez jednego z chłopów list do Głogowskiego, a nazajutrz, spotkawszy Świerkoskiego, zapytała:

— Skończył pan już z kamieniami?
— Wczoraj właśnie wypłaciłem już chłopom za ostatnie fury.
— Słyszałam. Chłopi błogosławili panu i wydawali się bardzo zadowoleni... bardzo.
— Bardzo naturalne, płacę co do grosza, co się komu należy...
— O, to szlachetnie, bardzo szlachetnie... — mówiła drwiąco.

Podniósł szybko na nią oczy, pociemniała mu twarz, usta drgnęły nerwowo i rzekł cicho:

— Pani myśli, że ich oszukałem, okradłem; nie, słowo, że nie.
— Ja nic nie mówię i nie myślę, co pan robi, bo mnie to absolutnie nic nie obchodzi. — Skinęła mu pogardliwie głową i, poszedłszy do domu, opowiedziała ojcu o wszystkiem.

Orłowski się nie zdziwił.

— Znam go dobrze, to głupi i zły człowiek. Ile on mi już wprost łajdackich propozycyj robił! To wstyd mówić o tem.
— Może ojciec którego dnia pojedzie ze mną do Kielc?
— Nie mogę, przysięgam Bogu, nie mogę. Poproś Zaleskiej, niech jedzie z tobą. Czy chcesz co kupować?
— Tak, jak ojciec wie, prawie nie mam garderoby i bielizny. Wszystko trzeba kupić. Wszystko, co było, wyprzedałam.
— Nieciekawym gdzie! — krzyknął ze złością, ale uspokoił się prędko, pocałował ją w czoło dosyć szorstko i miękkim, łagodnym głosem powiedział: — Ile chcesz pieniędzy?
— Sama nie wiem, ale dosyć wydać będzie trzeba, bo wszystkiego potrochu należałoby kupić. — Mówiła nieśmiało i, pociągnięta jego pocałunkiem, pochyliła mu się do ręki; ujął ją wpół i pociągnął do swojego pokoju, posadził w swoim fotelu.
— Dlaczego potrochu? Obstaluj kompletną wyprawę, taką, jaką tylko zechcesz, przecież nas stać na to, żeby się później nie wstydzić przed obcymi. Myślę, że w Kielcach nie dostaniesz wszystkiego, jedź do Warszawy. Czytałem w ogłoszeniach, zaraz ci pokażę. — Wyjął z biurka kilkanaście cenników rozmaitych magazynów. — Przeglądałem to latem, zobacz, są tu wymienione najrozmaitsze przedmioty. — Usiadł przy niej i zaczął jej pokazywać cenniki i miejsca w nich pozakreślane czerwonym ołówkiem; były tam podznaczone najdrobniejsze nawet przedmioty. Jankę takie gwałtowne rozczulenie chwyciło, widząc te głębokie dowody jego miłości, że łzy pociekły z jej oczu.
— Jaki ojciec dobry, jaki dobry! — szeptała, całując mu gorąco ręce.
— Cicho! bo sobie pójdę, przysięgam Bogu! — wykrzykiwał, wyrywając ręce, i zaczął chodzić po pokoju wielkiemi krokami, rzucać ramionami, chwytać brodę zębami i oczy mu świeciły dziwnem światłem rozradowania. Siedziała z temi cennikami w ręku i patrzyła się załzawionemi oczyma na niego, a on coraz to przystawał, gładził brodę, brał jej głowę w ręce, przechylał ją do światła, całował w czoło i szeptał:
— Janka! a co? Janka! Faramuszki reszta! a co! Janka! — i chodził znowu, był szczęśliwy i pewny, że ona już zdecydowała się iść za Grzesikiewicza.
— Dał jej tysiąc rubli i, wsadzając do wagonu na drugi dzień, jeszcze zalecał, żeby nie oszczędzała go i kupowała co najlepsze.

Janka wiedziała, dlaczego taki hojny i rozradowany, ale nie wyprowadzała go z błędu, chociaż czyniła sobie wyrzuty, że go oszukuje niejako. Miała mu powiedzieć wszystko dopiero w chwili wyjazdu bez przygotowań, żeby zaraz wyjechać i nie dać mu czasu do protestowania. Bała się, ukrywała tę obawę na dnie serca, ale ją czekała ta niedaleka chwila i mroziła niedobremi przeczuciami.

XVIII

Myślała o tem całą drogę swobodnie, bo Zaleska, która z nią jechała, była także w jakiemś dziwnem usposobieniu; oczy miała czerwone od łez, bardzo zmęczoną twarz i milczała ciągle, zaledwie odpowiadając na zapytania. Dopiero w Kielcach, w magazynach, wobec tysiącznych drobiazgów tualety kobiecej, wobec materjałów modnych, ożywiła się, zapomniała o własnem udręczeniu i rozkoszowała się nieskończonem wybieraniem fasonów, kolorów i gatunków i chciała tę rozkoszną chwilę przedłużać do nieskończoności, bo Janka prędko się decydowała i bystro się orjentowała we wszystkiem.

— Namyślmy się, zastanówmy się, panno Janino — szeptała przy każdym przedmiocie.

— Biorę, proszę pakować! — odpowiedziała Janka trochę niecierpliwie.

— Wolniej, nie tak prędko, trzeba dobrze obejrzeć — mówiła z żalem Zaleska i z rozkoszą zanurzała ręce po łokcie w koronkach, jedwabiach, a choćby tylko w doskonałych płótnach, traciła wprost głowę, przeglądała materjały pod słońce, okręcała się niemi, przeglądała w lustrach, pytała się wszystkich, czy jej do twarzy. Z wielką przykrością skończyły zakupy i umawianie się z modniarkami. Janka była zmęczona i znudzona, a Zaleska trzęsła się w zdenerwowaniu.

Ponieważ miały jeszcze ze dwie godziny czasu do pociągu, Janka zaproponowała, żeby pójść na obiad do znajomego jej hotelu.

Zaleska energicznie zaprotestowała.

— Nie wypada, jakże, dwie same młode kobiety pójdą do restauracji, nie można. Coby sobie ludzie pomyśleli o nas?

— Że nam się jeść chce i przyszłyśmy jeść — odpowiedziała trochę szorstko.

— Ja za nic w świecie nie weszłabym bez mężusia do restauracji.

— No, to chodźmy do cukierni, na kawę z ciasteczkami! — powiedziała z przyciskiem.

Weszły do cukierni w rynku, w jakimś kąciku zdala od okna usiadły.

Janka spostrzegła przy drzwiach wywieszony ogromny, czerwony afisz, ogłaszający, że towarzystwo artystów dramatycznych, pod dyrekcją Cabińskiego, w dniu dzisiejszym daje: *Gniazdo rodzinne* Sudermanna, z panną Majkowską w roli Magdy.

Przeglądała afisz z dziwnem, nie dającem się sformułować wrażeniem, złożonem z najsprzeczniejszych uczuć. Przetarła oczy, bo się jej to wydało niemożebnem, że halucynuje na jawie, ale nie, afisz malinową plamą odcinał się od czarnego tła futryn drzwiowych, czytała po raz drugi i znalazła te same szczegóły. Obejrzała się po cukierni zdumiona i przestraszona zarazem.

Przy okrągłym stole marmurowym, pod oknem, wychodzącem na rynek, siedziało kilka osób. Janka zaczęła się przypatrywać pilnie. Poznała Cabińską, żonę dyrektora teatru, w którym była latem.

Cabińska siedziała zadumana, wpatrzona w okno, rzucała co czas jakiś oczyma na zeszyt trzymany w ręku, popijała czekoladę, stojącą przed nią, i znowu patrzyła.

Janka poczuła w sercu jakiś zalew ciepła ogromnego.

Naprzeciw Cabińskiej siedział chudy aktor, o ładnej, myślącej twarzy, opuścił się w krześle i błądził błękitnemi oczyma po cukierni.

— Pieś! — myślała Janka, coraz więcej zdumiona. Poznała go, bo był to aktor, grywający role charakterystyczo-dramatyczne, miał talent i dużo rozmyślał, był z tego względu unikatem w teatrze. Obok niego siedziała niemłoda, wyróżowana, wybielona i wyczerniona aktorka, ubrana z czysto aktorską elegancją. Janka nie wiedziała, co robić ze sobą; serce biło jej gwałtownie i takie wzruszenie ją owładnęło, że nie odpowiadała zupełnie na szczebiot Zaleskiej.

— Całe towarzystwo! moje towarzystwo! Majkowska na afiszu! a tutaj: Cabińska, Rosińska! Pieś! — myślała z gwałtownem uczuciem radości. Zapomniała o wszystkich

nędzach, których przyczyną byli właśnie ci ludzie, siedzący tam tak obojętnie, zapomniała o nienawiści, jaką czuła do nich, tylko zapragnęła pomówić z nimi, zobaczyć ich zbliska, odetchnąć powietrzem tamtego świata, który, pomimo wszystkiego, co w nim wycierpiała, ukazał się teraz przed nią, niby olśniewające, czarodziejskie widzenie. Chciała podnieść się, ale nogi się pod nią ugięły, brakło jej sił, drżenie, dziwne drżenie tremy, jak podczas pierwszego występu, zatrzęsło nią bólem rozkosznym, zdobyła się tylko na to, że zawołała chłopaka, aby jej podał afisz.

Czytała go z jakąś chciwością niewypowiedzianą.

— Wszyscy moi! Wszyscy z wyjątkiem kilku obcych nazwisk! — Czytała go uważnie i przy każdem nazwisku występowała jakaś twarz z pamięci, scena, jakiś głos lub frazes, który jej przypominał całą postać.

— Pan Niedzielski! — Czytała to nazwisko po kilka razy, zanim uświadomiła sobie, kto to taki! Dopiero wtedy oprzytomniała. — I on tutaj! on! — Lodowaty powiew owionął jej serce.

Aktorzy zwrócili uwagę na kobiety, czytające afisz, bo cukiernia była prawie pusta. Cabińska odwróciła się leniwie od okna, ale spojrzawszy na Jankę, wypuściła z rąk zeszyt, odstawiła filiżankę i z wyciągniętemi rękoma, z gestem i postawą lady Makbet, szła do niej.

— Panna Orłowska!! Na Boga! i pani się nie wita z nami! Panno Janino! — Upadła jej w ramiona i obcałowywała z serdecznością przesadną, pociągając do okna.

— To niespodzianka! Jakże się pani miewa, nigdybym się nie spodziewała spotkać z panią! — szeptała Rosińska, ściskając jej rękę i ciekawie ją oglądając.

— Nie trzeba cieszyć się niczem, dziwić się niczemu, bo wszystko jest możebne — rzekł poważnie Pieś, witając się z nią i robiąc jej miejsce.

— Co pani robi tutaj? Co pani wogóle robi? A myśmy panią już opłakiwali...

— Naprawdę! Glas nawet zbierał składkę na żałobne nabożeństwo.

— Miał się napić za co — wtrąciła Janka zimno.

— Płakałam, jak męża i dzieci kocham, płakałam, dowiedziawszy się o wszystkiem. Mój Boże, gdybyśmy mogły przeczuć! Ależ to z pani determonistka.

— Deterministka! — poprawił Pieś.

— Szkoda było łez, chociaż one niewiele kosztują w teatrze, jak szkoda było składek, o które trudniej znacznie; pocieszam się tylko tem, że łez nie wylano za wiele, a do składek brakło chęci i amatorów — odpowiedziała Janka zimno i twardo, bo, spotkawszy się z nimi, poczuła odrazu głęboki żal do nich, dawne, niewypowiedziane urazy powróciły i zresztą znała dobrze te komedjanckie dusze.

— Panno Janino, pani ma żal do nas, a to niesłusznie; stało się źle, ale czy tylko z naszej winy. Czy myśmy byli winni, że pani jesteś inną kobietą, niż bywają w teatrze, czy mogliśmy przewidzieć, że pani tak na serjo wszystko bierze do serca.

— Tak, zwykła historja, syci nigdy nie pojmują i nie uwierzą w głód, bo go nie rozumieją.

— Mały! dwa koniaki dla pana sekretarza! — krzyknął gruby, niski aktor, ukazując głowę z sąsiedniego pokoju; ale zobaczywszy ożywienie pod oknem, przyszedł z kijem bilardowym w ręce, który kredował.

— Glas, nie poznajesz panny Janiny?

— Panna Orłowska, ta, co to mortus! Psiatwarz. Pani żyjesz? naprawdę, pani żyjesz? — wołał z komicznym patosem, dotykając się jej rąk.

— Żyję! Łzy państwa i intencje składek na nabożeństwo za mnie uratowały mi życie!...

— No, no! psiatwarz, to nie do uwierzenia. Przyjechał jeden „kibic" o Majkowską, może miesiąc temu, do Płocka jeszcze; pytałem się o panią, ale nic nie wiedział. Niechno dyrektorowa postawi na tę uroczystość butelkę konjaku, skończę partję i przyjdę! No, to chociażby wódek rząd i piw kilkanaście — dodał ze śmiechem.

— Pan się nic nie zmienił, ten sam humor zawsze — szepnęła Janka.

— I ten sam zdrowy żołądek. Witam panią, jakże żołądeczek, t. j. chciałem powiedzieć zdróweczko, chociaż to zupełnie znaczy to samo — zagadnął cichym, bolejącym głosem aktor, podnosząc się od drugiego stolika, gdzie siedział zaczytany.

Janka witała się, odpowiadała na pytania, a wciąż przypatrywała im się krytycznie. Nie mogła zaprzestać tego, tylko z jakąś dziwną przyjemnością stwierdzała ich stan. Wydali się

jej nędzni, wytarci, niby łachmany ludzkie; twarze mieli podobne do masek martwych, ruchy zmęczone, spojrzenia niespokojne i apatyczne. Otoczyli ją kołem i znudzonemi głosami pytali, spoglądając w okno na rynek, lub poziewając ukradkiem.

Jedna tylko Cabińska z istotną ciekawością wypytywała się jej i oglądała ją.

— Razowiec! — odezwała się do aktora, który ostatni przyszedł. Szepnęła mu coś do ucha.

— Dobrze, zaraz. Pieś, pozwól na chwilę, zaraz cię puszczę.

Pieś ociężale się podniósł i podszedł.

— Mój drogi, powiedz mi tylko jedno słowo: biały, co? — zapytał Razowca, pokazując mu język.

— Czarny! Nie nudziłbyś ludzi swoim ozorem, bo to jest już głupie.

— Mój drogi, kiedy mi nikt prawdy powiedzieć nie chce i lustra są wszędzie fałszywe, ale jeśli mi ty powiesz, uwierzę; prawda, że jest biały i obłożony plamami, bo czuję gorączkę, całą noc nie spałem. No, powiedz.

— Język jest zupełnie normalny, tylko ty jesteś halucynant i skończysz w Tworkach — Odwrócił się od niego i usiadł przy Jance.

— I pani już o teatrze nie myśli? To niemożebne — mówiła Cabińska. — Wie pani, cudowny pomysł przyszedł mi do głowy: angażuj się pani do nas, na amantki.

— Dlaczegóż taki awans gwałtowny? W Warszawie marnej roli subretki nie chcieliście mi dawać. Doprawdy, że spotyka mnie zaszczyt niezasłużony.

— Och, pani ma dobrą i mściwą pamięć, to czysto kobiece — wtrącił Pieś.

— To chyba czysto ludzkie, że krzywdy się pamięta.

— Panno Janino, wszystko się wygładzi, wszystko, zobaczy pani. Może pani pójdzie do nas, to pomówimy obszerniej, zobaczy pani swoją dawną uczennicę.

— Nie mogę, za pół godziny muszę jechać na kolej — mówiła stanowczo, ale ta propozycja niespodziewana uderzyła jej do głowy, niby mocne wino, i rozmarzyła ją nieco. Siedziała zadowolona, swobodna, bo, pomimo że oni wszystko wiedzieli o niej, nie czuła się tam skrępowaną ani zawstydzoną, patrzyła na nich z pewnej wysokości; nawet te żale, jakie się w niej rozbudziły, nikły zwolna, tłumione rozrzewnieniem i radością, że widzi ich, że jest pomiędzy nimi.

Wpadł zadyszany Cabiński, po którego posłała żona, i już od progu krzyczał:

— Co za gość! co za gość! Witam całem sercem i obu rękoma! — Ucałował jej rękę i z pewnem zdziwieniem patrzył na nią. — Doprawdy, że ledwie panią poznaję, tak się pani zmieniła! Bez komplementów powiem, że wygląda pani prześlicznie! Jak dzieci kocham, na bohaterkę liryczną z pierwszorzędnej sceny!

— Mały! dwa koniaki dla pana sekretarza! — krzyknął przez drzwi do bufetu Glas.

Janka zaczęła się żegnać, bo Zaleska się już niecierpliwiła sama.

— Pani na serjo odjeżdża? Myślałem, że chociaż na przedstawieniu zostanie pani. Przenocowałaby pani u nas, nacieszylibyśmy się dłużej panią.

— To już chyba kiedy indziej, bo dzisiaj i to zaraz odjechać muszę.

— Odprowadzimy panią na kolej.

— A z przyjemnością. — Poszła do Zaleskiej.

Aktorzy patrzyli na nią teraz z ciekawością i jakąś bezwiedną admiracją, bo była bardzo piękna, i jej twarz dumna, wzrost, chód poważny wyróżniały ją ogromnie i pociągały oczy. W drzwiach cukierni zetknęła się z Niedzielskim, z Władkiem. Spostrzegła go zdaleka, pobladła, zacięła dumnie usta i przeszła obok, uderzając go zimnym, pogardliwym wzrokiem, bo stanął pode drzwiami z cylindrem w ręku i, zobaczywszy ją, nie wiedział, co robić z sobą. Powiódł za nią jakimś mętnym, ogłupiałym wzrokiem i zniknął w cukierni.

Do pociągu było jeszcze minut kilkanaście. Zaleska zajęła się ekspedjowaniem sprawunków, bo Cabińscy otoczyli Jankę i bardzo gorąco namawiali do powrotu na scenę.

— Daję pani role pierwszorzędne, jakie tylko pani zechce — mówił uroczyście dyrektor.

— A Majkowska? — rzuciła niepewnym głosem i chwiała się, nie wiedząc, jak postąpić.

— Majkowska nie będzie u nas. Pani nie wie, że się rozeszli z Topolskim? Topolski założył towarzystwo, które trwało cały miesiąc, po pierwszej gaży rozlecieli się wszyscy.

Przyjechała wtedy Mela do nas, ale mamy już jej dosyć. Dam pani nietylko jej repertuar, ale jej gażę, słowo honoru.

— To jest, obiecuje dyrektor płacić — powiedziała ironicznie.

— Jak Boga kocham, jakie te kobiety są mściwe. Otóż mogę się zobowiązać kontraktowo płacić pani zgóry. Jestem pewny bowiem, że za pół roku będzie pani najlepszą bohaterką na prowincji.

— Mogłaby pani mieszkać z nami, bralibyśmy większe mieszkanie, to przypominałoby pani dom i ognisko rodzinne. — Janka uśmiechnęła się na wspomnienie ich rodzinnego ogniska.

— Niech się pani zdecyduje, będzie nas pani jeszcze błogosławić, a z taką amantką, jak pani, to możnaby wziąć się do wystawienia Szekspira i najnowszych sztuk repertuaru wielkich teatrów świata; dokompletowałbym towarzystwo, pozabierał innym najlepsze siły... — prosił Cabiński, rozgrzewał się własnemi słowami, gładził dłonią po wygolonej świeżo twarzy i przedstawiał przyszłość w najpiękniejszych barwach. Całował ją co chwila po rękach. Cabińska ze swej strony gorączkowo a serdecznie namawiała.

Janka nie mogła powiedzieć: nie; ale jeszcze nie mogła powiedzieć: tak!

Lwów, według projektu Głogowskiego, mógł być dopiero za dwa miesiące, ale tam role nie były pewne, trzeba było wywalczać stanowisko, a tutaj odrazu stanowisko pierwszorzędne, możnaby się prędko wybić, repertuar nieograniczony, a nawet błyskała jej możność zemsty na tych ludziach, którzy ją tak niedawno jeszcze lekceważyli. Czuła zawrót głowy, tysiące planów i projektów, tysiące wątpliwości i nadziei krzyżowały się w niej i oszałamiały; ale dusza, ale instynkt rwał ją w ten świat, do tej przyszłości, jaką ukazywał jej Cabiński. Zwolna straciła wszystko z oczu, co protestowało przeciwko angażowaniu się, zaczęła ją przenikać dawna gorączka teatru, palić ją i wstrząsać. Zaczął w jej mózgu wirować cały świat nowy, role wspaniałe, brawa potężne, publiczność, rozkosz grania i panowania nad tłumami poczuła w sercu.

— Więc zgoda? Czuję, że pani nasza, prawda? — szeptał niespokojnie Cabiński.

— Nie, jeszcze nie wiem, muszę się namyślić, ale jeślibym się zgodziła, to z jednym warunkiem... to... — Zawahała się, czy powiedzieć go wyraźnie.

— Rozumiem i zgoda — zawołał Cabiński, domyśliwszy się, że jej idzie o to, aby nie było Władka. — Majkowska wyjedzie, to natychmiast sprowadzam na jego miejsce Topolskiego.

— Dziękuję — powiedziała ciszej — w ciągu tygodnia napiszę stanowczo.

— Czekamy z upragnieniem, uratuje pani teatr na prowincji! — zawołał patetycznie Cabiński.

Pociąg przyszedł, i drzwi otwierano na peron. Z pokoju pierwszej klasy wyszła Majkowska, dawna nieprzyjaciółka Janki i, jakgdyby nic pomiędzy niemi nie zaszło, poznawszy Jankę, z uśmiechem podeszła, wyciągając rękę do powitania.

— Co za spotkanie! Witam panią! Serdecznie się cieszę, że...

Janka schowała swoją rękę, spojrzała na nią druzgocąco, pożegnała się z Cabińskimi i przeszła na peron. Majkowska, niby skamieniała, została na środku sali. Cabiński postawił śpiesznie kołnierz palta, wziął żonę pod rękę i zemknął, obawiając się jakiego skandalu.

— Ma zęby ta Orłowska — mruknęła na podjeździe dyrektorowa.

— Pi! pi! mocna kobieta, a ładna! Niech ją kaczusie zdziobią, wprost zachwycająca.

— Nie przewracaj tak oczyma, bo ci mogą z zachwytu kołem stanąć.

— Nie bój się, Pepa, nie obawiaj się, prawnie poślubiona małżonko.

XIX

Janka wracała do domu pełna triumfu i niepokoju zarazem. Ta bliskość urzeczywistnienia się jej marzeń prawie ją przerażała, wolałaby, aby to dalej jeszcze było; zresztą, tak na nią niespodzianie spadło to spotkanie, propozycja, że ją to wprawiało w niepokój niewytłumaczony. W domu pokazywała wszystko ojcu, co kupiła, ale mówiła mało, zajęta myślami o teatrze.

— Pierwsze role i to wszystko chociażby jutro! — Wyprostowała się triumfalnie. — Ach, nareszcie będę wynagrodzona za wszystkie cierpienia. Nareszcie żyć zacznę naprawdę,

żyć szeroko! — Wicher energji podrywał jej wyobraźnię rozpaloną, świat zniknął z oczu. Chciało się jej krzyczeć i śpiewać z rozradowania.

Byłaby całowała w lesie drzewa, gdzie poszła nazajutrz, Rocha, który, myjąc podłogę, patrzył na nią baraniemi oczyma, Janową, jak zwykle cichą i głęboko zadumaną o swojej pani córce. Tylko wobec ojca ukrywała radość, przywdziewała na twarz maskę spokoju i zwykłej obojętności na wszystko, on jeden rzucił cień na jasne tło jej zadowolenia, ale pozbyła się tego myśleniem o teatrze.

Napisała gwałtowny list do Głogowskiego, w którym odwoływała swoje projekty w poprzednim podane liście i radziła się, czy jechać do Cabińskich, chociaż w istocie zrobić to już postanowiła.

Głogowski odpisał, że dobrze robi, jadąc do Cabińskich. Obiecał przyjechać przed jej wyjazdem, o którym prosił zawiadomienia, kiedy nastąpi. Opisywał swoich chlebodawców i wzmiankował, że dłużej niż miesiąc nie wytrzyma u Stabrowskich.

List był jakiś wymuszony i smutny, czuć w nim było zniechęcenie i nudę.

Ale Janka przyjęła jego tylko faktyczną stronę, nie wczuwając się w nastrój, bo za dużo sama w tej chwili czuła.

Zrobiła się teraz niezmiernie dobrą i wesołą.

Grzesikiewiczowi, który jednego dnia przywiózł bukiet, tak gorąco podziękowała, tak mu ściskała rękę i tak przyjacielsko patrzyła na niego, że Andrzej był uszczęśliwiony i chciał się zaraz oświadczyć, tylko nie znalazł sposobnej chwili, bo ciągle ktoś przeszkadzał. Nawet Świerkoski dostrzegł w niej zmianę, bo była tak dobra, kochająca świat i ludzi, że o ile tylko mogła, wylewała nazewnątrz to uczucie.

Tylko Zaleska była tym stanem zdumiona i z ciekawością śledziła jej przygotowania.

Orłowski tylko nie odczuwał w niej żadnej zmiany, bo sam był pogrążony w dziwnej cichości, jaka się w nim rozlewała i tłumiła wszystkie myśli i chęci, ociężała go ogromnie. Nie poznawał sam siebie! On, który ciągle musiał być czynnym, ciągle musiał coś robić, przesiadywał teraz godzinami, zapatrzony tępym wzrokiem w świat, widziany z okien swojej kancelarji, spełniał służbę automatycznie. Miał chwile nieraz uświadomienia, ale te były coraz rzadsze i coraz krócej trwały, a wtedy zrywał się z miejsca, biegł na górę lub na peron i w połowie drogi zapominał, gdzie idzie, przystawał, tarł sobie czoło i powracał siedzieć bezmyślnie u siebie. Napadały go okropne bóle głowy, w których tracił prawie przytomność i leżał na sofce wpatrzony w jakiś majak, ustawicznie rysujący się przednim w mgławym zarysie. Zrywał się z sofy, jakby go chcąc uchwycić, przekonać się, że to nie złudzenie, i później cichym głosem wymawiał sobie własne przywidzenia, kłócił się z sobą i zapadał w coraz większą ciemność. Próbował czytać, aby sprawdzić siłę swego wzroku, bo myślał chwilami, że oślepnie; ale ten zarys jakiejś istoty wciąż majaczył mu przed oczyma: raz był przed nim i tak blisko, że mógł się go prawie dotknąć — to widział w jakiejś dali, jakby w głębi błyszczącej zwierciadła, twarz czerwoną, z dużą, sinawą brodą i z oczyma roziskrzonemi: to znowu ten ktoś słaniał mu się zboku i szeptał do ucha, aż się Orłowski odwracał szybko lub, co częściej robił, słuchał z głębokiem przejęciem, tak zupełnie, jakby słuchał zwierzeń córki lub którego z kolegów, kiwał głową potakująco lub zaprzeczał, i często wywiązywała się sprzeczka gwałtowna i długa, którą nieraz słyszeli w drugim pokoju Staś i Zaleski.

Orłowski rozprzęgał się zwolna na dwie osobowości. Stawało się to z pewnemi przerwami, bo były dnie, w których czuł i myślał jak najnormalniej, i wtedy uderzała go przemiana Janki i gorączkowe przygotowania, ale się nic nie pytał, bo się obawiał odpowiedzi, czuł niejasno, że ona myśli i szykuje się do odjazdu: utwierdziły go w tem mniemaniu kufry, jakie kupiła w Kielcach, stojące w jej pokoju. Zresztą był tak podrażniony, że wprost przeczuwał jakąś katastrofę. Nieraz w nocy wstawał i szedł zobaczyć, czy ona jest jeszcze. Zapanował pomiędzy nimi jakiś stan przymusu i podejrzliwości.

W końcu tygodnia Janka napisała list do Cabińskiego, wyznaczając termin swojego przyjazdu i prosząc, aby na pierwszy występ mogła zagrać Marję w *Doktorze Robin*, którą kiedyś grać miała, a odebraną w ostatniej chwili dla Majkowskiej.

Cabiński odpisał entuzjastycznie, donosząc, że już role rozdał do nauki, że zrobił wzmiankę w miejscowej gazecie, iż „zaangażował młodą i niepospolitą siłę dramatyczną", że Władek wyjechał, a Majkowska będzie tylko do dnia jej przyjazdu.

Umocnił ją ten list, bo już teraz miała jasno określony cel, na którym koncentrowała wszystkie myśli i w którym czerpała siłę.

Chwila odjazdu się zbliżała.

Kufry czekały zapakowane, wszystko było gotowe, a ona teraz zaczęła jakoś zwlekać z godziny na godzinę, z pociągu do pociągu, bo przecież potrzeba było powiedzieć ojcu o wyjeździe; była pewna, że się zgodzi, a jeśliby nie!.. to i tak czuła, że już się nie powstrzyma, że jużby nie mogła poprostu — za wiele siebie włożyła w te plany i przygotowania, aby się mogła bez cierpień wyrzec wszystkiego.

Zaczynała po kilka razy rozmowę z ojcem, ale te słowa nie chciały jej przeleźć przez gardło! — Odjeżdżam! — mówiły jej oczy, a usta milczały, zacięte nieśmiałością. Pasowała się z sobą i nie była w stanie zmusić się do powiedzenia tego prosto i szczerze, drżała ze zniecierpliwienia, że się tak zwłóczy z odjazdem, a przez całe dnie i wieczory nie mogła się zdobyć na odwagę.

Zrobiło się to wkońcu samo prawie.

W ostatni wieczór siedzieli, jak zwykle, przy herbacie.

Noc była ciemna i dżdżysta, listopadowa noc, pełna wichrów, wyjących w piecach i kominach, deszczu bębniącego po szybach, jęków po lesie i smutków w całej przyrodzie. Przez szyby wciskało się zimno i wiatr, który chwiał płomieniem lampy, jakoś ciemno płonącej. Janowa miała zaczerwienione oczy, wzdychała ciężko i snuła się senna po mieszkaniu, nawet Roch odczuwał dzisiejszy nastrój, bo siedział w kuchni pod kominem smutny, i ilekroć wiatr uderzał silniej w las, a szumy i świsty zaczęły się w nim odzywać przeraźliwie, podnosił senne oczy na okno, żegnał się i znowu patrzał w dogasający ogień.

Orłowskiemu dokuczał reumatyzm, wycierał nogi mrówczanym spirytusem, obwijał je flanelą i siedział w fotelu, klnąc co chwila pocichu. Przekrwionemi oczyma świdrował Jankę, która nie mogła usiedzieć na miejscu, chodziła z pokoju do pokoju, gorączką i niecierpliwością przepalana.

Jutro postanowiła jechać.

— Jutro! — powtarzała po tysiąc razy i po tysiąc razy chciała już powiedzieć ojcu o wyjeździe, ale spotykała się z jego oczyma, w których tkwił ból, strach jakiś i obłęd prawie, i siły ją opuszczały, odkładała jeszcze na później. Zimno jej było, ciemno, straszno jakoś. Zdenerwowanie dochodziło do swego maximum. Patrzyła z trwogą w świat zadeszczony, bała się tych dziwnych cieniów, które drżały pod sufitem i czaiły się pomiędzy meblami, wreszcie poszła do swojego pokoju, pootwierała kufry, pooglądała je z taką uwagą, jakby po raz pierwszy.

— Janowa! Rochu! — krzyknął Orłowski, zerwał się z fotelu i przestraszonemi oczyma wpił się w szybę, na której rozpłaszczył się, zwabiony światłem, nietoperz i bił skrzydłami, nie mogąc się utrzymać na niej.

Janka wstrząsnęła się na ten głos, zerwała się także i stała bezradnie.

Orłowski się uspokoił, upadł znowu na dawne miejsce, spojrzał na nią, bo drzwi były otwarte i wprost nich stała, i zapytał spokojnie:

— Szykujesz się do odjazdu?

— Tak — odpowiedziała ze drżeniem, postąpiła krok naprzód, jakby ku tej walce, która miała się stoczyć w tej chwili. Dreszcz ją przeszedł zimny.

Patrzeli na siebie długo.

— Gdzie wyjeżdżasz? — zapytał cicho i tak bezdźwięcznie, że drgnęła przestraszona.

— Do teatru... — odpowiedziała wolno i z trudem, bo jakiś okropny spazm strachu dusił ją, jakiś lęk zapchał jej gardło. Patrzyła coraz bardziej strwożona na jego ziemistą twarz i oczy biegające po niej, z uporczywością idjoty.

Pociąg przelatywał stację z takim hukiem i łomotem, że ściany się zatrzęsły, a szkło w kredensie zabrzęczało, a potem zaległa śmiertelna cisza w mieszkaniu.

— Gdzie wyjeżdżasz? do teatru? gdzie?

— Do teatru...

Znowu milczenie. Trąbki dróżnicze zaczęły grać na linji, wicher się wzmagał i bił w okna coraz silniej, i coraz większe szumy lasów przedzierały się smutnym jękiem i rozbrzmiewały w tej złowrogiej ciszy mieszkania.

Jego oczy zaczęły się rozpalać, rozkrwawiać jeszcze bardziej, posiniałe usta opadły mu starczo, głowę pochylił i trząsł się cały, i miał wyraz takiej bezsilności, znękania, starości, że postąpiła znowu krok, bo myślała, że zleci z krzesła.

Przetarł oczy, wyprostował się, potoczył oczyma po niej i po kufrach, jakby się zbudził ze snu; świadomość wszystkiego wracała mu, a w niej serce zamierało z trwogi niewytłumaczonej. Była przedtem pewna, że ojciec będzie się upierał, że wybuchnie cała jego gwałtowność, że może znowu ją wypędzi, na to była przygotowana, jak i była zdecydowana, pomimo właśnie takich przeszkód, zerwać z nim i odjechać; ale ten cichy, przejmujący szept, to spojrzenie rozpaczliwe wpiły się ostremi szponami w jej serce, zachwiały nią, zmąciły jej wolę, wytrąciły z równowagi, tego się nie spodziewała.

— Jedź... jedź... jedź... — zaczął znowu mówić, ciężko oddychając, jakby każdy wyraz wyrywał z kawałkiem serca, z życiem razem, głos mu chrypiał i rozpływał się po pokoju jakąś smugą bólu niewypowiedzianego.

Nie odezwała się, bo strach buchnął z jej serca i oblał płomieniem twarz i ręce, obezprzytomnił ją, patrzyła, nie mogąc mówić; wstał i poszedł do swego pokoju, powracając natychmiast z wielką, szarą kopertą w ręku.

— Jedź, masz tutaj wszystko, co tylko mam — i zaczął wyjmować i rzucać na stół: listy zastawne, pożyczki premjowe, arkusze kuponów, książeczki czekowe. — Wszystko, co mam!.. — wyjął z pugilaresu wszystkie, jakie miał, pieniądze, z kieszeni drobną monetę i składał na jedną kupkę.

— Masz, nie będziesz cierpiała nędzy, a mnie te pieniądze już na nic, mnie już nic nie potrzeba. — Zaprzestał na chwilę, odetchnął głęboko, zapatrzył się w jakąś głąb i mówił dalej: — Nic mi już nie potrzeba. Dyrekcja da na mój pogrzeb, nic mi nie potrzeba. Zostanę sam, położę się zaraz i umrę... umrę... umrę... — powtarzał wolno, coraz wolniej, głowa zaczęła mu się trząść... wypuścił z rąk kopertę, podniósł ręce ku twarzy, poczerwieniał i runął.

Zdążyła go jeszcze chwycić, nim upadł na podłogę.

— Ojcze! Ojcze! — jęknęła rozpaczliwie — Janowo, wody!

— Cicho! cicho! cicho!... nie trzeba nic, to tylko chwilowo zrobiło mi się niedobrze, rozepnij mi kołnierzyk. Dobrze, o lżej mi trochę. Dobrze. — Napił się wody i spojrzał na nią przytomnym, ale strasznie smutnym wzrokiem.

— Jedź, dziecko, nie wstrzymuję cię, bo wiem, że to dla ciebie szczęście. My starzy, my ojcowie, czy matki, jesteśmy egoiści, chcielibyśmy dzieci zawsze mieć przy sobie. Jedź, proszę cię o to. Ja tutaj sobie radę dam i, chociaż zostanę sam... chociaż ciebie... nie będzie... chociaż... Przysięgam Bogu, że chcę tego! — krzyknął, uderzył pięścią w stół i zamilkł, zabrakło mu już sił, opuścił głowę na piersi i nie miał sił powstrzymać łez, które polały mu się z ócz dwoma strumieniami. I nic już nie mówił, tylko płakał, jak dziecko.

A Janka porwana jego boleścią, przeniknięta temi łzami, co padały na jej serce rozpaloną lawą, uklękła przed nim i, obejmując go w jakiś ogromny uścisk miłości, zaczęła mu mówić:

— Ojcze mój! Nie pojadę. Zostanę z tobą. Daruj mi. Przebacz, nie wiedziałam, że ci sprawię boleść taką. Nie zostawię cię samego, nie rozstaniemy się nigdy. Słyszysz, ojcze, tylko mi przebacz — prosiła i pobladłą śmiertelnie twarz podnosiła do góry, jakby stamtąd chciała zaczerpnąć mocy do tego poświęcenia, które przechodziło jej siły. — Tak, nie pojadę, zostanę z tobą, ojcze.

— Janka!... Janiu!... — odpowiadał, pochwycił ją w ramiona i zaczął gorąco całować, potem mówił bez związku, śmiał się nerwowo, chwytał zębami brodę, nareszcie się uspokoił i obtarł łzy.

— Moje dziecko, ja cię proszę, żebyś pojechała.

— Nie, mój ojcze, mówię stanowczo, że nie pojadę. Nie pojadę — powtórzyła silnie, powstając, i zdawało się jej, że po tych słowach świat się z nią zapada, że leci i przepada w jakichś ciemnościach, że w niej wszystko obumiera, taka nagła głusza opanowała jej mózg i serce. Patrzyła się na ojca spokojnie i raz jeszcze powtórzyła z jakąś kamienną determinacją:

— Nie pojadę do teatru.

Upadła ciężko na krzesło, nic już nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Orłowski zerwał się z fotelu, oczy mu rozbłysły dawną energją i wdzięcznością, upadł przed nią na kolana i nim zdążyła mu wyrwać, objął jej nogi i całował.

— Dziecko moje drogie, dziecię moje! — szeptał przejmująco.

Podniosła go i odprowadziła do krzesła, bo się chwiał na nogach. Zużywała wszystkie siły, żeby być spokojną, żeby wytrwać. Nalała mu herbaty, podsuwała wszystko, czego mógł potrzebować.

— Wie ojciec, żeby Grzesikiewicz chciał, to pójdę za niego — powiedziała umyślnie, żeby go już zupełnie uspokoić, że to, co mówiła, potrafi dotrzymać. — Ojciec wtedy służbę rzuci i zamieszka przy nas.

— Rzucę służbę, dobrze, już mnie męczy wszystko, od pewnego czasu czuję się nawet słaby, głowa mnie ciągle boli — urwał i odwrócił się gwałtownie, zdawało mu się, że ten jego prześladowczy majak stanął za nim, słyszał najwyraźniej szept jego, patrzył po pokoju.

Janka widziała ten ruch nie po raz pierwszy, ale go nie rozumiejąc, nie przywiązywała doń wagi najmniejszej, zresztą w tej chwili nic nie rozumiała, patrzyła się w ojca i pocichu, odruchowo powtarzała:

— Nie pojadę, zostanę. — Nie pojadę, zostanę... — i pierś jej wzbierała krzykiem buntu, ale siedziała, milcząc, w wielkiej ciszy, ogłuszona tem, co ją spotkało, nie zdawała sobie jeszcze sprawy dokładnie.

Automatycznie odprowadzała ojca do łóżka; biernie i bezmyślnie przyjmowała jego pocałunki i dziękczynienia, bezmyślnie, siłą przyzwyczajenia, przeczytała ostatnią gazetę, usiłowała się nawet zastanowić nad jakimś modnym fasonem kapelusza, jaki zobaczyła w „Bluszczu". Wydała Janowej dyspozycję na jutro, posprzątała sama ze stołu, poustawiała szkło w kredensie, rozplotła włosy, bo jej ciężyły, pooglądała lufciki, czy są zamknięte, wyjrzała przez okno, przy którem stała chwilę i, nie widząc, patrzyła na zielone latarnie zwrotnic, i poszła spać...

Dopiero, gdy ją ogarnęła ciemność i cisza, gdy myśli mogła zebrać, a oczy nie uderzały o nic zewnętrznego, ocknęła się nagle. Usiadła na łóżku.

— Nie będę w teatrze! Zostanę w Bukowcu. Pójdę za Grzesikiewicza! — powtarzała głośno i za każdem zdaniem nowa fala uświadomienia biła w jej mózg. Schwyciła się za głowę nagłym, rozpaczliwym ruchem, jakby te słowa spadały na nią górami i rozbijały jej czaszkę. Patrzyła obłąkanym wzrokiem w jakąś próżnię, którą zobaczyła przed sobą, i stała tak chwilę, jak drzewo już podpiłowane, które drży jeszcze i chwieje się tylko koroną, zanim runie martwe na ziemię.

— Co to jest? kto mi to mówi? kto tego chce? dlaczego? — pytała prędko i rzuciła się na pokój gwałtownym ruchem zwierzęcia ranionego, zbierającego wszystkie siły, aby ujść przed śmiercią, lub bronić się do ostatka. Cały huragan buntu wybuchnął i zakłębił się w jej mózgu i sercu.

— Nie, nie, nie! Tysiąc razy nie! Mnie miałby kto powstrzymać, zabrać mi przyszłość, nie pozwolić żyć! O nie, nigdy; niema takiej mocy na ziemi, niema takich pęt, którychbym nie zerwała...

— Ojciec! — szepnął jej głos jakiś w głębi duszy. — Ojciec! — powtórzyła przeciągle, rozglądając się, jakby chcąc poznać, skąd pochodzi ten głos. Zatrzęsła się. — Nigdy, nikt, nawet ojciec mnie nie powstrzyma. Chcę żyć, a tam jest dla mnie życie, tam moje szczęście. W teatrze jest dla mnie wszystko, a tutaj, marność, wegetacja, konanie, wieczny głód duszy, wieczna męka! I ojciec chory! — szepnął znowu ten głos surowo. — Nikt się nie poświęcił dla mnie, to ja nie będę, to moje prawo: żyć! — A obowiązek?! — Obowiązek! — zaśmiała się sucho i urągliwie. — Obowiązek! Wielkie słowo, którego nikt nie wypełnia. Ja jestem dla siebie najważniejszym obowiązkiem, o tak! — rozpalała się coraz więcej. — O tak! cóż mnie powstrzyma? Drwię sobie z ludzi i ich sądów, poznałam dosyć ich podłości. Drwię sobie z opinji, wiem, kto ją robi. Drwię sobie z przesądów, znam ich wartość. Cóż mnie powstrzyma? — zapytała hardo, jakby całego świata. — Sumienie!.. — zadźwięczało w jej mózgu ciężko. — Litość, obowiązek, sumienie! — Zachwiała się, usiadła na łóżku i przestraszonym, błędnym wzrokiem patrzyła w ciemny głąb pokoju, gdzie mrok grubym, nieprzenikniętym całunem pokrywał wszystko; oliwna lampka, paląca się na przeciwległej ścianie, przed obrazem Matki Boskiej, migała zaledwie światłem. Wydało się jej, że z tamtej głębi wyłania się jakaś potężna i straszna postać, która mocnym, jakby śpiżowym głosem powtarza: — Litość! obowiązek! sumienie!

— Więc ja mam poświęcić siebie na stracenie? — pytała napół przytomna, przyciszonym głosem rozpaczy.

— Tak.

— Więc mam pozostać tutaj na zawsze, zamknąć się w tej ciasnej komórce życia, wyrzec się wszelkiej myśli o niezależności?

— Tak.

— Więc, jeśli się poświęcę, zaprzepaszczę, wyrzeknę siebie i zgniję w tej codziennej nędzy, to będzie: litość, sumienie i obowiązek?

— Tak.

Janka upadła nawznak na łóżko i jęczała z bólu; burza wrzała jej pod czaszką, burza rozrywała jej serce, orkan najsprzeczniejszych myśli i uczuć targał nią i rzucał.

— Nie — powiedziała po chwili twardo, podnosząc się i zaciskając mocno ręce na piersiach. — Nie, pójdę. Co bądźby się stało, pójdę.

— Idź! idź! idź! — zdawał się brzmieć głos, podobny teraz do jęku dzwonów pogrzebowych, i bił w jej mózg okropnym rytmem; słuchała i zdawało się jej, że wszystkie ściany się otworzyły, że z pod jej stóp biegnie droga w świat jasny, wesoły, uśmiechnięty, że idzie tą drogą i spostrzega wpoprzek trupa sinego ojca! — Krzyknęła z przestrachu. Zaczęła biegać po pokoju, myśli się zmieszały, jak toń, po której powiał ostry wicher.

— Jezus! Jezus! Jezus! — jęczała, i taki okropny ból zakręcił jej całą istnością, że skowyczała nieludzko i wpadła w jakieś omdlenie, w którem przestała czuć i myśleć, tylko bezmyślnie patrzyła na smugi światła, wdzierające się z peronu, i miała pod czaszką jakąś pustkę i wielką głuszę dookoła.

Godziny szły za godzinami i, niby krople, sączyły się do nieskończoności; noc trzymała świat w objęciu czarnem; noc, pełna plusku, deszczu i wichrów, które wyły za oknami i zginały skrzypiące żałośnie drzewa i mocowały się z lasem. Jęk drutów telegraficznych, podobny do żałosnego, zmęczonego pisku psów na łańcuchach, rozbrzmiewał po pokoju. Głosy nieznane nocy i ciemności skarżyły się nad lasami, leciały niby skry, niby promieniowania gwiazd, poprzez ciemności, tonęły w ciemnościach i martwocie. Ziemia i noc zlały się w jedną bezkształtną bryłę, która zdawała się drgać przez sen, wzdychać wiatrami i jazgotać urągliwie.

Janka leżała wciąż, burza w niej ucichła, przestała się szamotać; była teraz jak ciężki kloc drzewa, wyrzucony z głębi wód na piasek nadbrzeżny, który tylko fale liżą chciwie, ale już nie mogą porwać na głębie i zatopić.

Wszystko w niej przycichło, wyczerpało się, obumarło, jak świat po orkanie błyskawic i piorunów obumiera i przycicha, ale w powietrzu drży jeszcze groza, na ziemi leżą ruiny i jeszcze niekiedy piorun niemy przerżnie horyzont wstęgą ognistą.

— Zostanę! zostanę! — odpowiadała, głosem podobnym do jęku konających. — Zostanę! — i prawie po raz ostatni pierś się podniosła w łkaniu. — Zostanę! — powtarzała uporczywie, czując, że wszystko, co w niej żyło, chciało, co myślało, zamiera, rozsypuje się i łączy jakby z tą straszną nocą. Czuła, że się rozwija, niby pełne wrzeciono, ze wszystkich marzeń i pragnień, i że się sprowadza do jakiegoś pierwotnego stanu, w którym się nie pragnie niczego, na nic nie czeka, niczemu się nie raduje, i jest się jak brzoza jesienią, bez liści i napół martwa, i tam się gnie, gdzie chcą wichry, i tam pada, gdzie chcą ludzie, i tak zamiera, jak chce ziemia martwiejąca i wystygła.

Uklękła przed obrazem Matki Boskiej.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/fermenty-tom-pierwszy/

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Stanisław Reymont, Fermenty, tom I, nakł. Gebthner i Wolff, druk Zakłady Graficzne Straszewiczów, Warszawa 1928.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, a korektę ze źródłem Aleksandra Kopeć. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0796-9

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.